

Lee Goldberg

Na podstawie serialu telewizyjnego Andy'ego Breckmana

# Detektyw Monk i strajk policji

# 1

## Monk i przechadzka po parku

Ciało mogłoby równie dobrze leżeć na polu minowym otoczonym drutem kolczastym i strzeżonym przez gotowych do strzału snajperów. Nie było mowy, aby Adrian Monk do niego podszedł.

Stał na wysypanej rudym żwirem ścieżce do biegania, która okalała park McKinley w dzielnicy Potrero Hill, na rogu Vermont i Dwudziestej. Ubrany był w jeden ze swoich sześciu identycznych wełnianych płaszczy, jedną z dwunastu identycznych koszul w złamanej bieli (zapinanych pod szyję i noszonych bez krawata), jedną z dwunastu par identycznych, brązowych spodni z zaprasowanymi zakładkami (szytymi na specjalne zamówienie, zawsze z ośmioma szlufkami, a normalnie z siedmioma) i jedną ze swoich dwunastu par identycznych, brązowych, skórzanych butów („Hush Puppies”, co wieczór polerowanych do połysku).

Do oczu przykładał lornetkę. Z miejsca, w którym stał, rozpościerał się w kierunku zachodnim wspaniały widok na Mission District, Noe Valley i wieżę telewizyjną Sutro, która wyłaniała się majestatycznie z mgły, niemal każdego ranka otulającej wzgórze Twin Peaks.

Jednak nie tam patrzył Monk.

Lornetkę kierował na ciało martwej kobiety roz-

ciągnięte dosłownie dziesięć metrów przed nim. Zarośnięty chwastami teren wokół zwłok ogradzała, owinięta wokół kilku drzew, żółta taśma policyjna.

Kobieta leżała skręcona pod nienaturalnym kątem, z ustami otwartymi w zastygłym, niemym krzyku. Jej podwinięta koszulka odsłaniała bladą skórę płaskiego brzucha i wytatuowaną dolną partię pleców. Tatuaż przedstawiał znak plus, w którego ćwiartkach znajdowały się cztery mniejsze znaki plus. Kobieta miała na sobie obcisłe spodenki z lycry, podkreślające jej umięśnione, długie nogi.

Wyszła pobiegać. Podobnie jak dwie poprzednie kobiety, które również uprawiały jogging. I podobnie jak dwie poprzednie, również została uduszona.

Nie jestem policjantką ani lekarzem sądowym, w ciągu paru lat asystowania Monkowi zdobyłam jednak pewną podstawową wiedzę dotyczącą zabójstw. Po sinych śladach wokół szyi nawet ja potrafiłam rozpoznać, że ktoś ją udusił.

Ale moja wyobraźnia nie poprzestawała na tym. Spróbowałam jeszcze postawić się na jej miejscu, choć czułam się z tym dziwnie, bo - podobnie jak poprzednie dwie kobiety zamordowane w minionym miesiącu - ofiara nie miała lewego buta.

Oto biegnie ścieżką w brzasku dnia, kontempluje ciszę, spokój i widoki, oddycha równo i głęboko, gdy nagle ktoś ją zaskakuje i zwala z nóg. Zaciska palce wokół jej szyi. Jej płuca walczą o łyk powietrza. Jej serce bije jak szalone. Napadnięta kobieta ma wrażenie, że jej głowa i piersi łąda moment eksplodują. Cierpiała okrutnie.

Sama myśl o tym przejęła mnie strachem, a przecież nie groziło mi tu żadne niebezpieczeństwo. To ta moja wybujała wyobraźnia, przez którą byłabym

naprawdę kiepską policjantką. Ponieważ nią nie jestem i formalnie nie łączy mnie żaden kontrakt z organami ścigania, to na miejscu przestępstwa zawsze staram się trzymać język za zębami i nikomu w niczym nie przeszkadzać. Czuję się bowiem, jakbym wchodziła wszystkim w paradę, a każde moje odezwanie się zwróciłoby uwagę innych, że przebywam w miejscu, w którym nie powinnam.

Kapitan Leland Stottlemeyer gryzł wykałaczkę i uważnie oglądał zwłoki. Może wyobrażał sobie to samo co ja. Może się zastanawiał, jakim człowiekiem była ofiara, czy potrafiła zanucić melodię bez fałszywej nuty i w jaki sposób uśmiech zmieniał jej oblicze? A może nadal się zastanawiał, dlaczego odeszła od niego żona. I czy mógł jeszcze coś zrobić, aby wróciła. A może po prostu myślał o tym, co zjeść na lunch? Policjanci pozostają zadziwiająco niewzruszeni wobec śmierci.

Obok niego stał porucznik Randy Disher, zapamiętałe bazgrołąc coś w notatniku. Moim zdaniem mazał jakieś rysunki, bo właściwie nie było nic do notowania. W każdym razie jeszcze nie. O ile Randy potrafił skrzętnie wszystko zanotować i rzetelnie sprawdzić każdą informację (i przymilić się przy byle okazji kapitanowi), o tyle dedukcja nie należała do jego najsilniejszych stron.

Prawda była taka, że obaj czekali, aż swoimi obserwacjami podzieli się wreszcie Adrian Monk, genialny detektyw i mój szef. Albo jeszcze lepiej, aż rozwikła tu i teraz zagadkę morderstwa. Taka nadzieja wcale nie byłaby czymś niedorzecznym. Monk nieraz tego dokonywał. Właśnie dlatego Departament Policji San Francisco wynagradza go za konsultacje w sprawach najbardziej zawiłych

morderstw. Kiedyś Monk sam służył w policji, dopóki jego zaburzenia obsesyjno-kompulsywne nie uniemożliwiły mu tego.

Stałam obok Monka. Za nami kręciło się kilku mundurowych i techników policyjnych, którzy przeczesywali ścieżkę i plac zabaw w poszukiwaniu śladów.

Stottlemeyer podniósł wzrok i spojrzał na nas wyczekująco.

- Podejdiesz w końcu do nas? - zapytał.
- Nie sądzę - odpowiedział Monk.
- Ciało leży tutaj, Monk.
- Tak, przecież widzę.

Monk skrzywił się ze wstrętem, opuszczając lornetkę. Ale to nie zwłoki wywołały u niego nieprzyjemne uczucie, lecz miejsce, w którym spoczywały - środek wyznaczonego palikami psiego ogródka. Akurat teraz nie było w nim psiaków, ale kiedy przyjechaliśmy, paru policjantów zbierało jeszcze dowody tego, że psy bywały tu nader chętnie, chyba wiecie, o co mi chodzi...

- Tu jest miejsce zbrodni. - Stottlemeyer wskazał na ciało.
- Tu też - odparł Monk.
- Miejsce zbrodni jest tam, gdzie leży ciało - nie ustępował Stottlemeyer.
- Nie zgodziłbym się - odpowiedział Monk.
- Z daleka nie będziesz mógł prowadzić śledztwa.
- Nie będę mógł prowadzić śledztwa, jeśli będę martwy.
- Nie zginiesz, jeśli tu podejdziesz - powiedział Stottlemeyer.
- Jeśli podejde, sam się zabiję.

- Monk, posprzątałeś psie kupki - zapewnił kapitan. - Gwarantuję, że w nic nie wdepniesz.

- Ziemia jest nimi przesiąknięta - odpowiedział Monk. - Cały park należałoby przekopać, wsypać w rakietę i wystrzelić w kosmos.

Stottlemeyer westchnął. Nie było mowy, by wygrał potyczkę. Musiał o tym dobrze wiedzieć.

- W porządku. Co możesz teraz powiedzieć?

- Zabójca ukrywał się w piaskownicy na placu zabaw. - Monk wskazał ręką za siebie, na budowlę przypominającą fortyfikację, którą w połowie stanowiła ogromna zjeżdżalnia, a w połowie splot drabinek służących za tor przeszkód. - Kiedy ofiara, biegnąc ścieżką, minęła napastnika, ten rzucił się na nią, przygwoździł ją do ziemi i zabił. Łatwo mu było pokonać tę kobietę, bo była wyczerpana biegiem. Zdjął jej lewy but, a potem zepchnął ją ze skarpy wprost w to wysypisko toksycznych odpadów.

- Do psiego ogródka - uściślił Stottlemeyer.

- Na jedno wychodzi - stwierdził Monk.

- Słuchaj, mam na głowie burmistrza, szefa policji, media, wszyscy chcą ode mnie coś usłyszeć na temat tych zabójstw, a my nic nie mamy. Nie wiem nawet, kim była ta biedna kobieta. Nie miała przy sobie żadnego dowodu tożsamości - mówił Stottlemeyer. - Musisz mi powiedzieć coś, czego jeszcze nie wiem. Masz coś w ogóle?

Monk westchnął.

- Niewiele.

Teraz westchnął Stottlemeyer.

- Cholera.

- Tyle tylko, że przyjechała z Rosji, prawdopodobnie z Gruzji, gdzie działała w Zjednoczonym Ruchu Narodowym walczącym o zacieśnianie więzi

z Unią Europejską. Ona chyba też chciała je zacieśnić, bo wyszła za mąż za mężczyznę pochodzenia żydowskiego z Europy Wschodniej.

Stottlemeyer i Disher spojrzeli na siebie zdumionym wzrokiem. Sama też byłam zdumiona.

- To wszystko? - zapytał oschle Stottlemeyer.

- Miała nowe buty - dodał Monk.

Disher spojrzął na ciało.

- Skąd pan wie? - zapytał.

- Podeszwy nie są stare, skóra jeszcze się nie wygniotła - odpowiedział Monk. - Na sznurówkach nie widać żadnego brudu poza rudym pyłem ze ścieżki.

- Bardzo spostrzegawcze - zauważył kąśliwie Stottlemeyer. - Ale myślę, że Randy'emu chodziło o to, skąd wiesz o pozostałych sprawach.

- Jeden z zębów ma metalową plombę, z których słyszę radziecka stomatologia.

- Hm, niewiele wiem o radzieckiej stomatologii - stwierdził Stottlemeyer. - Chyba muszę więcej podróżować.

- Pięć krzyżyków, ten tatuaż na plecach, w tyśnięć dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku było symbolem oporu gruzińskiego ruchu narodowego, a w dwa tysiące czwartym znalazło się na gruzińskiej fladze państwowej - wyjaśniał Monk.

- Na prawej ręce kobieta nosiła złotą obrączkę ślubną, co jest rozpowszechnionym zwyczajem w krajach wschodnioeuropejskich. Zauważcie, że obrączka ma lekko czerwony odcień. To dlatego, że rosyjskie złoto ma wyższą zawartość miedzi niż złoto zachodnie.

- To wszystko dostrzegłeś z tak daleka? - zapytał Stottlemeyer.

- Miałem przecież to. - Monk podniósł lornetkę. Stottlemeyer potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Stoję od dawna nad ciałem i nie dostrzegłem połowy z tych rzeczy.

- To i tak nieźle - rzucił posępnie Disher. - Ja nie zauważyłem nawet jednej trzeciej.

Stottlemeyer obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

- Dzięki, od razu poczułem się lepiej...

Disher się uśmiechnął.

- Cieszę się, że mogłem panu pomóc, kapitanie.

Jedną z rzeczy, które mnie zdumiewały u Monka, było to, że wiedział o czymś takim, jak radzieckie plomby albo zawartość miedzi w złocie różnych regionów świata, ale nie potrafiłby podać nazwisk jurorów z *Idola* ani powiedzieć, co to jest Big Mac, nawet gdyby mu przyłożyć pistolet do skroni. Nie raz się zastanawiałam, w jaki sposób następowała u Monka decyzja, o czym warto wiedzieć, a o czym nie warto. Bo w końcu, z czym się częściej stykał: z pudełkiem po Big Macu czy gruzińską flagą państwową?

Monk poruszył niezgrabnie ramionami i pokręcił dziwnie głową, jakby chciał rozluźnić zeszywniała szyję. Wiedziałam jednak, że nie o to chodzi. Jakiś szczegół nie dawał mu spokoju, jakiś drobny fakt nie wkomponowywał się tam, gdzie powinien. Stottlemeyer również to zauważył.

- Coś cię gryzie, Monk?

- Jest brunetką, ma ponad dwadzieścia lat - powiedział Monk. - Ma prawie metr osiemdziesiąt wzrostu.



- To oczywiste - odparł Stottlemeyer. - Nawet dla mnie.
- Jest wysportowana - dodał Monk.
- Prawda, dbała o siebie.
- Pierwsza ofiara była blondynką, miała nieco ponad trzydzieści lat i była raczej chuchrowata — mówił dalej Monk. - Drugą ofiarą była młoda Azjatka, nie miała nawet dwudziestu lat.
- Wszystkie uprawiały jogging, wszystkie zostały uduszone i wszystkim zdjęto but z lewej nogi - dodał Stottlemeyer. - To wiadomo. O co ci chodzi?
- Uważam, że powinniśmy nazwać zabójcę „Nożnym maniakiem” - wtrącił raptem Disher, a my spojrzeliśmy na niego. - No, skoro zdejmuje lewy but...
- Nie - odpowiedział Stottlemeyer.
- To może „Nożny dusiciel”?
- Chyba nie dusił ich nogą - zauważyłam.
- To w takim razie może „Nożny duch”? - proponował dalej Disher.
- Nie - powiedział Stottlemeyer mocnym głosem.
- Jakoś musimy go nazwać, kapitanie.
- Może po prostu „sprawca”? - zapytałam.
- Może „Nożny diabeł”?
- Może się w końcu zamkniecie, co? - nie wytrzymał Stottlemeyer i spojrzał na Monka. - Do czego zmierzasz, Monk?
- Dlaczego właśnie te kobiety?
- Stottlemeyer wzruszył ramionami.
- Tak się złożyło, że biegły tędy, gdy nikogo nie było w pobliżu. Znalazły się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.
- Monk pokręcił głową.
- Nie sądzę. Zabójca wybrał te trzy kobiety z ja-

kiegoś konkretnego powodu. Coś je łączy, ale nie wiemy co.

- Bardzo dokładnie sprawdziłem dwie pierwsze ofiary - powiedział Disher. - Jedna z kobiet była zamężna, druga nie. Nie znały się. Nie mieszkały w tej samej części miasta. Nie wykonywały tego samego zawodu. Ich buty do biegania były różnych marek.

- Jednak musi istnieć jakaś prawidłowość - upierał się Monk.

- Nie wszystkim w życiu rządzą prawidła - stwierdził Stottlemeyer. - Czasami życie to jeden wielki bałagan.

- Nie powinno tak być - odpowiedział Monk.

- Ale jest - stwierdził Stottlemeyer.

- Musimy to naprawić - oświadczył Monk. - Czyż nie na tym polega nasza praca?

- Przypuszczam, że można by tak powiedzieć - odparł wolno Stottlemeyer.

Dla Monka z całą pewnością tak. Wręcz łaknął porządku, a nie ma przecież nic bardziej nieuporządkowanego niż morderstwo. Mam taką swoją teorię, że dla Monka rozwikływanie tajemnic zbrodni sprowadzało się do zestawiania wielu rozproszonych faktów w jedną całość - aż każdy w końcu znajdzie swoje miejsce. Innymi słowy, Monk wcale nie prowadzi śledztw; on porządkuje nieład. I prawdopodobnie nie przestanie tego robić, dopóki nie uporządkuje pewnego największego nieładu we własnym, pozornie uporządkowanym życiu - niewyjaśnionego morderstwa swojej żony Trudy.

Stottlemeyer odwrócił się do Dishera.

- Weź paru ludzi i przepytajcie okolicznych mieszkańców. Może ktoś tu znał jakąś Rosjankę. Dobrze

też będzie, jeśli sprawdzicie, czy kogoś odpowiadającego jej rysopisowi nie ma wśród osób zaginionych lub w bazie urzędu imigracyjnego.

- Już się robi - odparł Disher.

- Zabójca będzie prawdopodobnie miał rudy pył i psie... - Monk nie potrafił wydusić z siebie tego słowa.

- Kupki — powiedziałam.

- ...na butach - dokończył Monk. - Powinniście zawiadomić wszystkie patrole.

- I co mam im powiedzieć? - zapytał Disher. - Poszukujemy faceta z psią kupą na butach?

Monk przytaknął i powiedział:

- Rozumiem, o co ci chodzi.

- Rozumiesz? - zapytał Stottlemeyer.

- Ośmieszam się - powiedział Monk.

- Nigdy bym nie przypuścił, że z twoich ust usłyszę takie słowa - powiedział Stottlemeyer. - To naprawdę postęp, Monk.

- Powinniśmy też zawiadomić Departament Bezpieczeństwa Krajowego - stwierdził Monk.

Stottlemeyer westchnął. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- Dodam to do listy. - Disher zamierzał odejść.

- Jeszcze jedno, Randy - zatrzymał go Stottlemeyer. — Na wyciągach z kart kredytowych ofiar sprawdź zakupy dokonywane w sklepach obuwniczych i hipermarketach. Może kupowały buty w tym samym miejscu.

- Lista zrobiła się długa - powiedział Disher. - Mógłbym wziąć kogoś do pomocy.

- Bierz, kogo trzeba.

- A pan co będzie robić? - zapytał niedwuznacznie Disher.

- Mam swoje kapitańskie sprawy - odpowiedział Stottlemeyer, rzucając Disherowi ostre, wyzywające spojrzenie, jakby zachęcał go do przeciągnięcia struny.

- Oczywiście - odparł Disher i odszedł pośpiesznie.

Monk tymczasem skinął na policjanta, od którego pożyczył lornetkę. Policjant nazywał się Milner i gdyby nie obrączka ślubna na jego palcu, chętnie bym się jeszcze dowiedziała, jak ma na imię.

- Dziękuję za użyczenie ekwipunku.

Monk zwrócił Milnerowi lornetkę, a potem machnął do mnie ręką z prośbą o chusteczkę dezynfekującą. Wyjęłam z torebki chusteczkę i podałam ją Monkowi.

- Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pa na — oświadczył Milner.

Przez chwilę pomyślałam, że zaraz się wypręży i zasalutuje. Policjant miał na sobie idealnie odprasowany mundur i poruszał się jak zawodowy wojskowy. Może właśnie to zwróciło moją uwagę.

- Niesamowite, z jaką łatwością zauważył pan tyle szczegółów - powiedział Milner.

- To świetna lornetka - odpowiedział Monk.

- Jest pan zbyt skromny - stwierdził Milner.

- Tak - przyznał Monk. - Jestem skromny.

Ruszyliśmy z powrotem do mojego jeepa. Po chwili podszedł do nas Stottlemeyer.

- Słuchajcie, powinniście o czymś wiedzieć i mieć to na względzie - powiedział cicho, najwyraźniej nie chcąc ściągać na nas niczyjej uwagi.

- O słodka Matko Boska! - jęknął naraz przerażony Monk, cofając się parę kroków.

- Co? - zapytał Stottlemeyer.

Monk zgarbił się gwałtownie i zakrył twarz rękami. Pochyliłam się do niego i szepnęłam mu do ucha:

- Co się stało, panie Monk?
- Nie wiem, jak mu to powiedzieć.
- Powiedzieć co?
- On w to wdepnął - wykrztusił z siebie Monk.
- W co?
- W to - dodał Monk grobowym głosem.

Spojrzałam za siebie na Stottlemeyera, a potem na jego buty. Kapitan zerknął za moim spojrzeniem. Wdepnął w psią kupę.

- Cholera!

Stottlemeyer zaczął wycierać podszwę prawego buta o brzeg krawężnika.

- Nie! - wrzasnął Monk. - Czyś ty oszalał? Przecież stoją przy tobie niewinni ludzie.

Stottlemeyer uniósł nogę i powoli zaczął ją stawić na ziemi, a Monk znowu wrzasnął. Kapitan stanął zatem na jednej nodze, a drugą ugiął w kolanie, trzymając brudny but w powietrzu, za sobą, wysoko nad ziemią.

Monk odwrócił się do policjantów i techników przeszukujących miejsce zbrodni.

- Wszyscy cofnąć się! Daleko. Dla waszego dobra. Nie chcemy tu przypadkowych ofiar.

- Monk - odezwał się Stottlemeyer cichym głosem. - Co mam według ciebie zrobić?

Stottlemeyer wiedział, jak postępować z Monkiem, czasem lepiej ode mnie, a poza tym był zdeteminowany, by jak najszybciej rozładować napiętą sytuację.

- Nie ruszaj się - powiedział Monk i popędził do furgonetki techników policyjnych.

- Przecież się nie ruszam - mruknął Stottlemeyer. - Tak bardzo chciałem być dyskretny i masz babo placek.

- Co się stało? - zapytałam.

- Monk też musi to usłyszeć - odpowiedział Stottlemeyer.

Po chwili przybiegł Monk z kilkoma dużymi workami do przechowywania dowodów rzeczowych i wręczył mi je wszystkie.

- Co mam z nimi robić? - zapytałam.

Monk spojrział Stottlemeyerowi prosto w oczy.

- Przejdziemy przez to razem. Nie zostawię cię, kapitanie.

- Doceniam to, Monk...

- Słuchaj uważnie, wykonuj dokładnie każde moje polecenie, a nic ci się nie stanie. Powoli zdejmij z nogi but i schowaj go do worka. Czekaj! - krzyknął po chwili Monk, czym tak przstraszył Stottlemeyera, że ten niemal stracił równowagę.

- Co znowu? - warknął wściekle Stottlemeyer,

- Rękawiczki - powiedział Monk.

Rzucając mu gniewne spojrzenie i podskakując na jednej nodze, Stottlemeyer sięgnął do kieszeni, włożył parę gumowych rękawiczek, a potem powoli zdjął but.

- Chciałem wam powiedzieć, że od ponad roku pracownicy departamentu policji pracują już bez umów o pracę — mówił przy tym cicho kapitan. — Miasto chce nam obciąć wynagrodzenia, ubezpiecze nie medyczne i składki emerytalne. Nasze związki zawodowe od miesięcy usiłują przemówić urzędni kom do rozsądku, ale miasto nie chce ustąpić ani na krok.

Z uwagi na Monka Stottlemeyer obchodził się

z butem jak z butelką nitrogliceryny, ostrożnie wsuwał go do worka, który trzymałam przed nim szeroko otwarty.

- Zamknij worek na suwak - polecił Monk.

Zamknęłam worek.

- Sęk w tym - kontynuował Stottlemeyer - że dzisiaj rano negocjacje się załamały. Obie strony odeszły od stołu bez uzgodnień.

Monk przywołał ręką jednego z policyjnych techników i dał mu znak, by wziął ode mnie worek.

- Proszę to wynieść w jakieś odległe, bezлюдne miejsce, co najmniej pięćdziesiąt kilometrów od tere

nów zamieszkanym, i spalić - poinstruował technika

i odwrócił się z powrotem do Stottlemeyera. -

Teraz

skarpetka.

Technik odszedł z workiem w rękę, myśląc zapewne o skontaktowaniu się z NASA i wystrzeleniu woreczka z butem na Księżyc.

Kapitan jęknął ciężko i zdjął skarpetkę. Otworzyłam kolejny woreczek i Stottlemeyer wrzucił do niego skarpetkę. Oddałam mu woreczek.

- Myśli pan, że może dojść do strajku? - zapytałam.

- Funkcjonariusze policji nie mają prawa do strajku - odpowiedział Stottlemeyer. - Ale dochodzą mnie słuchy, że już się rozprzestrzenia paskudna epidemia grypy.

Monk błyskawicznie zakrył rękami nos i usta i zaczął się cofać chwiejnym krokiem.

- Boże jedyny, zlituj się nad jego duszą.

- Monk, to nie epidemia zwykłej grypy, lecz tak zwana „błękitna grypa” - tłumaczył Stottlemeyer. - Polega na tym, że policjanci nie przychodzą do pracy i biorą chorobowe, choć wcale nie są chorzy.

- Dlaczego to robią? - zapytał Monk.
- By dać do myślenia kierownictwu - odparł Stottlemeyer. - Skoro nie możemy strajkować, jest to jedyna forma nacisku, jaką dysponujemy. Akcja może się zacząć jutro. Ale umówmy się: ja wam nic nie mówiłem.
- To dlaczego pan nam to mówi? - zapytałam.
- Bo strajk oznacza, że przez jakiś czas możecie nie mieć pracy - odpowiedział Stottlemeyer.
- A co z przestępcami? - zapytał Monk. - Oni też biorą chorobowe?
- Chciałbym - westchnął Stottlemeyer i zaczął skakać na jednej nodze w kierunku swojego samochodu.



## Monk idzie na zakupy

Wieczorne wiadomości lokalne na pierwszym miejscu podały informację, że negocjacje między związkiem zawodowym policjantów a przedstawicielami miasta utknęły w impasie. Co więcej, wydawało się, że fiasko rozmów zaostrzyło stanowiska stron, by nie czynić więcej ustępstw.

Burmistrz San Francisco Barry Smitrovich obiecał trzymać miejski budżet w ryzach i nie uginać się pod presją policjantów.

- Wszyscy mieszkańcy miasta będą musieli ponieść bolesne ofiary - mówił Smitrovich z podium ustawionego przed należącą do jego rodziny popularną restauracją w Fisherman's Wharf, gdzie serwuje się potrawy z owoców morza. - Dotyczy to również funkcjonariuszy policji, którzy zawsze się cieszyli wyższym wynagrodzeniem i lepszym pakietem socjalnym od pozostałych pracowników miejskiej budżetówki. Nie możemy już sobie na to dalej pozwalać.

Smitrovich był tęgim, łysiejącym mężczyzną z bulwiastym nosem, wielkimi dłońmi i rumieńcami na policzkach. Patrząc na niego, odniosłam wrażenie, że lepiej by się czuł na rybackim kutrze niż w garniturze na mównicy.

- Wszyscy z uznaniem patrzymy na trud, poświę-

cenie i odwagę służb policyjnych naszego miasta. Nasza policja jest najlepsza w kraju. Nie wolno nam jednak nie dostrzegać twardych budżetowych realiów, przed którymi stanęło miasto - mówił Smitrovich. - Niech mi będzie wolno przypomnieć paniom i panom w niebieskich mundurach, że ślubowali stać na straży prawa, również tego prawa, które zabrania im strajkować i wystawiać na ryzyko bezpieczeństwo obywateli.

Biff Nordoff, szef policyjnego związku zawodowego i były policjant, miał twarz pomarszczoną niczym bieżnik opony. Zaznaczył się na niej każdy kolejny rok, który Nordoff spędził na służbie. Teraz stał przed radiowozem i wygłaszał oświadczenie dla mediów.

- Kiedy człowiek jest policjantem na ulicy, oczekuje od swojego partnera, by był zawsze tam, gdzie jego miejsce, żeby go ubezpieczał, nieustannie czuwał, wspierał go i dbał o jego bezpieczeństwo - mówił Nordoff. - Dzisiaj nasz partner, miasto San Francisco, oświadcza, że nie ma zamiaru dłużej tego robić. Oświadcza, że nie obchodzi go, czy ktoś się zatroszczy o nasze rodziny, czy zapewni naszym dzieciom wykształcenie, a nam na starość emeryturę. Mimo to nalega, byśmy narażali nasze życie, nie mając z tyłu wsparcia. Tak po prostu nie może być.

Zaraz po tej wypowiedzi, z relacją na żywo z Potrero Hill, na ekranie pojawiła się reporterka telewizji KGO-TV Margo Cole, która miała chyba więcej sztucznych części w ciele niż bohaterka serialu telewizyjnego *Kobieta bioniczna*. Wbijiała w obiektyw swój ponury wzrok i wydymała rybie usta. Jestem pewna, że ten posępny wygląd bardziej brał

się z iniekcji przeciwmarszczkowej botuliny niż zdarzenia, które relacjonowała.

- Zabójca, który poluje na samotnie biegające kobiety, dopadł swoją trzecią ofiarę. Ustalono już, że jest to Serena Mirkova, lat dwadzieścia trzy, która niedawno wyemigrowała z Gruzji. Jej ciało znaleziono dzisiaj rano w parku McKinley.

Margo powtórzyła szczegóły dotyczące wcześniejszych zabójstw i podkreśliła brak postępu w śledztwie prowadzonym przez policję, chociaż na krótko wystąpił również Stottlemeyer, patrząc sztywno i niepewnie w obiektyw i zapewniając, że departament policji sprawdza kilka prawdopodobnych śladów. Potem na ekranie znowu się pojawiła Margo, by podsumować relację.

- Zaprowadzone przez mordercę rządu terroru w mieście przepędzają po zmierzchu z ulic kobiety, które ze strachu zamykają się za zatrzęsniętymi drzwiami i oknami domów, zastanawiając się, kiedy, i czy w ogóle, policja zdoła ująć „Dusiciela Golden Gate”.

Cóż, przynajmniej zabójca ma już jakieś imię.

Margo nie wspomniała słowem o znikających lewych butach do biegania, ponieważ policja nie ujawniła mediom tej informacji.

Następnego dnia rano siedemdziesiąt procent policjantów wzięło zwolnienie chorobowe i nie przyszło do pracy, a kilka źródeł w urzędzie miasta ujawniło dziennikowi „San Francisco Chronicle”, że władze poważnie się obawiają wzrostu fali przestępczości w całym mieście.

Domysliłam się, że to tylko prowokacyjna retoryka ratusza, mająca dolać oliwy do ognia i zwrócić opinię publiczną przeciwko policjantom. Jednak

o ile popierałam żądania Stottlemeyera i Dishe-ra, o tyle niepokoiłam się, że ta nagła epidemia wśród policjantów wystawi szarych obywateli, takich jak ja, na dużo większe niebezpieczeństwo.

Na całe szczęście swoją żalosalną pensję otrzymywałam niezależnie od tego, czy Monk prowadził jakieś dochodzenie czy nie. Nie byłam bowiem wyłącznie jego asystentką przy śledztwach - byłam również jego kierownicą, sekretarką, rzeczniczką, osobą robiącą zakupy i przewodniczką w wielkomiejskiej dżungli San Francisco.

Tylko jednym nie byłam — gosposią domową. Nie musiałam się bać, że któregoś dnia Monk poprosi mnie o pozmywanie naczyń w jego domu, zamiecie-nie podłogi czy umycie okien, ponieważ znajdował prawdziwą rozkosz w samodzielnym wykonywaniu tych prac domowych. Prawdę mówiąc, niejednokrotnie musiałam go powstrzymać przed posprzątaniem mojego własnego mieszkania.

Nie w tym rzecz, że nie byłabym wdzięczna za odrobienie za mnie domowej harówki. Przeciwnie, nienawidzę domowej roboty, nie stać mnie na gosposię i nigdy nie mam dość czasu, by zdążyć ze wszystkim, co mam do zrobienia. Problem tkwi w tym, że w kwestiach czystości gorliwość Monka przekracza wszelkie wyobrażalne granice.

Możecie mi wierzyć lub nie, ale istnieje coś takiego jak dom, w którym jest za czysto i w którym panuje za duży porządek.

Kiedy jeden jedyny raz pozwoliłam mu posprzątać moje mieszkanie, wyglądało ono jak modelowe mieszkanie z katalogu - w złym sensie tego słowa. Nie było w nim cienia tego domowego rozgardiaszu, który powstaje w sposób naturalny, gdy dom

jest zamieszkany, i który nadaje domowi takiego typowego, hm... domowego klimatu. Monk sprawił, że wewnątrz było nie do zniesienia. Więcej nawet, pachniało szpitalem.

Poza tym zawsze lubię mieć trochę prywatności, co nie jest łatwe dla samotnej matki wychowującej dwunastoletnią córkę. Ostatnia rzecz, jakiej bym w życiu pragnęła, to Monk grzebiący w mojej garderobie.

Jako że Monk nie zajmował się w tej chwili żadnym śledztwem, a zdążył już wysprzątać swoje mieszkanie - w każdym razie na tyle, na ile mógł bez skuwania tynku ze ścian i polerowania gwoździ w szkielecie budynku - zabrałam go na zakupy. Musiałam kupić dla Julie nowe rzeczy do szkoły, a w Nordstromie, w Centrum Handlowym San Francisco, trwała właśnie wielka wyprzedaż.

Julie była osobą nieprawdopodobnie uświadomioną w sprawach markowych rzeczy. Mogłabym kupić w Wal-Marcie dzinsy za dziesięć dolarów, posiekać je nożem, przejechać po nich kilka razy samochodem i wyglądałyby dokładnie tak jak dzinsy za sto pięćdziesiąt dolarów, których się dopraszała Julie. Ale nie, dziewczyna musiała mieć markowy ciuch, bo w przeciwnym razie groziłby jej społeczny ostracyzm, wieczne wygnanie na ośłą ławkę w szkolnej kafeterii. W każdym razie tak twierdziła.

Próbowałam tłumaczyć córce, że to, kim człowiek jest, to coś znacznie więcej niż suma znaków firmowych, które na sobie nosi, ale taki bój z góry był skazany na porażkę. Jeśli rzeczy, w które się ubierała, nie krzyczały takimi markami jak Von Dutch, Juicy, Hard Trail albo Paul Frank, True Religion czy Nike, to Julie kategorycznie odmawiała pojawiania się w miejscu publicznym.

Jedynym sposobem na to, by było mnie stać na rzeczy, które absolutnie musiała mieć, było wyczekiwanie niczym sęp na wielkie wyprzedaże, a potem, w momencie otwarcia sklepu, dzikie rzucanie się na łup, co też właśnie z Monkiem czyniłam.

Podczas gdy przeglądałam przecenione rzeczy, mocując się z innymi zdesperowanymi i zadreżzonymi matkami nad spodniami, bluzkami, butami do biegania i T-shirtami, Monka zainteresował jeden z obrotowych wieszaków, na którym wisiały, ułożone według rozmiaru, bluzki po obniżonej cenie.

Pogrupowanie bluzek nie odpowiadało Monkowi. Nie cierpiał, jeśli bluzki były tak przemieszane. Zwykle sortował je według marki, koloru, wzoru i dopiero wówczas, w każdej z tych grup, według rozmiaru. Każdą bluzkę, której nie można było dopasować według marki, koloru czy wzoru, odwieszał na bok, do grupy, którą sam utworzył (coś w rodzaju czyścica).

Zerkałam właśnie na Monka, gdy raptem jakaś kobieta w mocno zaawansowanej ciąży porwała mi sprzed nosa upatrzoną przeze mnie bluzkę, ostatnią w rozmiarze Julie. Kobieta robiła wrażenie, jakby w każdej chwili mogła urodzić bliźniaki, a może nawet i czworaczki.

- Przepraszam, ale to moja bluzka - zaprotestowałam mimo wszystko.

- Bardzo zabawne, proszę pani, jeśli dobrze widzę, ja trzymam bluzkę w ręku, nie pani.

- Ale miałam ją już pod ręką.

- Pod ręką ma pani cały stół - odparła. - Czy to znaczy, że wszystkie te bluzki należą do pani?

W tej chwili torebka zsunęła się jej z ramienia na podłogę. Kiedy się po nią schylała, kusiło mnie,

żeby kopnąć ją w tyłek, ale w porę się powstrzymałam. Wiedziałam, co znaczy być w ciąży. Hormony potrafią przemienić człowieka w potwora. Może zanim zaszła w ciążę, była przemiłą kobietą o głębim sercu?

Kiedy odeszła spokojnym krokiem, zobaczyłam, że Monk też na nią patrzy. Z jego miny wywnioskowałam, że nie zapalał do niej większą miłością niż ja. Po chwili wrócił do przekładania bluzek na obrotowym wieszaku, a ja znowu zaczęłam szukać skarbów na stole.

W końcu znalazłam kurtkę marki Juicy, parę spodni Von Dutch, kilka T-shirtów od Paula Franka i parę dobrych butów do biegania, a wszystko to razem kosztowało mnie mniej niż którakolwiek z tych rzeczy osobno w oryginalnej cenie.

Byłam tak zachwycona swoją zakupową maestrią, że zaprosiłam Monka na przekąskę do kafeterii w Nordstromie - ja stawiałam. Nie był to szczególnie wspaniałomyślny gest z mojej strony, wiedziałam bowiem, że Monk zamówi dla siebie jedynie butelkę wody Sierra Springs.

W drodze do kafeterii Monk o mały włos zde-rzyłby się ze starszym mężczyzną, który niespodziewanie wyłonił się zza filara, ciągnąc za sobą na kółkach spory pojemnik tlenowy. Mężczyzna oddychał ciężko ze świstem w krtani, a z pojemnika biegły do jego nosa cienkie rurki. Kiedy przyjrzałam mu się z bliska, stwierdziłam, że wcale nie jest taki stary, na jakiego mi wyglądał; mógł mieć najwyżej sześćdziesiąt lat. Miał zapadnięte, pozbawione rumieńców policzki i pałające oczy.

- Pan wybaczy - powiedziałam i pośpiesznie przeszłam dalej.

Jednak Monk się nie ruszył. Przyglądał się mężczyźnie badawczo, jakby był przedstawicielem jakiegoś odrębnego gatunku.

- Pal pan trzy paczki dziennie przez trzydzieści lat, a też skończysz z czymś takim - wyświstał mężczyzna, postukując pięścią w pojemnik z tlenem.

Monk przekręcił głowę i zmrużył przenikliwe oczy. Cofnęłam się po niego, pociągnęłam go za rękaw i poprowadziłam do kafeterii. Usiedliśmy przy barze, nad którym wisiał płaskoekranowy telewizor, w którym pokazywano właśnie południowe wiadomości. Zamówiłam dla Monka wodę, a dla siebie filiżankę kawy i truskawkową tartę.

Zauważyłam, że w kafeterii jest również ciężarna kobieta. Siedziała przy jednym ze stolików i jadła jakieś ciasto. Wydawało mi się, że nie kupiła tamtej bluzki, i przez chwilę miałam ochotę pobiec do działu młodzieżowego, aby jeszcze ją odszukać.

Monk siedział spokojnie i nadal przyglądał się starszemu mężczyźnie, który chodził ze swoim pojemnikiem między regałami w dziale męskim tuż obok kafeterii.

- Niech pan przestanie się tak gapić - zwróciłam mu uwagę. - To niegrzeczne.

- Nie gapię się - odpowiedział Monk. - Prowadzę obserwację.

- Nie mógłby pan obserwować nieco dyskretniej? Monk się uśmiechnął.

- Oczywiście. To tak, jakby zapytać węża, czy potrafi pełzać.

Wziął do ręki menu, podniósł je na wysokość twarzy i zaczął raz po raz zerkać zza krawędzi karty; to na starszego mężczyznę, to na ciężarną kobietę, to na jakąś zakonnice, która popijała kawę



i mimowolnie bawiła się krzyżem na szyi. Usiłując działać dyskretnie, Monk jeszcze bardziej zaczął się rzucać w oczy. Teraz wszyscy patrzyli na niego.

Postanowiłam nie zwracać na niego uwagi. spoj-  
rzałam w ekran telewizora. Właśnie transmitowano konferencję prasową burmistrza Smitrovicha w ratuszu. Pomyślałam, że może chodzi o „błękitną grypę”, więc poprosiłam barmana o pogłóśnienie odbiornika, żebym lepiej słyszała, co burmistrz ma do powiedzenia.

- ...dlatego właśnie wyznaczam nagrodę w wy-  
sokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów za każdą informację od obywateli, która doprowadzi do ujęcia i skazania „Dusiciela Golden Gate” - mówił burmistrz. - Każdy, kto uważa, że może pomóc, jest proszony o telefon na podany numer.

Odsunęłam kartę sprzed twarzy Monka i skinę-  
łam ręką w kierunku telewizora.

- Niech pan słucha - powiedziałam.

- Nie wolno dopuścić, by jeden człowiek terro-  
ryzował miasto - ciągnął Smitrovich. - Zwłaszcza teraz, kiedy funkcjonariusze policji, prowadząc nie-  
legalną akcję protestacyjną, lekceważą spoczywają-  
cą na nich odpowiedzialność wobec obywateli.

Zapisałam na serwetce numer telefonu.

- To dla pana wielka okazja, panie Monk.

Dla mnie zresztą też. Gdyby zdobył te dwieście  
pięćdziesiąt tysięcy dolarów, mógłby mi dać szczerą  
podwyżkę i nie musiałabym wyczekiwać na wyprze-  
daje, żeby kupić córce coś do ubrania.

- Nie kwalifikuję się do nagrody - powiedział  
Monk. - Jestem wciągnięty w śledztwo. Miasto  
mnie zatrudnia.

- Był pan. Teraz jednak jest pan zwykłym pry-

watnym obywatelem, który zgarnie ćwierć miliona za rozwikłanie zagadki tych morderstw.

Ale Monk wcale mnie nie słuchał. Uporczywie wpatrywał się w starszego mężczyznę.

- On wciąż stoi.

- To chyba dobrze dla niego, prawda? - powiedziałam. - Łatwo się nie poddaje.

- Już dawno powinien się zwalić na plecy.

- Panie Monk, doprawdy dziwię się panu. Nie ma w panu odrobiny współczucia?

Monk tymczasem zsunął się z krzesła przy barze i pewnym krokiem podszedł do mężczyzny. Zebrałam szybko swoje torby i popędziłam za nim.

- W porządku, dziadku, koniec zabawy - oświadczył Monk, stając mu na drodze.

- Zabawy? - zaświstał mężczyzna.

- Będziesz pan siedział - powiedział Monk, niemal dźgając go w twarz wyciągniętym palcem.

- Zejdź mi pan z drogi, - Mężczyzna przepchnął się obok Monka, ale ten zablokował nogą kółka pojemnika z tlenem i zatrzymał mężczyznę.

- Nigdzie pan nie pójdzie, najwyżej do więzienia - powiedział Monk.

- Niech mnie pan zostawi w spokoju! - krzyknął mężczyzna, szarpiąc pojemnik.

Monk spuścił rękawy na dłonie i objął pojemnik, przyciskając go mocno do siebie. Mężczyzna ciągnął pojemnik, ale Monk nie chciał go puścić.

- Poddaj się, dziadku! - zawołał Monk.

Stałam między nimi i spojrzałam na Monka.

- Co pan robi?

- To oszust - powiedział Monk. - Wezwij ochronę.

Jednak ochrony nie musiałam wzywać, bo w tej chwili, jak spod ziemi, wyrosło przy nas dwóch po-

stawnych facetów z identycznymi słuchawkami na uszach, ubranych w identyczne, zbyt duże kurtki. Jeden z nich się odezwał.

- Dzień dobry. Ned Wilton, ochrona sklepu. O co chodzi?

Wilton był Afroamerykaninem z klatką piersiową jak beczka i krótkim, wojskowym językiem na głowie. Wyglądał na ciężarowca, który postanowił zostać agentem służb specjalnych.

- Nie widać? - powiedział zdenerwowany mężczyzna, z trudem łapiąc oddech. - Zostałem napadnięty przez szaleńca.

- To członek siatki złodziei, którzy okradają sklepy - oświadczył z kolei Monk.

Starszy mężczyzna zaczął gwałtownie kaszleć. Wilton zerknął na niego, a potem przeniósł wzrok na Monka.

- Widział pan, jak coś kradnie w sklepie?

- Nie — odpowiedział Monk.

Widać było, jak Wilton zaciska mięśnie szczęki. Czyżby nawet te mięśnie ćwiczył w siłowni?

- Zatem dlaczego pan uważa, że to złodziej?

- Niech pan spojrzy na wskaźnik pojemnika tlenowego - powiedział Monk. — Ta butla jest pusta.

Starszy mężczyzna raptem zwałił się na podłogę i zaczął łapczywie chwytać powietrze w płuca, przyciskając dłonie do klatki piersiowej. Drugi z ochroniarzy natychmiast przy nim przyklęknął.

- Lepiej wezwijmy pogotowie ratunkowe.

Wilton przytaknął i drugi ochroniarz zaczął coś mówić do krótkofalówki, którą wyciągnął z kieszeni kurtki.

- On tylko udaje - zachnął się Monk. - Od do brych pięciu minut wskaźnik pokazuje zero, a wi-

dzieliście, z jaką siłą się mocował, próbując wyszarpnąć mi pojemnik z rąk. Gdyby rzeczywiście miał rozedmę, jego skóra byłaby już sina.

Tymczasem mężczyzna wpadł w spazmy, wijąc się na podłodze i krztusząc. Wokół zaczął się zbierać tłumek przerażonych klientów.

- On chyba umiera - powiedział drugi ochroniarz.

Monk całkowicie zignorował tę uwagę.

- Pojemnik tlenowy jest pełen skradzionych rzeczy. Jego obudowa neutralizuje działanie zabezpieczeń antykradzieżowych, dzięki czemu złodziej może

wchodzić i wychodzić ze sklepu, nie będąc wykrytym przez sensory w bramkach.

Starszy mężczyzna zagulgotał nagle i podkurczył nogi. Tym razem nawet Wilton nie dał się nabrać na ten spektakl.

Podszedł do pojemnika z tlenem i zdjął pokrywę. Pojemnik po brzegi był wypełniony markową odzieżą.

Mężczyzna przestał wierzgać nogami i ciężko westchnął.

- Cholera jasna... - mruknął.

- Skończyły się pańskie łotrostwa - powiedział Monk.

- Bardzo panu dziękujemy - powiedział do Monka Wilton. — Jesteśmy wdzięczni za pomoc i myślę, że teraz już sami damy sobie radę.

- Zatem wiecie o kobiecie w ciąży?

- Której kobiecie w ciąży?

Monk wskazał kobietę w kafeterii, która wstała właśnie od stołu i szybkim krokiem zaczęła zmierzać w kierunku wyjścia.

- Tej, która nie jest w ciąży.

Kobieta obejrzała się jeszcze na nas i musiała chyba dostrzec w naszych twarzach coś, co nie mogło się jej spodobać, bo puściła się nagle biegiem przed siebie. Nie myśląc wiele, rzuciłam się za nią w pogoń. Nie miała szans. Po chwili zwałam ją na ziemię klasycznym szczupakiem, której to umiejętności nauczyłam się od brata.

Ciężko upadliśmy na podłogę. Jej brzuszysko pękło jak pinata, rozpryskując dookoła ubrania i kosmetyki. Kobieta warknęła na mnie, a ja w odpowiedzi warknęłam na nią. Potem chwyciłam bluzkę, którą sprzątnęła mi sprzed nosa, i zacisnęłam ją triumfalnie w dłoni. Lepiej nie wchodzić w drogę matce, córce i bluzce marki Juicy przecenionej o osiemdziesiąt procent.

Monk i Wilton natychmiast do nas podbiegli. Wilton przytrzymał kobietę i wezwał przez radio wsparcie. Wstałam.

- Niezły bodiczek - powiedział Monk.
- Skąd pan wiedział, że ta kobieta nie jest w ciąży? - zapytałam.
- Chodziła prosto, nie bujała się z boku na bok, a kiedy upuściła torebkę, schyliła się po nią, nie zginając nóg.

Nie zauważyłam tego, a stałam przecież wtedy tuż przy niej. Pewnie zaślepiło mnie słuszne oburzenie zaprzątniętego zakupami klienta.

Wilton obejrzał się na Monka.

- Czy jeszcze o kimś powinniśmy wiedzieć?
  - Jest jeszcze zakonnica - powiedział Monk.
- Zakonnica wciąż siedziała w kafeterii, udając, że nas nie widzi, i nadal się bawiła krzyżem na szyi.
- Nosi habit zakonu św. Marty z Betanii, ale na szyi ma krucyfiks z postacią Jezusa - tłumaczył

Monk. - Siostry z zakonu św. Marty noszą prosty, złoty krzyż. Ta kobieta to herszt całej siatki. Jest na czatach.

W tej chwili pojawiło się pół tuzina kolejnych ochroniarzy i Wilton natychmiast wysłał dwóch do kafeterii, by zatrzymali zakonnicę-przebierańca.

- Co za zabawa - ucieszył się Monk. - Powinniśmy częściej chodzić na zakupy.

Złożyłam bluzkę i zaraz ruszyłam w kierunku najbliższej kasy. Nie miałam zamiaru dać się aresztować za kradzież w sklepie.

- Umie pan dobrze obserwować ludzi, panie Monk.

- Nie, nie. - Monk posłał mi uśmiech pełen zadowolenia. - Ja tylko się na nich gapię.

## Monk i prosta odpowiedź

Zakupy ukryłam w swoim pokoju. Za parę dni Julie miała otrzymać w szkole oceny okresowe, więc postanowiłam dać jej wszystkie rzeczy jako nagrodę za dobre stopnie, co do których nie miałam wątpliwości.

W sobotę rano zatelefonowała matka jednej z koleżanek Julie i zaproponowała, że weźmie dziewczęta do kina na któryś z kolejnych Disneyowskich remake'ów z Lindsay Lohan w roli głównej. Mnie również zaprosiła, ale jakoś się wykręciłam. Cieszyłam się na parę godzin spokoju. Poza tym wiedziałam, że i tak będę winna wolną sobotę tej mamie. Na tym to wszystko polega, a matki, wierzcie mi, nie zapominają o takich długach.

Ledwie jednak Julie zniknęła za drzwiami, zadzwonił Stottlemeyer. Domyśliłam się, że poszukuje Monka, a to oznaczało, że jest śledztwo w sprawie jakiegoś kolejnego zabójstwa. Mogłam się pożegnać z wolnym dniem.

- Nie ma u mnie Monka - powiedziałam. - Dzisiaj sobota, więc pewnie szoruje chodnik przed domem.

- Nie szukam Monka - powiedział Stottlemeyer.  
- Pomyślałem, że może miałabyś trochę czasu na filiżankę kawy czy coś w tym rodzaju. - Zanim

zdążyłam odpowiedzieć, kapitan dodał szybko: — Nie chodzi o randkę.

- To chyba oczywiste - stwierdziłam.

I aż przysiadłam, bijąc się w czoło, bo pomyślałam, jaką przykrość mogły mu sprawić te słowa. Niedawno zostawiła go żona, więc całą jego męską pewnością siebie, że tak powiem, diabli wzięli. Zapewne ostatnia rzecz, jakiej było mu trzeba, to sugestia, że jest najmniej pożądanym mężczyzną na kuli ziemskiej.

- To znaczy, nie chodzi o to, że w ogóle nie można się z panem umówić na randkę. Przeciwnie, można jak najbardziej. Chodziło mi o to, że wiedziałam, że nie chodzi panu o to, o *co* mogłoby teoretycznie chodzić, rozumie pan, o co mi chodzi?

- Uhm... - odpowiedział Stottlemeyer. - To nie był dobry pomysł. Zapomnij, że telefonowałam. Umówmy się, że tego telefonu nie było.

Kiedy Karen odeszła od Stottlemeyera, powiedziałam, żeby do mnie dzwonił, jeśliby czegoś potrzebował. Nietrudno było mi złożyć taką propozycję, ponieważ wiedziałam, że kapitan nigdy z niej nie skorzysta. Po pierwsze, Stottlemeyer był gliną, więc musiał być twardy, niewzruszony i musiał zachowywać stoicki spokój, bo wszystko inne byłoby oznaką słabości (co prawdopodobnie jest jednym z powodów rozpadu jego małżeństwa, ale cóż ja mogę o tym wiedzieć?). Po drugie, nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Łączyła nas jedynie troska o Adriana Monka i podziw dla jego geniuszu.

Najwyraźniej się myliłam.

- Zaraz, niech pan poczeka - powiedziałam. - Fiolizanka kawy to dobry pomysł. Naprawdę. Właśnie czekałam na jakiś pretekst, żeby nie robić prania,



nie zmywać naczyń i nie zajmować się rachunkami. To gdzie się spotkamy?

Spotkaliśmy się w kafeterii jedną przecznicę od mojego domu. Lokal był zastawiony szpetnymi kanapami i krzesłami, które w mniemaniu właściciela miały nadawać wnętrzu domową, swojską atmosferę. Tymczasem mnie dawały poczucie, jakbym przyszła na kawę do brudnej, zapuszczonej speluny. Ale kawa smakowała, a knajpka nie była daleko.

Stottlemeyer wyglądał równie nędznie jak kawiarne meble; nieuczesane włosy, mocno podkrążone oczy, wygniecione ubranie. Miałam ochotę przygarnąć go do siebie, ale to tylko matka się we mnie odezwała. Mam ochotę przygarnąć każdego, kto wygląda na istotę nieszczęśliwą. Przed urodzeniem Julie nie znałam takiego uczucia. Uścisnęliśmy więc tylko sobie ze Stottlemeyerem dłonie.

Stottlemeyer mruknął coś w stylu „Jak leci?“, po czym ucięliśmy krótką, godną zapomnienia pogawędkę, zamawiając w tym czasie kawę, jakieś ciastka i znajdując wolny stolik. Potem nastąpiła długa chwila niezręcznego milczenia, podczas której dmuchaliśmy na dymiące kawy i próbowaliśmy ignorować długą chwilę niezręcznego milczenia.

- Zaczynam coraz lepiej rozumieć Monka - powiedział wreszcie Stottlemeyer.

- Dlaczego?

- Zawsze miał swoje problemy, ale odkąd się ożenił z Trudy, potrafił znaleźć równowagę w życiu. Potrafił funkcjonować. Dopiero po jej stracie zupełnie się pogubił - mówił Stottlemeyer. - Rozpadł się na kawałki. Teraz rozpaczliwie usiłuje poskładać w całość każdy drobny szczegół otaczającego go

świata, bo wierzy, że jeśli mu się to uda, to sam się pozbiera do kupy.

- Zawsze pan to wiedział - powiedziałam.

- Tak, ale nie tak dobrze jak teraz.

- Dlaczego?

- Jestem sam - odparł Stottlemeyer. - Pomyślisz może, że nie miałbym nic przeciwko temu. Może tak, gdyby...

- Gdyby co?

- Moja żona zawsze mi mówiła, że żyję we własnym światku, zamykam się przed nią i wszystkimi innymi - powiedział. - Powiedziała kiedyś, że równie dobrze mogłaby mieszkać w naszym domu sama, Ale to nie to samo. Teraz znam różnicę.

- Dopiero teraz - powiedziałam i natychmiast pożałowałam słów, które same wyrwały się z ust,

Stottlemeyer jednak przytaknął.

- Tak, pewnie dopiero teraz.

- Przepraszam - powiedziałam.

- Nie masz za co przepraszać - odparł Stottlemeyer. - Wziąwszy pod uwagę mój zawód, mam szczęście, że moje małżeństwo trwało tak długo. Codziennie się stykam z najciemniejszą stroną człowieczeństwa. Uważałem, że trzeba ją przed tym chronić. Czy sądzisz, że jeszcze by ze mną była, gdybym wszystko jej mówił, gdybym wracał do domu i wymiotował przed nią całym minionym dniem?

Wzruszyłam tylko ramionami.

Stottlemeyer wlepił wzrok w kawę.

- Robota zawsze wypełniała cały mój czas. Do dzisiaj utrzymywała mnie przy życiu. Sęk w tym, Natalie, że nie umiem być sam.

- Nie jest pan sam - zauważyłam. - Ma pan rodzinę, przyjaciół.

- Tak ci mówili, kiedy zginął twój mąż?  
- Pańska żona żyje.  
- Ale czuję, jakby nie żyła - odparł zrezygnowany. - I za każdym razem, kiedy ją widzę i kiedy ona odchodzi, sam po trochu umieram.

- Powiedział jej pan o tym?  
- Sama to wie - powiedział Stottlemeyer.

Nie miałam zamiaru się spierać. Nie znałam ani jego, ani Karen na tyle, by móc ocenić, czy ma rację.

- Obawia się pan, że stanie się pan takim drugim Monkem?

- Prawdę mówiąc, obawiam się - odpowiedział. - Tyle że nie w tym fragmencie, w którym Monk tak genialnie rozwiązuje zagadki zbrodni.

- Niech się pan nie boi, nigdy nie będzie pan taki jak Monk.

- Natalie, wiesz, co robiłem wczoraj wieczorem? Pastowałem buty. Nigdy wcześniej nie pastowałem sobie butów.

- Mierzył pan sznurowadła, by sprawdzić, czy są równe? Włożył pan buty z powrotem do oryginalnych pudełek, czyściutkich, jakby prosto z fabryki, i układał je pan według kolorów?

- Nie - odpowiedział.

- No to nie jest pan Monkem - orzekłam.

- W każdym razie czułem się zdecydowanie Monkowo - powiedział Stottlemeyer, - Kiedy dziś rano spojrzałem na te buty, wyszedłem na dwór i schlapałem je błotem.

Hm, to już było trochę dziwne. Ale zachowałam tę uwagę dla siebie.

- Pastowanie butów, sprzątanie spiżarni i tak dalej, właśnie te drobne rzeczy, nasza szara codzien-

ność, te zwykłe życiowe obowiązki sprawiają, że człowiekowi udaje się przejść przez najgorsze - powiedziałam. - Jakoś pan funkcjonuje, nawet jeśli się panu wydaje, że pan nie funkcjonuje. Myślę, że to też leczy rany. Potem człowiek się budzi któregoś dnia i czuje, że ból nie jest taki dojmujący, a na dodatek garaż lśni czystością. To bonus.

Zdawało się, że Stottlemeyer musi przemyśleć to wszystko przez dłuższą chwilę. Potem westchnął ciężko.

- Dziękuję, Natalie. Naprawdę jestem wdzięczny.

- Może pan na mnie liczyć, kapitanie - powiedziałam, nie bez powodu utrzymując oficjalny ton; nie bardzo chciałam, aby wylewał na mnie wszystkie żale. - Co pan chce teraz zrobić?

Stottlemeyer wzruszył ramionami.

- Nie wiem, pewnie zacznę sprzątać garaż.

W tej chwili zadzwonił mój telefon. To był Monk. Nie mogłam uwierzyć w to, co miał mi do zakomunikowania.

- Zaraz u pana będę. - Zamknęłam z trzaskiem kłapkę telefonu i spojrzałam na Stottlemeyer a.

- Co się stało? - zapytał.

- Burmistrz chce się widzieć z Monkiem - powiedziałam. - Myśli pan, że poprosi go o zajęcie się jakąś sprawą?

Poczułam nagle, że okazja do zdobycia przez Monka nagrody za złapanie „Dusiciela Golden Gate” zaczyna się gwałtownie oddalać; wraz z moimi nadziejami na podwyżkę.

- Burmistrz wie, że Monk nie będzie pracował z żadnym policjantem poza mną - powiedział Stottlemeyer. - I że żaden policjant poza mną nie będzie chciał pracować z Monkiem.

- Więc o co może chodzić?
- Może burmistrz chce, żeby Monk prowadził negocjacje ze związkiem zawodowym? - wyraził przypuszczenie Stottlemeyer.
- Skąd przyszedłby mu do głowy taki pomysł?
- Miałabyś lepszy sposób na złamanie związkowych negocjatorów? - zapytał Stottlemeyer. - Po godzinie spędzonej z Monkiem w jednym pokoju albo zastrzela jego, albo siebie.

Ratusz w San Francisco został zbudowany krótko po trzęsieniu ziemi w tysiąc dziewięćset szóstym roku i miał być wielkim zawołaniem do świata, że miasto wciąż żyje -jest większe, silniejsze i bogatsze niż kiedykolwiek.

Bujność stylu beaux arts, w jakim zaprojektowano budynek, jego doryckie kolumny i miedziana barokowa kopuła miały sprawić, by nikt nigdy nie miał wątpliwości, że stoi przed bardzo ważnym budynkiem rządowym. Na szczycie wielkiej kopuły, jakby nie dość, że była taka wielka, wzniesiono jeszcze zdobioną latarnię i pochodnię, która płonęła zawsze, gdy wieczorem trwały obrady rady miejskiej.

Co prawda budynek był bardziej krzykliwy i pompatyczny niż majestatyczny i imponujący, ale jak się wydaje, taki styl dobrze pasuje do miejsca, w którym przebywają, w zasadniczej większości, politycy i biurokraci.

Jednak w gabinecie burmistrza Smitrovicha poczułam się jak w akwarium. Na ścianie zobaczyłam tarpony, mieczniki, dorady i inne ryby, wszystkie z otwartymi szeroko pyskami, wszystkie wykręcane w ostatnim przedśmiertnym uderzeniu ogonem.

Z zewnątrz, przez szybę za plecami burmistrza, patrzyło na nas z zaciekawieniem dwóch zmywaczy okien. Do pełnego efektu brakowało tylko ceramicznej syrenki i podwodnego zamku, wokół którego moglibyśmy pływać. Przedstawiliśmy się.

- Miło mi wreszcie pana poznać, panie Monk - powiedział Smitrovich, wychodząc zza biurka i go rąco potrząsając ręką Monka. - Jestem wielbicielem pana talentu.

Podaliśmy Monkowi wilgotną chusteczkę higieniczną.

- Naprawdę? - zapytał Monk, wycierając ręce.

- Szczerze podziwiam pana niestrudzone wysiłki na rzecz naszego miasta.

- Cóż za ulga. Zacząłem się już obawiać, że nawet nie czyta pan moich listów - powiedział Monk. - Nadszedł czas, aby ktoś cieszący się takim autorytetem jak pan położył kres największej infamii naszego miasta i przemienił w końcu Lombard Street z najbardziej poskręcanej w najbardziej wyprostowaną ulicę świata.

- Chce pan wyprostować Lombard Street? - zapytał burmistrz.

- Ten, kto zaprojektował Lombard Street, powinien zostać obity własną przykładnicą - powiedział Monk. - Co za szczęście, że zdołano go w porę powstrzymać, zanim wszystkie ulice naszego miasta zaczęły wyglądać jak nieszczęsna Lombard. To zdumiewające, że nikt dotąd nie wpadł na pomysł, by wyprostować tę ulicę.

- Wie pan, jak to jest, panie Monk - rzekł wolno burmistrz. - Mamy na głowie tyle innych spraw niecierpiących zwłoki.

- Cóż może być ważniejszego? - zdziwił się Monk.
- Właśnie - podchwycił burmistrz. - To jest powód zaproszenia pana do ratusza.
- Chce pan prostować Lombard Street?
- Nie. Jeszcze nie...
- Zdaję sobie sprawę, że spotka się pan z zajądłym protestem ze strony tych stukniętych mniej szłości, hipisów i bitników, ale obiecuję, że stanę za panem murem.
- To krzepiące, panie Monk, bo rzeczywiście pańskie wsparcie będzie mi potrzebne - powiedział burmistrz. - Nie wątpię, że łączy nas głęboka i równie niezachwiana miłość do naszego wspaniałego miasta.
- Nigdy nie będzie wspaniałe, dopóki znajduje się w nim najbardziej poskręcana ulica świata - stwierdził smutno Monk. - Miasto wspaniałe to miasto z najbardziej wyprostowaną ulicą świata. Niech pan tylko pomyśli o turystach, którzy będą zjeżdżać do miasta tylko po to, żeby ją zobaczyć.
- Panie Monk, miliony turystów przyjeżdżają do San Francisco, żeby zobaczyć poskręcaną Lombard Street - zauważył burmistrz.
- Tylko po to, żeby nas obśmiewać — powiedział Monk. - Jak pan myśli, skąd się wzięło powiedzenie „ci zwariowani Amerykanie”? Właśnie z powodu Lombard Street. Wystarczy naprawić ulicę, a nikt tych słów nigdy nie powtórzy.
- Panie Monk, w tej chwili bardziej mnie niepokoi absencja policjantów w pracy. Na szczęście większość funkcjonariuszy z patroli ulicznych zameldowała się na służbie; dużo gorzej jest z detektywami i kadrą kierowniczą - mówił burmistrz. - Powstał poważny problem związany z bezpieczeństwem pu-

blicznym. Brakuje nam kadr do prowadzenia śledztw dotyczących najpoważniejszych przestępstw. Sam pan wie, jakie znaczenie dla śledztwa ma pierwsze czterdzieści osiem godzin. Potem ślady się zacierają. Trzeba coś z tym zrobić, tym bardziej że w mieście grasuje dusiciel. Doprawdy, nie mogli sobie wybrać gorszego czasu na te połajanki.

- Mógłby pan zrezygnować z cięć pensji i składek ubezpieczeniowych policjantów - powiedziałam. - Gwarantuję, że detektywi wróciliby do pracy.

- Oczywiście, mogę ulec żądaniom policjantów - powiedział burmistrz. Rzucił mi szybkie i gniewne spojrzenie, a potem z powrotem przeniósł wzrok na Monka. - Ale skąd wzięlibyśmy pieniądze na wyprostowanie Lombard Street?

Monk spojrzał na mnie.

- Ma słuszność.

- Nie, nie ma - zaoponowałam. — Z całym należnym panu szacunkiem, panie burmistrzu, ci ludzie kładą na szali własne życie. Jesteśmy im winni przyzwoite pensje, wygodną emeryturę i opiekę medyczną, na którą byłoby ich stać.

- W takim razie co mam powiedzieć pracownikom wodociągów, nauczycielom albo strażakom, którzy nie cieszą się takimi przywilejami jak policjanci? Co mam powiedzieć obywatelom, którzy chcą nowych szkół i czystszych, bezpieczniejszych, bardziej wyprostowanych ulic?

Ta ostatnia uwaga ewidentnie była skierowana do Monka, jednak Monk nie zwrócił na nią uwagi. Wychylał głowę to w prawo, to w lewo, usiłując dojrzeć coś za plecami burmistrza.

Smitrovich odwrócił głowę, żeby sprawdzić, co rozprasza uwagę Monka. Ale zobaczył jedynie dwóch



zmywaczy okien, którzy przeciągali po szybie gumowymi ściągaczkami, zbierając rozmazane mydliny.

- Nie zaprosił pan przecież pana Monka do ratusza po to, żeby usiadł przy telefonie i prowadził rozmowy ze związkami - powiedziałam. - Pan czegoś od niego oczekuje.

- To prawda - przyznał burmistrz i zwrócił się do Monka: - Chciałbym, aby pomógł pan rozwikłać sprawy ostatnich zabójstw w mieście.

Jednak w tej chwili Monk był zajęty dawaniem zmywaczom jakichś znaków. Mężczyźni za oknem pomachali do niego z uśmiechem. Kiedy Monk znowu do nich pomachał, nie zwracali już na niego uwagi.

- Pan Monk wspomaga policję z uwagi na swoją szczególną znajomość z kapitanem Stottlemeyerem - powiedziałam. - Nie będzie pracował z żadnym innym detektywem.

Spojrzałam na Monka, szukając u niego potwierdzenia moich słów, ale Monk wyciągnął rozwartą szeroko dłoń i wycierał powietrze niczym szybę. Zmywacze za oknem zrozumieli wreszcie, o co chodzi, i jeszcze raz rozmazali na szybie mydliny. Monk uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy zmywacze zaczęli je na nowo zbierać ściągaczkami.

- Wcale nie chcę, aby pan Monk pracował z innym detektywem - mówił tymczasem burmistrz. - Chciałbym, żeby wszyscy inni detektywi pracowali dla Monka.

- Nie rozumiem.

- Chcę przywrócić mu etat w Departamencie Policji San Francisco - powiedział burmistrz. - Awansować na kapitana i dać stanowisko szefa wydziału zabójstw.

- To jakiś żart? - zapytałam. - Bo jeśli tak, to bardzo okrutny.

- Mówię całkowicie poważnie - powiedział burmistrz.

Monk podszedł do okna i postukał w szybę.

- Została wam plamka.

Zmywacze wzruszyli ramionami. Nie słyszeli go. Monk gestami pokazał, by jeszcze raz spryskali i wymyli szybę. Mężczyźni jednak potrząsnęli odmownie głowami.

Spojrzałam na burmistrza.

- Wiem, że pan żartuje.

- Monk ma większy odsetek wykrywalności przestępstw niż wszyscy detektywi wydziału zabójstw razem wzięci, do tego za ułamek ich kosztów. Pod kierownictwem Monka ten wydział może wykonać tę samą robotę, jeśli nie lepszą, z połową swojego stanu osobowego. Zresztą uważam, że Monk jest gotów przejść dowodzenie.

- Czy my mówimy o tym samym człowieku? - zapytałam. - Proszę na niego spojrzeć.

Monk potrząsał głową w kierunku zmywaczy i wskazywał im palcem plamkę, którą pominęli. Mężczyźni włączyli windę i zaczęli się przesuwac piętro wyżej. Monk wściekle zabębnił pięścią w okno.

- Wracajcie natychmiast! — krzyknął.

Burmistrz tylko się uśmiechnął.

- Patrzę i widzę człowieka wyczulonego na szcze góły, człowieka z silnym wewnętrznym przekonaniem, że każde zadanie trzeba w sposób idealny doprowadzić do końca.

Monk się odwrócił. Miałam nadzieję, że wreszcie coś powie na temat oburzającej propozycji burmistrza.

- Potrzebna mi chusteczka - zwrócił się do mnie.

- Pan wybaczy na chwilę - powiedziałam do burmistrza, podeszłam do Monka i podałam mu chusteczkę. - Czy słyszał pan, co mówił burmistrz?

Monk rozerwał opakowanie, wyjął chusteczkę i zaczął zapalczywie czyścić szybę.

- Co pan robi? - zapytałam.

Monk spojrział na chusteczkę i pokręcił głową.

- Co za osioł ze mnie, przecież ta plama była od wewnątrz.

Odwrócił się do burmistrza i podniósł chusteczkę.

- Kryzys zażegnany. Może pan spać spokojnie.

- Więc weźmie pan tę pracę?

- Jaka? - zapytał Monk.

- Szefa wydziału zabójstw w stopniu kapitana - powiedział burmistrz.

Monk wpatrywał się z osłupieniem w chusteczkę, a potem we mnie.

- Wystarczyło tylko tyle zrobić? Tyle lat tak bardzo się starałem, żeby wrócić na służbę, a wystarczyło tylko wytarcie szyby?

- Panie Monk - szepnęłam, by burmistrz nie mógł usłyszeć, co mówię. - On pana wykorzystuje. Używa pana do gry mającej na celu złamanie strajku. Będzie pan zwykłym łamistrajkkiem.

Monk się wzdrygnął z obrzydzenia.

- Łamistrajkkiem? To obrzydliwe.

- Oczywiście - powiedziałam. - Osłabi pan presję wywieraną na władze miasta i podkopie wysiłki policjantów walczących o lepsze warunki pracy.

- Ale burmistrz proponuje mi odznakę policyjną - powiedział Monk.

- Proponuje panu stanowisko kapitana Stottlemeyera - dodałam.

Monk oddał mi brudną chusteczkę i zwrócił się do burmistrza:

- Chciałbym tę pracę, ale nie kosztem kapitana Stottlemeyera.

- Będzie pan tylko pełnił jego obowiązki, dopóki się nie wyjaśni sytuacja strajkowa. Będzie pan kierował innymi przywróconymi do pracy detektywami, którzy z różnych powodów musieli opuścić wydział - tłumaczył burmistrz. - Jeśli jednak dobrze panu pójdzie, a na pewno tak będzie, to tymczasowa nominacja zamieni się w zatrudnienie na stałe w innym wydziale. Wiem, że wolałby pan teraz wesprzeć kapitana, ale niech pan pomyśli o wszystkich zbrodniach, którymi nikt się nie zajmuje. Naprawdę chce pan, aby morderstwa uchodziły zbrodniarzom płazem?

Monk spojrzał na mnie.

- Jak mogę odmówić?

- Niech pan powtarza za mną - powiedziałam. - Od-ma-wiam.

Monk rozważał przez chwilę moją propozycję, a potem odwrócił się do burmistrza i rzekł:

- Dobrze.

## Monk przejmuje dowodzenie

Zanim wyszliśmy z gabinetu, burmistrz Smitrovich uroczyście wręczył Monkowi odznakę policyjną, a mnie stos teczek osobowych detektywów z nowego zespołu Monka. Byłam wobec nich jak najbardziej podejrzliwa. Wcześniej wszyscy byli zwolnieni ze służby, a to oznacza, że albo się do niej nie nadawali, albo byli przekupni. Mogli być alkoholikami, narkomanami, mogli nawet być chorzy psychicznie. Może wszystkim po trochu?

Jak Monk mógł na nich polegać? Albo im zaufać?

Z pewnością nie mógł liczyć na pomoc żadnego z kompetentnych, zdolnych do służby policjantów, którzy pozostali w pracy. Każdy funkcjonariusz doskonale wiedział, że jeśli ta mozaika detektywów odniesie sukces, to na pewno skończy się na niższych płacach i gorszym pakiecie socjalnym. Ponadto policjanci, którzy podjęli strajk, tacy jak Stottlemeyer czy Disher, będą widzieć w tym, co robi Monk, najzwyczajszą zdradę.

Nawet gdyby przywrócenie Monka do pracy trwało także po rozwiązaniu konfliktu płacowego, koledzy ze służby nigdy by mu nie zapomnieli i nie wybaczyli, za jaką cenę odzyskał odznakę. Będzie wykluczony ze środowiska. Będzie wyrzut-

kiem w departamencie, którego częścią tak bardzo pragnął na powrót się stać.

Jednak o ile ja miałam obawy wobec tego, co nas czeka w przyszłości, o tyle Monk zdawał się nie mieć żadnych. Właściwie wypłynął z budynku na plac Civic Center, zaciskając w dłoni nową odznakę. Nie zdziwiłabym się, gdyby nagle zaczął śpiewać.

Szczerze mówiąc, byłam na niego wściekła, i to nie tylko dlatego, że beztrzesko ignorował pułapki własnej decyzji.

Dałabym się poćwiartować za swoje liberalne poglądy i chociaż nie popierałam w stu procentach „chorobowego” strajku policjantów, to całą duszą stałam za związkami zawodowymi.

Właściwie nigdzie nie było żadnych strajkowych pikiet, ale miałam wrażenie, że właśnie z Monkiem wyszliśmy z pikiety. I byłam całkowicie pewna, że Stottlemeyer, Disher czy ktokolwiek inny w niebieskim uniformie miałby dokładnie to samo wrażenie.

Z drugiej strony wiedziałam, że Monk miał w życiu tylko dwa cele: odzyskać odznakę policyjną i rozwiązać sprawę morderstwa swojej żony. Przez długi czas oba te cele wydawały się poza jego zasięgiem. Niespodziewana propozycja burmistrza pozwalała teraz Monkowi jedno z tych marzeń spełnić. Dobrze wiedziałam, ile ta odznaka dla niego znaczy. Była dowodem przed całym światem i samym sobą na to, że po wielu latach samotnej walki udało mu się wreszcie poskładać życie.

Monk miał rację. Jak mógł odmówić? Kim byłam, bym miała prawo żałować mu takiej okazji?

Nikim.

Jego pracownicą. Tak naprawdę moim obowiąz-

kiem było teraz wesprzeć Monka. Bo nikt inny go w tej sytuacji nie wesprze. Tego mógł być pewien.

Dlatego też próbowałam opanować złość i poczucie frustracji i skoncentrować się na tym, za co mi płacono, czyli na ułatwianiu Monkowi życia.

Wypatrzyłam na placu ławkę i usiadłam, by przejrzeć teczkę osobowe.

Monk stanął z boku i z podziwem oglądał odznakę, patrząc, jak odbija się w niej słońce. Na pewno próbował przekonać samego siebie, że jest prawdziwa.

Otworzyłam pierwszą teczkę. Mój wzrok trafił natychmiast na poorly zmarszczkami, ponurą twarz Jacka Wyatta, który z zaciśniętymi zębami patrzył na mnie kamiennym spojrzeniem. Można by pomyśleć, że w chwili robienia zdjęcia robiono mu endoskopię.

Wyatt był weteranem, zbliżał się już do pięćdziesiątki. Liczba zamkniętych przez niego spraw robiła wrażenie, podobnie jak idąca z nią w parze liczba zabitych. Swoimi pełnymi przemocy, niekonwencjonalnymi metodami pracy Wyatt zapracował sobie na przydomek „Szalony” Jack - zarówno na ulicy, jak i wśród kolegów. Według raportu umieszczonego w kartotece kiedyś zakończył pościg samochodowy za seryjnym zabójcą, wrzuciwszy mu do auta ręczny granat. (Nie doszukałam się nigdzie wyjaśnień, dlaczego Jack miał przy sobie materiały wybuchowe tego kalibru.)

Jego niekontrolowanym odruchom i bezbrzeżnej pogardzie wobec praw obywatelskich położyło kres dopiero kilka przegranych przez miasto pozwów sądowych, które były konsekwencją śledztw prowadzonych przez Wyatta. Odznakę odebrano mu

trzy lata temu. Od tamtego czasu pracował jako, jak to eufemistycznie określono, „konsultant ds. bezpieczeństwa” - w różnych zapalnych miejscach świata, jak choćby Irak czy Afganistan.

Co za uroczy człowiek.

W aktach osobowych Cynthii Chow nie było ani jej zdjęcia, ani zbyt wielu informacji na jej temat. W dokumentach zamazano czarnym pisakiem wszystkie nazwiska, daty, adresy i szczegóły, które mogłyby coś powiedzieć, gdyż prowadzone przez nią śledztwa wciąż figurowały jako ściśle poufne. Działo się tak, ponieważ większą część swojej służby w policji Chow odbyła jako tajny agent, prowadząc ryzykowne podwójne życie, w którym najdrobniejszy błąd, najdrobniejsze potknięcie mogło kosztować życie.

Aby przetrwać w roli tajnej agentki, Chow musiała żyć w nieustającym stanie paranoi, co przychodziło jej, jak się zdaje, całkiem naturalnie. W miarę jak czytałam akta, stawało się dla mnie jasne, że kobieta cierpiała na schizofrenię paranoidalną. Wszędzie widziała jakieś spiski i wciąż twierdziła, że ktoś ją śledzi. To właściwie nie mijало się z prawdą, ponieważ przełożonych Cynthii Chow coraz bardziej niepokoiło jej dziwaczne zachowanie, więc woleli mieć na nią oko, wmawiając jej, że prowadzona przez nią sprawa wymaga jej inwigilowania. Nie była to prawda.

Po zamknięciu ostatniej sprawy, w której Chow uczestniczyła jako tajna agentka, szefostwo zaleciło jej terapię i przeniosło ją do wydziału zabójstw. Jednak paranoidalne urojenia tylko przybrały na sile. Kiedy zwalniano ją ze służby, Chow twierdziła, że rząd podsłuchuje jej myśli, a przybysze z kosmosu usiłują ją zapłodnić.



W teczce nie przeczytałam ani słowa na temat tego, co Cynthia Chow robiła po odejściu z policji. To również zostało starannie wymazane z akt.

Na akta Franka Portera składało się kilka pękających teczek powiązanych grubymi gumkami. Służył w policji przez czterdzieści pięć lat, przy czym ostatnie dwadzieścia w wydziale zabójstw.

Znalazłam w aktach dwa jego zdjęcia. Jedno wyblakłe, czarno-białe, przedstawiające młodego, chudego policjanta z krótko przystryżonymi włosami, zrobione prawdopodobnie w dniu ukończenia akademii. Drugie kolorowe, przedstawiające znacznie tęższego mężczyznę, z wystającymi policzkami, workami pod oczami i szerokim krawatem w krzykliwych barwach, zaciśniętym na grubej szyi.

Wrażenie robiła liczba pochwał, które w ciągu tylu lat pracy Porter otrzymał za rzetelną i wzorową służbę. Najprawdopodobniej siedziałby jeszcze za biurkiem w wydziale zabójstw, gdyby problemy zdrowotne i „oczywiste przypadłości podeszłego wieku” nie zmusiły go przed rokiem do przejścia na emeryturę.

Zamknęłam teczki, założyłam na powrót grubą gumkę i jeszcze raz zamyśliłam się nad tym, co przeczytałam. W skład wyborowej brygady Adria' na Monka wchodził: nadużywający siły socjopata, paranoidalna schizofreniczka i staruszek z „oczywistymi przypadłościami podeszłego wieku”.

Monk wpadł po uszy.

- Powinien pan zajrzeć do tych teczek - powie działałam.

- Nie sądzę - odparł Monk.

- Powinien pan co nieco wiedzieć o detektywach, których burmistrz panu przydzielił.

- Wiem przecież to, co trzeba. Wszyscy są policjantami.

- Nic pan nie rozumie. To ludzie, którzy mają ze sobą ogromne problemy. Zostali wydaleny ze służby, bo nie byli w stanie dobrze funkcjonować w zawodzie.

- Zupełnie jak ja - powiedział Monk.

Rzucił jeszcze spojrzenie na nową odznakę, a potem włożył ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Owszem, był szczęśliwy, jednak szalona radość, przyprowadzająca go o zawrót głowy, zaczynała już ustępować, a w jego oczach zobaczyłam ten sam cień smutku, który towarzyszy mu od zawsze. Uświadomiłam sobie, że chociaż nie znał żadnego ze swoich nowych detektywów, to prawdopodobnie rozumiał ich lepiej niż ktokolwiek inny.

I może, ale tylko może, był najbardziej odpowiednią osobą, by nimi dowodzić.

Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, wydział zabójstw niemal świecił pustkami. Panował w nim zadziwiający spokój. Kilku umundurowanych policjantów odbierało telefony, ale poza tym nic się nie działo. Gdyby nie te mundury i broń palna, można by pomyśleć, że znaleźliśmy się w zwykłym biurze rachunkowym w porze lunchu.

W drodze do gabinetu kapitana Monk dotykał wszystkich kolejnych lamp, które stały na mijanych biurkach. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego musi musnąć palcem rząd identycznych przedmiotów, jak uliczne parkometry czy latarnie, i wszystkie je przy tym dokładnie zliczyć. Może to go uspokajało. Może stwarzało iluzję, że w otaczającym go chaotycznym świecie istnieje jednak jakiś ład.

Stanął w progu gabinetu kapitana i ogarnął wzrokiem panujący tam bałagan - stopy akt (starych i bieżących śledztw), rozmaite kubki do kawy (niektóre służące jako pojemniki do ołówków i długopisów), fotografie (rodziny Stottlemeyera i kolegów z policji), różne bibeloty (na przykład akrylowy przyścisk do papieru, w którym zalany był pocisk wyjęty z ramienia kapitana) i jeszcze płaszcz, marynarka, koszula i krawat, które Stottlemeyer zawsze trzymał na wieszaku w gabinecie.

W ostatnich miesiącach bałagan znacznie się zwiększył. Odkąd małżeństwo kapitana się rozpadło, gabinet stał się jego domem. Aż dziw, że nie przeniósł tu swojego łóżka.

- Nie mogę tu pracować - powiedział Monk.

Przytaknęłam. Uporządkowanie gabinetu według życzeń i potrzeb Monka mogłoby się okazać zadaniem ponad ludzkie siły. Taka robota trwałaby długie miesiące i wymagałaby zaangażowania każdego wolnego od zajęć policjanta, który musiałby pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Niewykluźnione, że trzeba byłoby zburzyć budynek i zbudować go od podstaw.

- Co nieco da się tu wyrównać - pocieszyłam go. Monk potrząsnął głową.

- Nie. To jest gabinet kapitana.

Monk odszedł wolno, przeszedł przez salę dektetywów i skierował się na korytarz, do pokojów przesłuchań. Wszedł do pierwszego, na który trafił. Poszłam jego śladem.

Pokój był niemal kompletnie pusty, zimny i słabo oświetlony. Ściany miały ten sam szary, metalowy kolor co stojące na środku metalowe biurko

i pasujące do niego metalowe krzesła ze sztywnym oparciem.

Monk usiadł na jednym z krzeseł, przodem do weneckiego lustra, za którym oczywiście był pokój obserwacyjny.

- To mi wystarczy - powiedział.
- Wystarczy do czego?
- To będzie mój gabinet.
- Nie uważa pan, że jest trochę zbyt sterylny? -

zapytałam.

Uśmiechnął się.

- Tak. Tak uważam.

Do pokoju weszła młoda policjantka.

- Przepraszam, kapitan Monk?

Monk podniósł z oczy z wyrazem niedowierzania na twarzy.

- Kapitan Monk? - powtórzył bezwiednie.
- Pan jest kapitan Adrian Monk, prawda?
- Sam nie wiem.

- Tak, to on - potwierdziłam i przedstawiłam się jako jego asystentka.

- Nazywam się Susan Curtis - powiedziała. - Jestem policjantką wyznaczoną tymczasowo do prac biurowych w wydziale zabójstw.

- To niezwykle, że do takich prac wybrano policjantkę, nie policjanta - stwierdziłam kąśliwie.

- Uhm, rzeczywiście niespodzianka - odparła ponuro. - Bardzo motywująca zachęta, by nie złapać panującej grypy.

Była to chwila, która nas połączyła. W każdym razie miałam taką nadzieję. Bardzo potrzebowaliśmy funkcjonariusza, który opowiedziałby się po naszej stronie lub choćby nie gardził nami za to, że jesteśmy łamistrajkami.

- Czy czegoś pan potrzebuje, proszę pana?
- Potrzebuję stustronicowego zeszytu, zszytego spiralą o dokładnie czterdziestu dwóch kółkach. Strony powinny być białe, z trzydziestoma czterema liniami oddalonymi od siebie o cztery milimetry. Będą mi również potrzebne cztery spinacze do papieru, dwie prostokątne gumki do mazania, lampa na biurko taka sama jak te, które stoją w sali, telefon oraz dziesięć nienaostrzonych ołówków z grafitem HB.

Policjantka wyszła z pokoju, a Monk spojrzał na mnie. Odwzajemniłam jego spojrzenie. Zapanowała między nami bardzo niezręczna cisza.

- Co mam robić? - zapytał w końcu Monk.
- To pan jest policjantem, nie ja.
- Daj choć wskazówkę - powiedział.

Westchnęłam.

- Myślę, że mógłby pan poprosić o akta sprawy „Dusiciela Golden Gate”, przejrzeć raporty z laboratorium i sprawdzić, czy porucznik Disher się dowiedział, czy ofiary kupowały buty w tym samym sklepie.

- Dobry pomysł - ucieszył się Monk. - Zaraz się tym zajmij.

- Ale ja nie jestem policjantką - przypomniałam.

- Mogę cię tymczasowo mianować.

- Nie. Nie może pan.

- Ależ mogę.

- To nie jest Dzik Zachód, a pan nie jest dzielnym szeryfem, który organizuje w miasteczku wspólne ruszenie.

- Chyba zapominasz, z kim masz do czynienia - zachnął się Monk. - Jestem szefem wydziału zabójstw Departamentu Policji San Francisco.

- To niech pan wreszcie zacznie się zachowywać jak szef- powiedziałam i wyszłam z pokoju, niemal zderzając się w korytarzu z Frankiem Porterem.

Emerytowany detektyw wchodził do sali, utykając na jedną nogę, a dwa kroki za nim szła bardzo młoda kobieta, potwornie powłócząc nogami, jakby dźwigała na plecach stukilowy ciężar.

Porter miał na sobie wyraźnie za duży sweter, zapinany z przodu na guziki, koszulę w kratę i sztrukturalne, mocno wystrzępione spodnie. Jego głowa przypominała mi niezabudowaną parcelę, wysuszoną i pustą, z chwastami przeredzonych włosów. W kącikach spękanych, wąskich ust zbierała się ślina, niczym woda przesiąkająca przez uklepaną z ziemi tamę.

- Frank Porter melduje się na rozkaz - powiedział i wyciągnął do mnie starczą dłoń pokrytą brązowymi plamkami.

- Natalie Teeger, asystentka kapitana Monka. - Ucisnęłam jego rękę, wyczuwając pod cienką skórą wszystkie kruche kosteczki, jakby jakieś suche gałązeczki owinięte w chusteczkę. - Nie jestem policjantką.

- Formalnie rzecz biorąc, ja też nie jestem policjantem. Przedstawiam moją wnuczkę, Sparrow - powiedział Porter. - Chyba można powiedzieć, że to również asystentka. Pilnuje moich interesów.

Sparrow wzruszyła ramionami.

- Lepsze to niż podawanie hamburgerów w McDonalddie.

- Rozumiem cię, moja droga - powiedziałam.

Miałam wrażenie, że Sparrow jeszcze niedawno była nastolatką. Oczy miała zanadto podkreślone ciemną kredką, w każdym uchu po dziesięć drucianych kolczyków, i robiła wszystko, aby promie-

niować wokół nudą i niezadowoleniem. Znałam to spojrzenie. Kiedy byłam w jej wieku, doprowadziłam je do perfekcji.

Przeprosiłam i zaczęłam szukać Monka. Nie było go już w pokoju przesłuchań. Znalazłam go dopiero w pokoju z dowodami rzeczowymi, siedział przy stole i wpatrywał się w trzy prawe buty do biegania, które zdjęto z nóg zabitych kobiet. Każdy z butów znajdował się w foliowym worku, które leżały przed Monkiem w równym pionowym rzędzie.

- Nie potrafię z tym żyć — powiedział Monk.

To prawda, że w okrutny sposób zostały zamordowane trzy niewinne kobiety, ale przecież Monk nie po raz pierwszy miał do czynienia z morderstwem. Nie rozumiałam, dlaczego właśnie te trzy zabójstwa dotknęły go tak boleśnie.

- To straszne, co się stało z tymi trzema kobietami - zgodziłam się. - Ale czy coś szczególnego różni tę sprawę od tylu wcześniejszych, które pan prowadził?

- Nigdy się nie spotkałem z taką deprawacją. To zbrodnia przeciw naturze - mówił wstrząśnięty. - Nie dość było odebrać tym kobietom życie? Morderca musiał jeszcze zabierać im po jednym buciku? Zakłócił równowagę wszechświata.

- Zabierając trzy buty?!

- Buty zawsze są w parach; to naturalny ład świata - powiedział Monk. - Dopóki nie odnajdziemy butów i nie złapiemy tego szaleńca, życie w formie, jaką znamy, nie będzie istnieć.

- Więc twierdzi pan, że nie tylko musi pan ująć zabójcę, ale również przywrócić równowagę wszechświatowi.

- To w tej chwili moja wielka moralna odpowiedzialność.

- Dobrze, że nie wywiera pan na siebie zbyt dużej presji... - rzekłam. - Przyszedł jeden z pańskich detektywów.

Monk wstał od stołu i wskazał palcem buty.

- Będą mnie prześladować, nie będę mógł zmrużyć oczu.

- Wierzę - powiedziałam.

- Kiedy zmrużę oczy, też będą mnie prześladować — dodał, wychodząc z pokoju. - I jeszcze w nanosekundach pomiędzy niemrużeniem i mrużeniem.

Wyszłam za nim do pokoju detektywów, gdzie Monk dużymi krokami, z uśmiechem na twarzy, podszedł wprost do Portera i Sparrow.

- Witaj, Frank - przywitał się Monk. - Kopę lat, hm?

- To panowie się znacie? - zapytałam zdziwiona.

- Frank to jeden z najlepszych śledczych, jakich w życiu znałem - powiedział Monk. - Mając kartkę papieru, potrafi odnaleźć drzewo, z którego została zrobiona.

Nigdy nie słyszałam, by Monk obsypywał pochwałami czyjś talent detektywistyczny- oczywiście poza własnym. Poza tym nigdy też nie słyszałam, by Monk użył tak barwnej metafory. Czy w ogóle jakiegokolwiek metafory, jeśli mam być szczerą.

- Naprawdę? - zapytałam. - Potrafi znaleźć drzewo?

- W rzeczy samej - odparł niewzruszony Monk. - Przecież bym nie mówił.

- Myślałam, że to miała być figura retoryczna.

Monk spojrział na mnie, jakbym była szalona.

- Od trzech dni nie miałem wypróżnienia - ode-



zwał się raptem Porter. - Muszę sobie zrobić lewatywę.

- Teraz? - Głos Monka wyraźnie zadrżał.

- Z pełnymi jelitami trudno mi się myśli.

- Nikt cię nie prosi, żebyś myślał. - Monk spojrział na mnie. - Czy może prosiłaś Portera, żeby myślał?

Porter zmrugał oczy i spojrzał krzywo na Monka.

- Teraz sobie przypominam. To ty byłeś tym dziwakiem, który wciąż przestawiał mi wszystko na biurku.

Monk się uśmiechnął.

- Ech, stare dobre czasy.

- Wiesz, że on się boi mleka? - Porter zwrócił się do wnuczki.

- Naprawdę? - zapytała zdziwiona Sparrow, wyrażając wreszcie zainteresowanie czymś innym niż tylko brakiem zainteresowania. - Dlaczego?

- Mleko to podany w szklance płyn organiczny, który chcą pić ludzkie dziwadła. - Monk aż się wzdrygnął. - To nienaturalne.

- To najbardziej naturalna rzecz na ziemi - odparła Sparrow. - Niemowlaki piją mleko z piersi matki. Po to przecież są piersi.

- Ja sama karmiłam Julie piersią - dodałam.

Monk zapłonął ze wstydu i odwrócił ode mnie wzrok.

- Może również pana karmiono piersią, panie Monk - powiedziałam.

- To wykluczone - oświadczył stanowczo Monk. - Nie wypiłbym nawet własnych płynów organicznych, a cóż dopiero cudzych!

- Piersi nie są tylko rekwizytem mody - powiedziała Sparrow.

Powoli zaczynałam lubić tego dzieciaka, gdy nagle Sparrow uniosła bluzkę i na ułamek sekundy błysnęła przed Monkiem golizną.

Myślałam, że Monk zacznie wrzeszczeć. Zdażyłam tylko zauważyć, że uszy nie były jedyną przekłutą częścią ciała u Sparrow.

Porter trzasnął ręką o stół.

- Gdzie jest dla mnie zlecenie?

Monk w skrócie zarysował Porterowi sprawę „Dusiciela Golden Gate” i poprosił, aby jeszcze raz sprawdził, jakich zakupów dokonywały kartami kredytowymi wszystkie ofiary. Poprosił go także, aby ustawił gdzieś tablicę ze zdjęciami z miejsc zbrodni i planem miasta i zaznaczył na nim miejsca, w których doszło do morderstw.

- Z wielką chęcią - odparł Porter. - A pańska godność...?

- Adrian Monk.

- Właśnie, pamiętam cię - powiedział Porter i spojrzał na Sparrow. - To on. Boi się mleka.

Sparrow westchnęła ciężko - a w westchnienie to wlała wszystko, co potrafiła z siebie w tej chwili wydobyć: znużenie, frustrację i totalne zmęczenie. Z tego wysiłku niemal zlała się potem.

W tej chwili pojawiła się Susan Curtis i wręczyła Monkowi kartkę papieru.

- Morderstwo w okolicach Haight i Ashbury. Na miejscu czeka na pana detektyw.

- Kogo zamordowano? - zapytał Monk.

- Ofiarą jest Allegra Doucet, astrolog - wyjaśniła Curtis. - Można by pomyśleć, że wiedziała, co ją czeka.

## Monk i astrolog

W połowie lat sześćdziesiątych ulice Haight i Ashbury zostały okrzyknięte mityczną kolebką młodzieżowej kontrkultury, ojczyzną psychodelicznych narkotyków, wolnego seksu, dzieci kwiatów i grupy rockowej Grateful Dead. Mnóstwo wysiłku włożono później w to, aby zachować taką iluzję, pokazać, że nic się nie zmieniło, mimo że Jerry Garcia już nie żył, wojna w Wietnamie dawno się skończyła i nawet Mick Jagger miał już emerycką zniżkę w barze Denny's.

Dzisiaj Haight to lata sześćdziesiąte oczyszczone, ładnie opakowane i wystawione na sprzedaż. Po obu stronach ulicy ciągną się sklepy sprzedające klasyczne ciuchy, „undergroundowe” komiksy, używane płyty gramofonowe, kadzidełka i kryształki. Jest nawet parę sklepików dla narkomańskiej klienteli, w których można kupić koszulki farbowane z użyciem sznurka albo pamiątki i gadżety dla „Deadheadów” z dalekiej Wichity. Jeśli pozostał tu jeszcze jakiś smaczek dawnosci, to chyba tylko w salonikach tatuażu lub sklepikach z artykułami sado-maso i fetyszystycznymi parafernaliami, choć, powiedzmy sobie szczerze, w dzisiejszych czasach nawet ostry seks nie jest czymś niezwykłym.

Tak czy siak, na Haight nietrudno dać się otumanić i pomyśleć, że człowiek przeniósł się w czasie,

do pamiętnego lata 1967 roku. To wrażenie mija jak ręką odjął w pierwszej lepszej bocznej uliczce, gdzie wartość odrestaurowanych starych domów wiktoriańskich i edwardiańskich szacowana jest przez biura nieruchomości na miliony dolarów, a większość miejsc parkingowych zajmują rangę rovery czy bmw. Dzisiaj „dzieci kwiaty” ściągają wolną miłość z Internetu, a w psychodeliczne odurzenie wpadają, uczestnicząc w licytacjach na eBay’u.

Świętej pamięci Allegra Doucet mieszkała na jednej z takich bocznych uliczek, która jednak nie została jeszcze w pełni zrewitalizowana. Wciąż stało tu kilka domów i sklepów wyglądających tak, jakby nie zaznały pędzla i farby od czasów, gdy grupa Jefferson Starship nazywała się jeszcze Jefferson Airplane. Niemniej jednak posesja pani Doucet do nich nie należała. Jej wiktoriański dom był świeżo pomalowany na błękitny kolor, z ozdobnym białym paskiem. Na parterze znajdowały się szerokie okna wykuszowe, a pod nimi stały donice, z których wręcz wylewały się wielobarwne kwitnące róże. W oknie stał elegancko wykaligrafowany szyld: ALLEGRA DOUCET - ASTROLOG I WRÓŻKA. TYLKO UMÓWIONE SPOTKANIA.

Kiedy zajechaliśmy pod dom, ulicę blokowały radiowozy, wozy medycyny sądowej i furgonetka śledczej jednostki naukowo-technicznej. Jednak zupełnie się nie kłopotalam szukaniem miejsca do zaparkowania. Monk był kapitanem, więc zatrzymałam się na środku ulicy, podałam kluczyki od swojego jeepa cherokee najbliższemu policjantowi i powiedziałam, żeby pilnie strzegł auta, którym jeździ kapitan.

Kiedy rozmawiałam z policjantem, Monk po-

spiesznie wysiadł z samochodu i odszedł. Od czasu, kiedy na komendzie wspomniałam, że mam piersi, nie spojrział na mnie ani razu. Myślę, że wołał widzieć we mnie jakiegoś aseksualnego stwora.

Przed wejściem do domu Allegrы Doucet przywitała go atrakcyjna Azjatka w wieku powyżej trzydziestu lat, o ostrych rysach i przesywającym spojrzeniu, które przydawało jej jakiejś niepokojącej intensywności. Cała była ubrana na czarno, jeśli nie liczyć wiszącej u szyi odznaki policyjnej, czapeczki z folii aluminiowej na głowie i radia tranzystorowego przymocowanego do czapeczki taśmą klejącą. Z jego głośników dobiegał niski, przerywany trzaskami, radiowy szum. Jakoś nie przypuszczałam, by przykleiła sobie radio do głowy tylko po to, żeby słuchać aktualnych wiadomości.

Obok niej stał mężczyzna w okularach, całkowicie pochłonięty gwałtownym wpisywaniem jakichś tekstów do palmtopa. Wyglądał tak, jakby rano wypadł z łóżka wprost na rzeczy, które miał na sobie dzień wcześniej, i postanowił, że, co tam, będzie je nosił jeszcze przez kolejny dzień. Miał na sobie wygniecioną, rozpiętą koszulę z podwiniętymi rękawami, nałożoną na wygniecionego T-shirta i wypuszczoną na wygnieciono, robocze spodnie. Było w jego postaci coś niewątpliwie akademickiego. Nie wiem, czy to te okulary, pognieciono rzeczy czy też po prostu ogólne wrażenie wielkiego zamiłowania do nauki.

- Kim pan jest? - zapytała Azjatka Monka głosem zniżonym niemal do szeptu.

Monk przechylił lekko głowę i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę z istic naukową dociekliwością.

- Adrian Monk - przedstawił się w końcu.

- Niech pan to udowodni - powiedziała Azjatka.

Monk wyjął odznakę policyjną i z dumą pokazał ją mnie, kobiecie i stojącemu przy niej mężczyźnie w okularach.

- Taką odznakę można kupić za psi grosz na Union Square - stwierdziła. - Jeśli rzeczywiście jest pan tym, za kogo się podaje, to nie będzie pan miał nic przeciwko temu, żebym dla potwierdzenia tezy pobrała panu próbkę DNA.

Kobieta sięgnęła do kieszeni swojej skórzanej kurtki i wyjęła patyczek do czyszczenia uszu, zapakowany w sterylnym woreczku foliowym. Ten ruch wywołał u mężczyzny w okularach prawdziwy szal wklepywania kciukami literek do palmtopa.

- Pani jest zapewne detektywem Cindy Chow - domyśliłam się.

Kobieta spojrzała na mnie podejrzliwie, mrużąc oczy.

- A pani dla kogo pracuje?

Skinęłam głową na Monka.

- Dla niego. Pani szefa. Kapitana wydziału zabójstw.

- To moja asystentka, Natalie Teeger - przedstawił mnie Monk.

- Dla kogo naprawdę pani pracuje? - nie ustępowała Chow.

- Ma pani ładny kapelusik - powiedziałam.

- Wygląda prymitywnie, ale blokuje transmisję sygnałów. - Uśmiechnęła się. - Domyślałam się, że musi to wkurzać panią i pani marionetkowych mocodawców, prawda?

Monk spojrział z niedowierzaniem gdzieś w moim kierunku, ale nie wprost na mnie; wciąż pamiętał, że mam piersi.

- Ta kobieta to detektyw? - zapytał.
- Cóż, to pan nie chciał zaglądać do teczek — wytknęłam mu.
- Jakich teczek? - podchwyciła Chow.
- Mężczyzna stojący przy niej nie był w stanie nadażyć z wpisywaniem wszystkiego do palmtopa.
- Kim jest pani towarzysz? - zapytałam.
- Mężczyzna przerwał pisanie.
- Przepraszam najmocniej. Powiniennem się wcześniej odezwać, ale nie chciałem zakłócać naturalnie przebiegającej interakcji między państwem. Nazywam się Jasper Perry, jestem psychiatrycznym opiekunem Cindy.
- Darujcie sobie te szarady - odezwała się Chow. -Dobrze wiem, że oboje pracujecie dla nich.
- Dla nich? - zapytał Monk.
- Dla gabinetu cieni kosmitów - odpowiedziała Chow, a Monk spojrział na nią z zakłopotaną miną.
- Tych, którzy przygotowali operację CIA pod kryptonimem „Karczoch”, mającą na celu kontrolowanie mas poprzez podawane w barach szybkiej obsługi preparaty kontrolujące umysły, poprzez treści programów telewizyjnych działających na podświadomość oraz transmisje orbitujących satelitów bezpośrednio do mikroczipów zaimplantowanych w naszych mózgach.
- Och - westchnął Monk. - Dla tych...
- Nie pozwoliliby mi wrócić do służby, gdybym nie przystała na to, żeby ich szpieg odurzał mnie i trzymał pod nieustanną inwigilacją.
- Jedna rzecz mnie interesuje — powiedział Monk. - Kiedy zwracali pani odznakę, oddali pani również broń?
- Oczywiście - odparła Chow. - Panu nie?

- Nie - odpowiedział smutno Monk.
- Wcale się nie dziwię - stwierdziła sucho Chow. -Krażą słuchy, że jest pan zdrowo stuknięty.
- Odwróciłam się do Jaspera, który nie przestawał zapalczywie stukać w klawiaturę palmtopa.
- Do kogo pan wysyła te e-maile? - zapytałam.
- Do siebie samego.
- O czym?
- O mnie - wtrąciła Cynthia Chow. - Informuje swoich oficerów prowadzących o wszystkim, co myślę, mówię i robię.
- Piszę doktorat na temat powszechności niektórych aspektów złożonych i powtarzalnych urojeń teorii spiskowych, które wśród paranoidalnych schizofreników tworzą niemal Jungowską, wspólną nieświadomość, niezależnie od języka, rasy, płci czy tożsamości etnicznej, a to jest bardzo zaskakujące, pociąga bowiem mitologiczną ikonografię z...
- Gdzie ciało? - przerwał mu Monk.
- W domu - odpowiedziała Chow.

Monk wszedł do środka, a my za nim, choć Jasper wyglądał na mocno urażonego, że tak szybko straciliśmy zainteresowanie tematyką jego rozprawy doktorskiej (diabli wiedzą, czego dotyczyła).

Frontowy pokój pani Doucet przeznaczony był wyłącznie na potrzeby praktyki, którą u siebie prowadziła, jednak nie było w nim nic z odwołującego się do astrologii, typowego wystroju wewnątrz. Żadnych szklanych kul ani kart tarota. Żadnych zdobionych paciorkami kotar, żadnych kadełek. Równie dobrze mógłby to być gabinet psychoterapeuty, adwokata czy księgowego. Po obu stronach białego drewnianego stołu, na którym stał płaski monitor z klawiaturą, znajdowały się dwa wygodne skórzane



krzesła. Na ekranie monitora zobaczyłam jakieś koło wypełnione różnokolorowymi liczbami, przecinającymi się liniami i dziwnymi symbolami.

Doucet leżała na podłodze twarzą do ziemi. Jej długie, czarne włosy, zlepione w brązowiejącej kałuży zakrzepłej krwi, ułożyły się promieniście wokół głowy.

Kiedy Curtis powiedziała, że ofiarą zabójstwa padła astrolożka, wyobraziłam sobie stereotypową starą czarownicę z kurczakami na twarzy, kataraktą i bezzębnym uśmiechem.

Tymczasem Allegra Doucet mogłaby być modelką. Miała gładką, opaloną cerę, smukłą figurę i była znakomicie ubrana w kostium od Prądy, z trochę za krótką spódniczką jak na profesjonalistkę.

Monk obszedł biurko, przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę. Dłonie wyciągnął przed siebie, jakby szukał ujęcia do zrobienia zdjęcia. Jego kroki odbijały się ochom po parkiecie.

Jasper przyglądał się Monkowi z fascynacją.

- Co on robi? - zapytał.

- To wie tylko on - odparłam.

Mój wzrok spoczął na torebce od Louisa Vuittona leżącej na skraju stołu. Była warta więcej niż mój samochód. Allegra Doucet musiała być mistrzynią w swoim fachu. Zastanawiałam się tylko, czy pieniądze pochodziły z opłat klientów czy też z opartych na jej wróżbiarskich mocach decyzji inwestycyjnych na giełdzie, loteriach i wyścigach konnych.

- Według lekarza sądowego zginęła wczoraj wie czorem, ugodzona wielokrotnie w piersi i brzuch szpikulcem do kruszenia lodu lub nożem do otwierania do listów - relacjonowała Chow, stając ostrożnie

za monitorem komputera. - Dzisiaj rano przyszedł jeden z klientów, zajrzał przez okno i zobaczył zwłoki.

Monk spostrzegł obraz na ekranie monitora.

- Co to jest? - zapytał.

Chow wyjęła z kieszeni lusterko. Wyciągnęła je ponad monitorem i ustawiła przed nim w taki sposób, żeby dojrzeć widniejącą na ekranie grafikę.

- Dlaczego nie spojrzysz pani po prostu w monitor? - zapytałam.

- Nie chcę, żeby monitor również na mnie spojrział — odpowiedziała z powagą.

Nie miałam bladego pojęcia, o czym mówi. Jasper zdawał się wyczuwać moje zdziwienie.

- Chow się obawia, że komputery dają władzom sposobność do inwigilowania obywateli - wyjaśnił mi szeptem. - Uważa, że automatycznie zapisują sekwencje przyciskanych klawiszy i podglądają nas przez ukryte w monitorach kamery.

- To generowany przez komputer indywidualny horoskop astrologiczny, opracowany na podstawie układu planet i gwiazd na niebie w czasie i miejscu urodzenia danej osoby - wyjaśniła Monkowi Chow.

- Symbole przedstawiają znaki Zodiaku, planety oraz cztery żywioły; ogień, ziemię, powietrze i wodę. Koło podzielone jest na części zwane domami, z których każdy reprezentuje rozmaite aspekty fizycznego, umysłowego, duchowego i emocjonalnego stanu człowieka. Doucet wystarczyło spojrzeć na grafikę, wpisać aktualny układ planet i już mogła metodą arytmetyczną przepowiedzieć, czy to dobry tydzień, by prosić szefa o podwyżkę.

- Posiada pani imponującą wiedzę o horoskopach - zauważył Monk. - Wierzy pani we wróżbiarstwo?

- Ależ skąd! - zachnęła się Chow. - Ale oni wierzą.

- Jacy oni?

- Ci oni.

- A... - przytaknął Monk.

- Na twardym dysku znajdują się prawdopodobnie setki takich horoskopów - mówiła dalej Chow. - Każdy z klientów ma własną kartę.

- Bardzo chciałbym wiedzieć, kim są ci klienci - powiedział Monk. - Mogłaby się pani tego dowiedzieć?

Monk był geniuszem dedukcji i miał nieprawdopodobnie oko do najdrobniejszych szczegółów, ale nigdy nie widziałam, by zajmował się gromadzeniem faktów. Czarną robotę z chęcią zostawiał innym.

- Mogę panu powiedzieć, kim są, z kim sypiają, na kogo głosowali w ostatnich wyborach, a nawet czy dłubią w nosie, gdy prowadzą samochód.

- Ludzie oczyszczają sobie nozdrza, operując ciężkim sprzętem mechanicznym? - zapytał Monk z niedowierzaniem. — Akurat w to uwierzę.

Monk strzelił we mnie spojrzeniem i podniósł oczy do nieba. Z jego punktu widzenia były to najbardziej kretyńskie słowa, które wypowiedziała do tej pory Cynthia Chow. Tak kretyńskie, że zapomniał nawet, iż jeszcze niedawno bał się na mnie spojrzeć.

- Uważam, że to morderstwo może być częścią większego planu - stwierdziła Chow.

- Zaczyna się - rzucił cicho Jasper.

- Dzięki uważnej obserwacji układu gwiazd i planety Allegra Doucet odkryła przez przypadek w horoskopie któregoś z klientów dzień, godzinę i miejsce lądowania kosmitów - wyłuszczała Chow. — A oni

przysłali tajnego agenta, żeby ją natychmiast zlikwidował.

- Jacy oni? - zapytałam.

- Ci oni.

Ale Monk już nie słuchał. Coś odwróciło jego uwagę. Wyszedł na środek pokoju, przekrzywił na bok głowę i wyciągnął ręce przed siebie.

- Słyszycie? - zapytał.

- Co takiego?

- Ciche kwilenie - odparł Monk. - Nie, właściwie świst. Świszczące kwilenie.

- Ja nic nie słyszę - powiedziała Chow.

- Może usłyszałaabyś, gdybyś ściszyła radio - zauważył Jasper.

- Jasne! Tylko na to czekacie, co? - rzuciła Chow oskarżycielskim tonem. - Nie możecie się doczekać, by znowu się dostać do mojej głowy.

- Ciii... - szepnął Monk.

Zapadła grobowa cisza. Słyszałam miarowy szum komputera, głosy z radia Cynthii Chow i jeszcze jeden odgłos, który natychmiast rozpoznałam.

- W ubikacji leci woda - powiedziałam.

Monk rzucił mi karcące spojrzenie. Dla niego wypowiedzenie głośno słowa „ubikacja” było tym samym co wyartykułowanie szczególnie obrzydliwego błuznierstwa.

- Bardzo przepraszam - powiedziałam. - Chciałam powiedzieć, że ten głos brzmi tak, jakby w łazience nie było sprawne urządzenie wodno-kanalizacyjne.

Monk ruszył korytarzem, kierując się brzmieniem głosu, a my posłusznie podążyliśmy jego śladem.

Łazienka znajdowała się w tylnym narożniku

parteru, tuż za schodami prowadzącymi na piętro, w pomieszczeniu, które po wybudowaniu domu prawdopodobnie służyło jako garderoba. Była wąska i ciasna i zapewne budziłyby lęki klaustrofobiczne, gdyby nie małe okno otwarte na całą szerokość. Przed sedesem leżał na podłodze wyłamany ze ściany wieszak na ręczniki.

W łazience mogła się pomieścić tylko jedna osoba, więc Monk pierwszy wszedł do środka, a my staliśmy na korytarzu, zaglądając do wnętrza.

Monk uważnie obejrzał dziury w ścianie, do której wieszak był wcześniej przymocowany śrubami.

- Ktoś stanął na wieszaku i wyrwał go ze ściany - orzekł po chwili.

- Wygląda na to, że odkrył pan, jak zabójca dostał się do domu - powiedziała Chow. - I jak stąd nawiał, kiedy się odsikał.

Monk skrzywił się ze wstrętem i odszedł od sedesu, jakby w każdej chwili groził on wybuchem.

- To nie ma sensu - powiedział.

- Jak człowieka ciśnie, to ciśnie - stwierdziła filozoficznie Chow.

- Być może nerwy, przemoc, krwawe zabójstwo sprawiły, że poczuł się źle i po prostu zwymiotował - myślał głośno Jasper. - To typowa reakcja na stres.

- Zbadam ślady DNA na muszli - powiedziała Chow i wyjęła jeden ze swoich patyczków do czyszczenia uszu.

Monk stanął przed nią, blokując wejście do łazienki.

- Czyś ty oszalała?! - powiedział, a właściwie krzyknął. - Jeśli otworzysz kłapę, wystawisz nas wszystkich na ogromne ryzyko.

- Jakie ryzyko? - zapytała.
- Bóg jeden wie — stwierdził. - Najpierw ewakuujemy ludzi, a potem wezwiemy specjalistów.
- Chce pan ewakuować dom przed uniesieniem klapy od sedesu? - zapytała Chow.
- Nie czas zgrywać bohaterów - odpowiedział krótko Monk.

Kciuki Jaspersa zatańcowały na klawiaturze palmtopa. Odkrył nowy egzemplarz wariata do rozprawy doktorskiej.

Monk jeszcze raz uważnie się przyjrzał oknu i wyrwanemu wieszakowi na ręczniki.

- Gdyby wyrwał ten wieszak, wchodząc do środka, ofiara powinna go była usłyszeć.

- Może wyrwał go, wychodząc z domu - powie' działa Chow. - Doucet już nie żyła. Mógł sobie hałasować do woli.

- Skoro jednak dokonał już dzieła, po co taki pośpiech? - powątpiewał Monk. - Czy nie byłoby rozsądniej wyjść frontowymi drzwiami lub choć' by przez jedno z tych większych okien w sypialni? Przez małe okno w łazience trudno się przecisnąć.

- Mógł być malutki - stwierdziła Chow. - Oni często są bardzo mali.

- Jacy oni? - zapytał Monk.

-Ci oni - odparła Chow.

## Monk i Madam Frost

- Coś tu nie gra - powiedział Monk, kiedy wyszliśmy z domu Allegry Doucet.

- Co pan powie - rzuciłam. - Co pierwsze panu podpadło? Aluminiowa folia czy radio przyklejone taśmą do głowy?

- Mówię o morderstwie. Dlaczego nie ma śladów włamania do budynku?

- Czy okno w łazience nie było śladem włamania?

- Jeszcze nie wiem. Na razie jestem pewien tylko tego, że Allegra Doucet знаła swojego zabójcę.

- Skąd pan to wie?

- Kiedy ją zaatakował, stała do niego przodem - mówił Monk. - Nie było śladów walki ani obrażeń na ciele, świadczących o tym, że ofiara się broniła. Nie miała pojęcia, że jej życiu grozi niebezpieczeństwo, aż je straciła.

- To znaczy nie rozwiązał pan jeszcze zagadki? - zapytałam.

- Dzisiaj mam kiepski dzień - powiedział Monk.

- Żartowałam tylko.

- Ja nie - odparł Monk, przenosząc wzrok na dom po drugiej stronie ulicy. - Może ona naprowadzi nas na trop?

Podążyłam spojrzeniem za jego wzrokiem i zo-

baczyłam stary, zniszczony dom wiktoriański z zaciągniętymi w oknach ciemnymi kotarami, na których tle blado świecił neon: MADAM FROST - WRÓŻKA I PARAPSYCHOLOG. KARTY TAROTA, WRÓŻENIE Z RĘKI, ASTROLOGIA. Kotary były ozdobione półksiężycami i gwiazdami oraz rzuconymi dodatkowo tu i ówdzie symbolami energii jin i jang.

- Poprosi pan, żeby zajrzała w szklaną kulę? - zapytałam.

- Madam Frost może coś wiedzieć na temat sąsiadki i koleżanki szarlatanki.

Kiedy podchodziliśmy do frontowych drzwi, Madam Frost, kuśtykając, wychodziła właśnie bocznym przejściem zza swojego domu. Od razu wiedziałam, że to ona, ponieważ w przeciwieństwie do Allegry Doucet Madam Frost w każdym calu wyglądała jak wróżka. Miała ponad sześćdziesiąt lat, może nawet więcej, cała była owinięta szalem, który zdawał się być utkany z pajęczych sieci, i wspierała się na sękatym kosturze, wystruganym z konara jakiegoś uschłego drzewa. Na każdym palcu kościstych dłoni miała pierścień, a jej zęby były pożółkłe niczym strony starej księgi z antykwariatu. Wyobraźcie sobie mistrza Yodę w swojej sukmanie, a będziecie mieli Madam Frost.

- Madam Frost? - zapytał Monk, choć musiał doskonale wiedzieć, kogo ma przed sobą; kto się dzisiaj tak ubiera?

- Właśnie się zastanawiałam, kiedy do mnie wreszcie zajdziecie - powiedziała głosem, który bardziej przypominał Angelę Lansbury niż Margaret Hamilton. - Czekałam na was.

- Spojrzała pani w szklaną kulę i zobaczyła, że idziemy?



—Wyrzałam przez okno. W ten sposób często można zobaczyć o wiele więcej - odpowiedziała i przeszła do wejścia. - Widziałam radiowozy na ulicy i lekarza sądowego, który wchodził do domu Allegrы Doucet. Doszłam do wniosku, że prędzej czy później policja pojawi się także u mnie. Proszę, wejdźcie.

Otworzyła kluczem drzwi i skinieniem ręki zaprosiła nas do saloniku, który podobnie jak jego właścicielka, ucieleśniał wszystko, co głosił umieszczony przed wejściem neon.

Pokój oświetlało kilka lamp z witrażowymi abażurami, które rzucały blade światło na ściany zastawione półkami, uginającymi się pod rządami starych, zakurzonych książek. Ich grzbiety i obwoluty pokrywały jakieś dziwne symbole i nieczytelne napisy. Wolne miejsca na półkach zarzucone były tajemniczymi drobiazgami: glinianymi płytkami z pismem runicznym, zmniejszonymi głowami, egipskim obeliskiem, magicznymi kostkami voodoo, kryształkami, łapaczami snów Indian Nawaho, jednoróżcami, talizmanami, kurzymi nóżkami, figurkami Buddy, kielichami i pucharami, afrykańskimi bożkami płodności, jakimiś zwojami i małym modelem statku kosmicznego *Enterprise*.

Bez wątpienia Madam Frost miała przygotowane mistyczne. Gdyby przypadkowo trafił do niej jakiś nawiedzony, indiańsko-egipsko-buddyjski fan *Star Treka*, z pewnością wiedziałaby, jak go potraktować.

Na środku pokoju stał okrągły stół, na którym leżała kryształowa kula, talia kart do tarota i bloczek notesowy z żółtymi kartkami. Madam Frost rzuciła klucze na stół i odwróciła się do nas.

- Czym więc mogę służyć?

- Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa Allegrы Doucet, astrolożki, która mieszkała po drugiej stronie ulicy - powiedział Monk, ściągając nerwowo twarz i lustrując niespokojnie pomieszczenie.

- Jaka tam ona astrolożka - odparła Madam Frost. - Była aktorką z komputerem. Brakowało jej wyczucia.

- Jednak innych rzeczy jej nie brakowało - powiedziała. - Zarabiała dosyć, by robić zakupy u Prądy.

Madam Frost z całą pewnością zakupów tam nie robiła. Swoje ubrania musiała chyba kupować na wyprzedaży garażowej u rodziny Addamsów.

- Mimo wszystko ona jest martwa, a ja się cieszę dobrym zdrowiem - powiedziała Madam Frost. - Jej konto bankowe na niewiele jej się teraz przyda.

- Wydaje mi się, że nie darzyła jej pani wielką sympatią - zauważył Monk, dysząc ciężko, jakby wbiegł na szczyt stromego wzgórza.

Nie potrafiłam odgadnąć, co go tak niepokoi.

- Od czterdziestu lat doradzam, wspieram i prowadzę ludzi z tej dzielnicy. Przy tym stole siedziała Janis Joplin. Siedział Ken Kesey. Z Timothyem Learym próbowałam tu LSD. Allan Ginsberg czytał tu na głos poezję, gdy wróżyłam mu z ręki - mówiła Madam Frost. - Kim była ona? Niespełnioną aktoreczką z Los Angeles, która pojawiła się nagle dwa lata temu, mieniąc się „astrologicznym doradcą” i wystawiając rachunki na dwieście dolarów za godzinne spotkanie.

- Jak psychoterapeuta - jęknął Monk.

Był już błąd jak ściana, a nad jego brwiami zaczęły się zbierać krople potu.

- To porównanie, które Allegra chętnie przywoływała. Jednak psycholog opiera się na wiedzy,

dobrze wie, co się może dziać w umyśle człowieka. Tymczasem ona opierała się na astrologicznym programie komputerowym, który można kupić w byle hipermarkecie i który w sekundę wyrzuca tyleż gotowe, co beużyteczne wykresy - mówiła Madam Frost i przerwała na chwilę, rozproszona ciężkim sapaniem Monka. - Ja natomiast, aby stworzyć szczegółowe wykresy dla swoich klientów, spędzam długie dni nad astrologicznymi efemerydami, analizuję złożone ruchy, obserwuję subtelne wpływy planet i gwiazd.

- Dla klientów, z których większość podebrała pani sąsiadka - dodałam.

- Prawda, przyciągała młodsze pokolenie - przyznała Frost. - Młodzi ufają nowym technologiom i wychwalają erotyzm. Doucet stanowiła nieodpartą kombinację obu tych rzeczy. Nie mogłam z nią konkurować. Młodych nużą książki, uważają, że wszystko, co się robi ręcznie, jest gorsze, a ponadto potwornie się boją starości. Jednak starzy klienci polegają na mnie i nadal przychodzą do mnie po porady, a młodzi w końcu się przecież zestarzeją, mimo wysiłków, by działało się inaczej.

Przyszło mi do głowy, że Allegra Doucet modernizowała astrologię i zmieniała jej wizerunek w podobny sposób jak cała ta dzielnica, personifikowana przez Madam Frost, zmienia się i modernizuje, windując swoją wartość. Madam Frost i Allegra Doucet wyrażały w ludzkim wymiarze konflikt między przeszłością i przyszłością dzielnic Haight i Ashbury. W każdym razie dopóty, dopóki Doucet nie padła ofiarą morderstwa.

Monk nagle zaczął tracić oddech.

- Nie wytrzymam dłużej - wysapał i wybiegł z domu

Wyszliśmy za nim.

Stał na ganku, wdychając łapczywie powietrze wielkimi haustami, niczym tonący, któremu udało się właśnie wypłynąć na powierzchnię.

- Co się stało? - zapytałam. - Mogę coś dla pana zrobić?

- Możesz posprzątać ten bałagan - odpowiedział Monk. - Tam nic do niczego nie pasuje. Nie ma krzty porządku. To jedna wielka anarchia.

- Bardzo mi przykro, że mój eklektyczny wystrój nie przypadł panu do gustu - rzekła Madam Frost. - Jednak odzwierciedla długie lata moich studiów nad mistyczną naturą egzystencji.

- To szaleństwo - powiedział Monk. - Jak tak można żyć?

- Ludzie mówią, że mój dom ma charakter, coś, czego, jak widzę, bardzo brakuje światu w dzisiejszych czasach.

- Charakter jest czymś wybitnie przecenianym - stwierdził sucho Monk. - Radzę spróbować zwykłych porządków. Później mi pani podziękuje.

- Mogę czymś jeszcze państwu służyć? - zapytała Madam Frost poirytowanym głosem.

Trudno powiedzieć, bym miała jej za złe tę małą urazę. Nikt nie lubi, kiedy mu się wytyka, że jego mieszkanie to śmietnisko.

- Czy Allegra Doucet miała wrogów? - zapytał Monk. - Oczywiście poza panią.

- Sama sobie była największym wrogiem.

- Sama jednak nie zakłuła się na śmierć - zauważyłam.

- Było tylko kwestią czasu, aż ktoś w końcu odkryje, że tak zwany horoskop indywidualny i analizy, za które płaci ciężką gotówkę, to tylko wygenerowany

przez komputer bełkot - mówiła Madam Frost. - To, co robiła Doucet, to jedno wielkie szalbierstwo. Ludzie nie znoszą, kiedy ktoś robi ich w trąbę. Zakrawa na ironię, jak łatwo mogła temu zapobiec. Ostrzegałam ją, ale nie chciała mnie słuchać.

- Wiedziała pani, że ktoś chciał ją zabić? - zapytał Monk.

- Ułożyłam jej horoskop. Wiedziałam, że wczoraj wieczorem miało się wydarzyć coś, co diametralnie zaważy na jej losie.

- Skoro jednak morderstwo było jej zapisane w gwiazdach — powiedziałam - to co mogła zrobić?

- Astrologia jest jak prognoza pogody; informuje człowieka, w jakich warunkach może się znaleźć w najbliższej przyszłości. Jeśli prezenter pogody zapowiada, że prawdopodobnie będzie padać deszcz, człowiek zabiera ze sobą z domu parasol. Jeśli tak postąpi, nie przemoknie. Jeśli zignoruje przestrożę, najpewniej wróci do domu mokry - mówiła Madam Frost. - Wczoraj wieczorem Allegra Doucet mogła dokonać wyboru i najwyraźniej wybrała źle. Człowiek ma wolną wolę i jeśli użyje jej w sposób mądry, to da mu ona większą moc niż jakiegokolwiek siły niebieskie.

- Zgodnie z podstawowymi prawami fizyki gwiazdy i planety poruszają się po stałych orbitach - powiedział Monk. - Czy mam rację?

- Tak jest - odpowiedziała Madam Frost.

- Czy zatem jako astrolog nie uważa pani, że rzeczy w domu również powinny być ułożone według stałego porządku?

- Skoro wydaje się pan mieć takie upodobanie do układów ciał niebieskich, może zgodzi się pan, bym ułożyła panu horoskop? - zaproponowała Madam

Frost. — Odslonię przed panem, jakie trudności czekają pana w śledztwie, a także w życiu osobistym.

- Nie wierzę w astrologię - odpowiedział Monk.

- W co pan wierzy?

Monk przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- W porządek - odparł i odszedł.

Madam Frost spojrzała na mnie.

- A pani, moje drogie dziecko? W co pani wierzy?

- W siebie.

- Sprawdza się taka wiara?

- Raczej częściej niż rzadziej. Pożegnałam się z Madam Frost, podziękowałam

jej za poświęcony nam czas i dołączyłam do Monka na środku ulicy.

- Dokąd teraz? - zapytałam.

- Na komendę - odpowiedział. - Zastanawiam się tylko, jak tam dotrzemy.

Odwrociłam się w kierunku swojego samochodu. W każdym razie w kierunku, gdzie mój samochód powinien stać. Ale tam nie stał. Rozejrzałam się dookoła. Nigdzie go nie było. Podeszłam do policjanta, któremu oddałam kluczyki. Jego głowa, z kwadratową szczęką, czerwonymi policzkami i wojskowym językiem, przypominała obrośniętą mchem cegłę. Na jego identyfikatorze przeczytałam nazwisko: KRUPP. Policjant patrzył na nas z wyraźnym rozbawieniem.

- Gdzie mój samochód? - zapytałam tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Musi pani zapytać firmę, która go odholowała - odpowiedział Krupp.

Nie wierzyłam własnym uszom.

- Pan kazał odholować mój samochód?!

- Cóż, był nieprawidłowo zaparkowany i bloko-  
wał ruch uliczny - wyjaśnił. - Oto pani mandat.

Krupp wręczył mi żółty rachunek, który zmię-  
łam w złości i rzuciłam mu prosto w pierś. Udał, że  
niczego nie zauważył, i ani na moment nie przesta-  
wał patrzeć mi w oczy.

Wskazałam palcem Monka.

- Wie pan, kto to jest?

- Uhm. Jakżeby inaczej - odpowiedział Krupp.  
-Stary cymbał, który chce mnie pozbawić przyzwo-  
itego zarobku.

- Ten cymbał może pana wylać z pracy! - za-  
wołałam.

- Przy takim braku policjantów na ulicach? -  
Uśmiechnął się zadowolony z siebie. - Nie sądzę.

- W porządku - powiedziałam. - Proszę o klu-  
czyki.

Podał mi moje kluczyki, ale ja dalej trzymałam  
wyciągniętą rękę.

- Chcę kluczyki do pańskiego radiowozu.

- To własność departamentu policji - odparł. -  
Pani jest cywilem.

- Ale on jest kapitanem policji - powiedziałam,  
wskazując na Monka. - Chyba że chciałby pan po-  
rozmawiać na ten temat z burmistrzem? Tak się  
składa, że numer do burmistrza mam w przycisku  
szybkiego wybierania.

Zaczęłam szukać w torebce telefonu  
komórkowego, ale policjant wiedział, że tym razem  
przegrał. Podał mi kluczyki do radiowozu.

- Dziękuję - powiedziałam i spojrzałam na Moń-  
ka, który robił wrażenie cokolwiek wystraszone-  
go. - Idziemy, kapitanie.

Ruszyliśmy w kierunku radiowozu.

- Mówisz poważnie? - zapytał Monk.  
- Woli pan jechać na tylnym siedzeniu taksówki, którą jechało tysiące różnych osób? - Zobaczyłam, jak Monk wzdrygnął się z obrzydzenia. - Tak myślałam.

Podeszliśmy do radiowozu i weszliśmy do środka. Był tu podręczny laptop, karabin i mikrofon zamocowany na tablicy rozdzielczej, ale poza tym auto w niczym się nie różniło od każdego innego samochodu. Wsadziłam kluczyk do stacyjki i przekręciłam rozrusznik. Silnik zawył tak wściekle, że głos mojego jeepa cherokee wydał mi się przy tym bzyknięciem wózka golfowego. Zdawało mi się, że jeśli przycisnę pedał gazu, z rury wydechowej buchną płomienie.

Ale będzie zabawa.

W tej chwili zadzwoniła moja komórka. Wyjęłam ją z torebki i odebrałam połączenie. Telefonowała Susan Curtis z komendy, meldując, że kolejny znaczny obywatel San Francisco w sposób gwałtowny skończył właśnie żywot. Podała mi adres, a ja powiedziałam, którym radiowozem jedziemy, by mogła się z nami kontaktować przez radio. Poprosiłam także, aby sprawdziła, która firma odholowała mój samochód.

Curtis chciała się już rozłączyć, kiedy do telefonu podszedł Frank Porter. Sprawdził stan kart kredytowych ofiar „Dusiciela Golden Gate”, chcąc się dowiedzieć, czy w ciągu ostatnich trzech miesięcy kupowały jakieś buty do biegania. Jak się okazało, nie kupowały. Co więcej, nie robiły zakupów w tych samych sklepach.

Rozłączyłam się i natychmiast przekazałam



Monkowi, czego się dowiedział Porter. Monk sponiewniał. Potem powiedziałam, z czym dzwoniła do nas Susan Curtis.

- Ma pan nowe zabójstwo - zakończyłam.

- Ale to nie jest kolejna ofiara naszego „Dusiela”, prawda? - zapytał.

Pokręciłam przecząco głową.

- W Mission District ktoś potrącił przechodnia i uciekł z miejsca wypadku - powiedziałam.

Westchnął znużony.

- To nie wygląda mi na jakąś szczególnie trudną sprawę. Trzeba przesłuchać świadków, odnaleźć samochód, który odpowiada numerowi rejestru cyjnego lub opisowi podanemu przez świadków, potem sprawdzić, czy nie ma na nim krwi lub innych śladów z miejsca przestępstwa.

Innymi słowy, śledztwo będzie się opierać bardziej na niewdzięcznej papierkowej robocie niż na genialnej dedukcji. Monk nie lubił wkładać w coś aż tyle wysiłku, chyba że wiązałyby się to z -usunięciem z czegoś brudnej plamy.

- Na miejscu jest jakiś detektyw. Jestem pewna, że nie jest tam pan niezbędny - powiedziałam, siląc się na obojętny ton. - W końcu jest pan kapitanem. Ma pan na głowie ważne sprawy urzędowe w ko mendzie.

Przyznaję, trochę nim manipulowałam. Bardzo chciałam poprowadzić radiowóz. I to naprawdę szybko.

- Wiesz, jak dojechać na miejsce przestępstwa? - zapytał Monk.

Przytaknęłam, usiłując stłumić uśmiech.

- Możemy pojechać na sygnale? - zapytałam.

- Po to przecież jest - odpowiedział Monk.

## Monk i brud na ulicy

Boska moc, którą daje zwykła syrena policyjna, jest czymś niesamowitym. Samochody umykały z drogi, zostawiając mi przed maską całą szerokość ulicy. Poznałam wolność, której zazna niewielu kierowców tego miasta, chyba że zdarzy im się wyjechać na ulicę o trzeciej w nocy. Mimo to żałowałam, że miejsce popełnienia przestępstwa nie znajdowało się gdzieś za jednym z osławionych stromych wzgórz San Francisco, bo mogłabym na krzyżówkach wyskakiwać samochodem w powietrze i lądować z hukiem na ostrym zjeździe, sypiąc iskrami spod drącego asfalt podwozia.

Niestety wskazówka szybkościomierza ani razu nie przekroczyła sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a od celu naszej podróży nie dzieliło nas najmniejsze nawet wzgórze. Rozciągał się tylko płaski teren, zabudowany klockowatymi blokami z lat pięćdziesiątych i upadającymi firmami (sklepikami, kwiaciarniami, pralniami samoobsługowymi czy tanimi salonikami manikiuru), które ciągnęły się pasmem zaniedbanych, brudnych witryn.

Na ulicy stały już inne radiowozy. Paru umundurowanych policjantów trzymało kilkudziesięciu gapiów na chodniku za żółtą taśmą bezpieczeństwa okalającą skrzyżowanie, na którym leżało ciało

przykryte białym, splamionym krwią prześciera-  
dłem.

Mało kto jednak zwracał uwagę na martwego  
człowieka. Wszyscy patrzyli na dym kłębiący się  
nad domem za rogiem. Mogłam to zrozumieć.  
Szalejący pożar jest o wiele bardziej interesujący  
dla oka niż zakryte zwłoki.

Monk siedział z rozszerzonymi oczami, błądy  
jak kreda, wciśnięty w fotel pasażera, jakby przy-  
szpilony do niego potężnymi siłami przeciążenia. W  
chwili, kiedy nasz samochód się zatrzymał, ziemią  
wstrząsnął jakiś wybuch.

- Chyba przekroczyliśmy barierę dźwięku - po-  
wiedziało Monk jakimś nieobecny, oszołomionym  
głosem.

- Nie przekroczyłam nawet dozwolonej prędko-  
ści — odpowiedziałam.

- W takim razie co za wybuch słyszałem? - za-  
pytał.

- Prawdopodobnie miał związek z pożarem -  
powiedziałam, ruszając w kierunku ciągnącego się  
pod niebo dymu.

Monk z wahaniem odpiął pasy bezpieczeństwa,  
jakby się bał, że w każdej chwili samochód może  
samowolnie wyrwać się naprzód niczym rakieta, a  
potem drżącą ręką sięgnął do klamki, by otworzyć  
drzwi.

- Kiedy powiedziałem, że możesz włączyć  
syrenę - mówił rozdygotany - nie miałem na myśli  
tego, żebyś pędziła z taką szybkością przez miasto.

- Jak pan myśli, po co radiowozy mają syreny?

- Żeby ludzie nas mogli usłyszeć i zjechać z  
drogi, umożliwiając nam niespieszne, spokojne i  
bezpieczne dotarcie do celu.

- Pan nie umie się bawić.

- Daj mi miotłę, szufelkę i brudną podłogę - powiedział Monk - a pokażę ci prawdziwą zabawę.

Monk wysiadł z samochodu i przeszliśmy za róg, gdzie zobaczyliśmy stojący w ogniu parter jednego z budynków. Strażacy walczyli też z płomieniami wydobywającymi się z poczerńiałej karoserii samochodu, który wjechał w ogromną witrynę sklepową. Jakiegoś rannego mężczyznę przewożono właśnie na noszach do karetki, a obok, na ławce na przystanku autobusowym, sanitariusze opatrywali pochlipującego, mocno łysiejącego faceta, którego koszula na ramieniu przesiąknięta była krwią. Zaciekawieni przechodnie gromadzili się na chodniku, obserwując pirotechników.

Z tej zadymionej scenerii chaosu i pandemonium wynurzyła się nagle sylwetka postawnego mężczyzny, który zbliżał się do nas wolno, z rękami opuszczonymi niedbale wzdłuż bioder. W ręku trzymał pistolet, największy, jaki w życiu widziałam, w którego srebrnej, dymiącej lufie odbijały się promienie słoneczne.

- Kto to jest? - zapytał Monk.

Od razu poznałam to kamienne spojrzenie, tę zmęczoną życiem twarz, a przede wszystkim zniszczenie, kroczące za tym człowiekiem jak cień. Z ulgą zobaczyłam, że nie ma przy pasie granatów.

- To „Szalony” Jack Wyatt - powiedziałam. - Jeden z czworga pańskich detektywów.

- Na co się tak gniewa? - zapytał Monk.

Wzruszyłam tylko ramionami.

- To pewnie pan jest tym nowym kapitanem — powiedział Wyatt z grymasem na twarzy, jakby wypowiedane słowa sprawiały mu wielki ból.

- Nazywam się Adrian Monk, a to moja asystentka Natalie Teeger.

- Asystentka - powiedział Wyatt. - To ci bonusik.

- Nie jestem żadnym bonusikiem - odpowiedziałam.

- Dla mnie bonusik jak się patrzy - stwierdził Wyatt.

- Jakim cudem ten samochód znalazł się w witrynie sklepowej? - zapytałam.

Wyatt rzucił okiem przez ramię.

- Może szukał okienka z obsługą dla kierowców i coś go wystraszyło.

- Co go mogło wystraszyć? - zapytałam.

- Niewykluczone, że strzały z pistoletu - odpowiedział Wyatt.

Tymczasem Monk zaczął swoją robotę, zataczając wokół nas kręgi i badając uważnie świeże ślady po oponach na asfalcie. Wyatt wodził za nim przezornie wzrokiem, jakby był gotów w każdej chwili wymierzyć w Monka swój wielki pistolet.

- Samochód nadjechał od północy, a potem, przejeżdżając przez skrzyżowanie, raptownie przyśpieszył - mówił Monk, czytając ze śladów opon, jakby były wiernym zapisem wydarzeń, co w pewnym sensie, jak sądzę, było prawdą. — Najpierw przestrzelił mu pan przednią prawą oponę, a kiedy samochód minął skrzyżowanie, przestrzelił mu pan tylną lewą oponę. Kierowca stracił panowanie nad pojazdem i wpakował się we frontową witrynę sklepu.

Wyatt przytaknął.

- Daleko posunięta nieostrożność z jego strony - stwierdził.

- Czy to on potrafił pieszego? - zapytałam.
- Nie - odpowiedział Monk, zanim Wyatt zdążył otworzyć usta. - Tu są ślady opon innego samochodu.

Monk zaczął iść śladem tych opon i po chwili zniknął za tym samym narożnikiem, gdzie zostałam nasz radiowóz.

- Wciąż nie rozumiem, co się stało - powiedziałam.

Wyatt spojrzał na mnie.

- Przyjechałem na miejsce przestępstwa i zacząłem prowadzić dochodzenie, kiedy raptem w kierunku jednego z przejeżdżających samochodów rozpoznałem Trinidadą Lopez, głównego podejrzanego w sprawie serii napadów przy bankomatach.

- Więc po prostu zaczął pan do niego strzelać? - zapytałam.

- Nie do niego, tylko do samochodu - poprawił mnie. - Gdybym strzelał do niego, nie leżałby teraz w karetce, lecz w plastikowym worku.

Zerknęłam za siebie na mężczyznę, którego wnoszono właśnie do ambulansu.

- Skoro tamten to Lopez, to kim jest ten człowiek? - Wskazałam palcem rannego mężczyznę na przystanku autobusowym.

- To mój terapeuta od powstrzymywania ataków złości.

- Pan strzelał do swojego terapeuty?!

- To tylko zadrapanie. - Machnął ręką, wsuwając pistolet do kabury, która długością dorównywała moim udom. - Nie powinien się pchać na linię strzału, kiedy strzelam.

- To chyba rzeczywiście jakiś bezmózgowiec.

- Bezmózgowiec to by był, gdybym celował w je-

go głowę - powiedział Wyatt. - Śmiem twierdzić, że to jego szczęśliwy dzień.

- Pójdę do niego i powiem, żeby przed powrotem do domu kupił sobie kupon na loterii.

Zdawało mi się, że na wykrzywionej twarzy Wyatta dostrzegłam cień szelmowskiego uśmiechu. Miałam nadzieję, że nie oznaczało to, iż zaraz wyciągnie broń i zacznie do mnie strzelać.

Wrócił Monk.

- Co może mi pan powiedzieć o ofercie?

- Nie uważam, aby można było nazywać o f i a r ą faceta, który napada na staruszki przy bankomatach - odpowiedział sucho Wyatt. - Ja kogoś takiego nazywam tarczą do ćwiczeń strzeleckich.

- Wydaje mi się, że pan Monk miał na myśli ofiarę potrąconą przez samochód - wtrąciłam, próbując trochę pomóc.

Wyatt chrząknął, wyjął z tylnej kieszeni notatnik i spojrział na pierwszą stronę.

- Zmarły to John Yamada, architekt, lat czterdzieści cztery. Mieszkał w domu na rogu, obecnie rezyduje pod tym białym prześcieradłem - mówił Wyatt. - Został potrącony przez samochód, kiedy szedł do sklepu po drugiej stronie ulicy i przekraczał

jezdnię w niedozwolonym miejscu. Nikt nie zapamię

tał numeru rejestracyjnego, jednak zdaniem wielu świadków samochód, który go potrącił, to z całą pewnością była toyota, ford, honda, subaru, pontiac, hyundai, chevrolet, ewentualnie kia sedan.

- Co pan o tym wszystkim sądzi? - zapytałam.

Wyatt wzruszył ramionami.

- Selekcja naturalna.

- Słucham? - zdziwiłam się.

- Ten imbecyl powinien spojrzeć w lewo i prawo, zanim włączył na jezdnię.

- To nie było przypadkowe potrącenie - wtrącił Monk. - To morderstwo z premedytacją.

Oboje spojrzeliśmy na Monka. W każdym razie ja na pewno. Myślę, że Wyatt także na niego spojrzał, choć równie dobrze mógł wypatrywać kolejnych ściganych przestępców, do których mógłby strzelić.

- Ślady opon wskazują, że kierowca zaparkował po drugiej stronie ulicy i kiedy Yamada się pojawił na przejściu, przycisnął gaz do deski - powiedział Monk. - Zabójca czekał na swoją ofiarę.

- To wszystko pan wywnioskował ze śladów opon? - zapytał sceptycznie Wyatt.

- Nawet więcej - odpowiedział Monk, prowadząc nas za narożnik do radiowozu. - Samochód stał właśnie tutaj, skąd kierowca doskonale widzi frontowe drzwi domu Yamady. Widzicie to błoto?

- Nie, jakie błoto? - zapytał Wyatt.

Ja też nic nie widziałam.

- Mówię o tych wielkich, obrzydliwych grudach brudu pod waszymi nogami. - Monk wskazał palcem ziemię.

Przyklękaliśmy z Wyattem i uważnie wpatrzyliśmy się w nawierzchnię ulicy. Między nami leżały jakieś drobnutkie okruchy błota.

- Jakim cudem on to zobaczył? - zapytał mnie Wyatt.

- Brudu nigdy nie przeoczy - odpowiedziałam. - Nigdy.

- Tam jest tego więcej. - Monk wskazał palcem parę metrów dalej. - Jednak między tymi dwoma kopczykami nie ma nic. Twierdzę, że brud opadał



z drżącego samochodu, kiedy ten stał uruchomiony na jałowym biegu.

- No i? - zapytał Wyatt.

- Nie spadł w żadnym innym miejscu, a tylko w tych dwóch punktach, odległych od siebie dokładnie o długość samochodu, tam, gdzie się znajdowały tylna i przednia tablica rejestracyjna. Oto, dlaczego nikomu nie wpadły w oko numery, obie tablice były zabrudzone błotem.

- Zawodowiec ukradłby tablice z byle samochodu i zamocował u siebie - mówił Wyatt. - Mamy więc do czynienia z cywilem, który improwizuje.

- Może ktoś z kręgu osobistych znajomych Yamady? - powiedział Monk.

- Sprawdzę to - zaoferował Wyatt. - I zlecę w laboratorium zbadanie tego błota.

- Liczę, że pan posprząta ten brud.

- Z przyjemnością - zadeklarował Wyatt.

- Naprawdę? - ucieszył się Monk. - Posprząta pan?

- Urodziłem się po to, żeby sprzątać z ulic brudy,

- Ja też - powiedział Monk. - Jakiego środka pan używa?

Wyatt odchylił połą marynarki i pokazał Monkowi swój gigantyczny pistolet w gigantycznej kaburze.

- Magnum, trzy-pięć-siedem, a pan?

- Simple Green - odparł strapiiony Monk.

W jego głosie usłyszałam wyraźną nutę rozczarowania. Zapewne przez krótką chwilę sądził, że spotkał bratnią duszę.

Siadzonoł mój telefon. Sięgnęłam do torebki i odebrałam połączenie. Znowu telefonowała Curtis. Słuchałam jej przez dłuższą chwilę, nie wierząc

własnym uszom, a potem zatrzasnęłam klapkę telefonu.

- W tym mieście robi się zbyt niebezpiecznie - powiedziałam.

- To się niebawem zmieni - wycedził Wyatt. - Wracam do gry, a w spluwie znowu mam kule.

Spojrzałam na Monka.

- Kolejne morderstwo.

- Trzy morderstwa w jednym dniu? - zadziwił się Monk. - Jeśli tak dalej pójdzie, to staniemy się stolicą zabójstw.

- Jeśli tak dalej pójdzie - powiedziałam - to ja się stąd wyprowadzam.

Z Russian Hill rozciąga się niebywała panorama miasta. Spojrzysz na północ, a zobaczysz Alcatraz i hrabstwo Marin za zatoką. Spojrzysz na wschód, zobaczysz Coit Tower i srebrzący się w słońcu Bay Bridge. Jeśli spojrzysz na południe, zobaczysz wysokościowce dzielnicy finansowej, a na zachodzie ujrzysz wspaniały most Golden Gate. Jednak tego wieczoru wszystkich interesował tylko jeden widok: ciała Dianę Truby u stóp stromej ulicy z domami mieszkalnymi oraz pokrytej krwią autobusowej kraty od chłodnicy, która ją powaliła.

Jeszcze kilka minut wcześniej była pasażerką tego autobusu. Kierowca zatrzymał się na przystanku na szczycie wzgórza i wysadził Dianę oraz kilku innych pasażerów. Kiedy parę minut później autobus zjeżdżał ze wzgórza, Dianę Truby niespodziewanie wpadła na ulicę, prosto pod jego koła. Autobus uderzył w nią z impetem i pociągnął ciało na sam dół, gdzie kierowca zdołał wreszcie zatrzymać pojazd.

W połowie wzgórza ulicę przecinała wąska aleja, Truby została uderzona przez autobus mniej więcej na wysokości tej alejki i właśnie tam spotkaliśmy z Monkiem Franka Portera oraz jego wnuczkę. Sparrow opierała się o ścianę i słuchała iPoda, wyglądając na osobę tak potwornie znudzoną, że myślałam, iż zaraz sama się rzuci pod autobus, byle działo się coś ciekawego.

Porter siedział na odwróconej, drewnianej skrzynce po warzywach i opowiadał, co się stało, ani razu nie odwołując się do notatek.

Dianę Truby była kelnerką i wracała z pracy do domu. Codziennie jeździła tym samym autobusem, Mieszkała z jakimś plastykiem, który zarabiał na życie, rysując karykatury turystom, czekającym na tramwaj przy pętli linii Powell-Hyde.

- Przesłuchałem wszystkich pasażerów, którzy jechali autobusem - powiedział Porter. - Nikt nic nie widział poza kierowcą, ale ten koncentrował się na drodze, kiedy ofiara nagle się pojawiła przed pojazdem.

Monk słuchał go uważnie, a potem wyszedł na środek ulicy, zakręcił dziwaczny, mały piruet i wrócił na alejkę. Na chodniku leżała, zakreślona dookoła białą kredą, damska torebka.

- Ta torebka na chodniku należy do Diany Truby? - zapytał Monk.

- Uhm - odparł Porter. - W środku jest sześćdziesiąt dolarów w gotówce i telefon komórkowy. Nie wygląda mi to na nieudaną kradzież torebki.

- Zatem szła w dół chodnikiem, gdy ktoś wyskoczył nagle z tej alejki i wepchnął ją pod autobus - stwierdził Monk.

- Mamy do czynienia ze zwyrodnialcem — po-

wiedział Porter. - Przypomina mi się sprawa, którą prowadził jeden z moich kumpli w Nowym Jorku. Jakieś dzieciaki wpychały ludzi pod pociąg metra.

- To nie żadna sprawa z Nowego Jorku - odezwała się nagle Sparrow. - To było w ostatnim odcinku *Prawa i porządku*, który oglądałeś wczoraj w telewizji.

- Robili to tylko dla dreszczyku emocji - ciągnął Porter, nie zwracając uwagi na wnuczkę. — Takich zwyrodniałych psycholi najtrudniej złapać. Nigdy nie wiadomo, kiedy i gdzie znowu uderzą.

- A ta skrzynka, na której siedzisz - powiedział Monk. - Skąd ją wzięłeś?

- Stąd.

- Stała dokładnie tu, gdzie siedzisz, odwrócona do góry dnem?

- Mam już słabe kolana - odparł Porter trochę usprawiedliwiającym, a zarazem wstydliwym tonem.

Monk ukląkł przy skrzynce i spojrzał w kierunku ulicy.

- Siedział na niej również morderca - orzekł po chwili.

Porter nie ruszył się z miejsca.

- Skąd wiesz?

- Nie widać cię w tym miejscu z ulicy, za to ty masz świetny widok na domy po wschodniej stronie u stóp wzgórza.

- Jaką korzyść mógł z tego mieć zabójca? - za'pytałam. - Przecież ofiara schodziła z góry.

- Morderca spoglądał w lustro - wyjaśnił spokojnie Monk.

- Jakie lustro?

- Lustro, które jeden z mieszkańców zamocował na latarni naprzeciw wyjazdu z garażu, żeby mógł obserwować ruch w czasie wyjeżdżania na ulicę.

Przykucnęłam przy Monku i podążyłam oczami za jego wzrokiem. Rzeczywiście na latarni wisiało lustro ustawione pod takim kątem, że widać w nim było wszystko, co się działo w górnej części ulicy. Człowiek, który siedział na skrzynce, doskonale widział autobus i Dianę Truby, zanim jeszcze doszła do wylotu alejki.

- Czy to oznacza, że muszę wstać? - zapytał Frank Porter.

- Siedzisz na dowodzie rzeczowym - zauważył przytomnie Monk. - Z pewnością już go skaziłeś.

- Do diabła - jęknął Porter. - Ktoś musi mi pomóc.

Monk nawet nie kiwnął palcem, co było dla niego typowe. Westchnęłam ciężko i spojrzałam na Sparrow, która także westchnęła; po chwili dźwignęliśmy Portera pod ramiona i postawiłyśmy go na nogi.

- Bardzo dziwne - stwierdził Monk.

- Poczekaj, aż ci przybędzie latek, a zobaczysz, jaki będziesz żwawy - utyskiwał Porter. - Niemal wyzionąłem ducha, wchodząc na wzgórze.

- Mówię o tym. — Monk wskazał na kwit przyczepiony taśmą klejącą do skrzynki. - Warzywa w skrzynce zostały dzisiaj rano dostarczone na targ dwie ulice stąd.

- Co to znaczy? - zapytałam.

Właściwie tak często zadawałam Monkowi to pytanie, że nieraz miałam ochotę wypisać je wielkimi literami na kartce i tylko podnosić mu ją do oczu, gdy zajdzie potrzeba.

- Znaczący tyle, że zabójca przyniósł tutaj skrzynkę, by na niej usiąść. - Naraz Monk podniósł brwi i przekrzywił śmiesznie głowę; coś w tej scenerii nie pasowało mu do całości tak jak powinno i to przyprawiało go o sztywność w karku.

- Dlaczego zabójca po prostu nie stał? Dlaczego nie opierał się o ścianę? Dlaczego nie kucnął?

- Może miał reumatyzm? - podsunął Porter. - Albo zdrętwiałe stopy? Albo łupało go w krzyżu? Albo może, jak w moim przypadku, wszystko to razem? - Porter wstrzymał oddech i spojrzał na Sparrow zatroskanym wzrokiem. - Boże jedyny, może to ja zrobiłem?

- Masz alibi - odpowiedziała Sparrow z irytacją w głosie. - Kiedy ta kobieta zginęła, byłeś na komendzie.

- Naprawdę? - ucieszył się Porter. - Co za ulga.

- Poza tym nie znałeś jej - dodała Sparrow.

- Jesteś pewna?

- Uhm - zapewniła go Sparrow.

- To dobrze. - Porter skinął głową w moim kierunku. - A tę panią znam?

Nie byłam pewna, czy Porter mówi poważnie, czy też bawi się kosztem wnuczki. Spojrzałam mu w oczy w nadziei, że dostrzegę w nich figlarną iskierkę. Zobaczyłam jednak tylko dwie kaprawe gałki oczne, patrzące pustym wzrokiem na ulicę. Mówił jak najbardziej poważnie.

<sup>1</sup> - Nazywam się Natalie Teeger - przedstawiłam się. - Jestem asystentką kapitana Monka.

Porter skłonił lekko głowę, a potem zmrużył oczy, spojrzawszy na Monka.

- To pan jest tym gościem, który kompletnie zbzikował, kiedy Stottlemeyer przyniósł na poste-

runek „pączkowe środki”? Domagał się pan, żebyśmy odnaleźli pączkowe krążki, z których zostały wycięte, i powciskali je tam z powrotem.

- Przede wszystkim „pączkowe środki” nie powinny być usuwane z pączków i sprzedawane osobno - oświadczył Monk. - To tak, jakbyś sprzedawał kurze udka bez całego kurczaka!

- O... cóż w tym złego? - zainteresowała się Sparrow.

- Tak się zaczyna - wyjaśniał Monk. - Najpierw kurze udka, a potem człowiek jest gotowy sprzedać biżuterię matki, by zaspokoić narkotykowy głód.

- To prawda, te słodkie kulki nazywają się „pączkowymi środkami” - tłumaczyłam. - Ale one wcale nie są wycinane ze środka pączków.

- Akurat - nie ustępował Monk. - Jeśli wierzysz w takie bujdy, to zapewne uważasz też, że mamy do czynienia z zabójcą, który dla dreszczyku emocji przypadkowo wybiera ofiary, co?

- A nie? - zapytałam.

- Dianę Truby była celem mordercy od początku do końca.

- Skąd pan wie? - To było następne pytanie, które powinnam zapisać sobie na kartce; stwierdziłam, że czas najwyższy zrobić listę takich pytań.

- Ponieważ w siedzeniu na skrzynce i czekaniu nie ma dreszczyku emocji - wyjaśnił Monk. - Emocje biorą się z impulsywności i potencjalnego niebezpieczeństwa, które się kryje w zaplanowanym czynie.

Zastanawiałam się, jak to możliwe, by Monk wiedział cokolwiek o dreszczach emocji. Jego wyobrażenie o działaniu impulsywnym sprowadzało się do czyszczenia biurka Fantastikiem zamiast

zwykłą Formułą 409; i tak potem poprawia jeszcze Formułą 409.

- Tymczasem zabójca przyniósł sobie coś do siedzenia - mówił dalej Monk. - Wiedział, że upłynie trochę czasu, zanim przejdzie obok niego osoba, na którą czekał. Wiedział i był zdecydowany czekać.

- Wyślę paru policjantów, by przesłuchali tutejszych mieszkańców i sprawdzili, czy ktoś nie widział faceta z pustą skrzynką z warzywniaka - powiedział Porter. - Faceta, który miał słabowite kolana, bóle w krzyżu i odciski na stopach. Powiem, żeby pokazywali ludziom moje zdjęcie, tak na wszelki wypadek.

- Z drugiej strony - ciągnął Monk, zatopiony w myślach - jak na mordercę, który działał z premedytacją, wepchnięcie kogoś pod autobus wydaje się działaniem dziwnie impulsywnym.

- Teraz pan sobie przeczy — powiedziałam.

- Przeczę - odparł Monk z głębokim namysłem.  
-I nie przeczę.



## Monk i zabawa w udawanie

Namówiłam Monka, by przyszedł do mnie na obiad. Szczerze mówiąc, nie dlatego, żebym pragnęła jego towarzystwa lub sądziła, że on może pragnąć mojego. Chciałam tylko, żeby Julie mogła się przejechać prawdziwym radiowozem, a nie czułam się na tyle pewnie, by jeździć nim bez oficera policji.

Byłam jednak zadowolona, że zaprosiłam Monka do siebie, bo nie sądzę, by teraz rzeczywiście chciał zostać sam. Kiedy jechaliśmy do mnie, Monk siedział obok bez słowa i wciąż się wpatrywał w odznakę policyjną. Był najwyraźniej zakłopotany.

W całym tym zamęcie biegania od jednego zabójstwa do drugiego wyleciało mi z głowy, że to pierwszy dzień Monka po powrocie do służby. Więcej nawet, był to jego pierwszy dzień jako szefa wydziału, co nie mogło być łatwe dla człowieka, który z trudem panuje nad własnym życiem.

- Wielki dzień, prawda, panie Monk?

Monk wsunął odznakę do kieszeni i westchnął głęboko.

- Wreszcie odzyskałem odznakę policyjną - powiedział.

- Wspaniałe uczucie, prawda?

- Tylko dopóki trwało - odparł Monk.

- Nikt jeszcze nie poprosił pana o jej zwrot.  
- Ale poprosi - rzekł Monk. - Nie udało mi się nic osiągnąć.

- To przecież pierwszy dzień - powiedziałam. - W obliczu dramatycznego braku rąk do pracy udało się panu podtrzymać pracę wydziału zabójstw, dysponując ledwie szkieletem zespołu, złożonym z byłych detektywów. To ważne osiągnięcie.

- Jednak w sprawie „Dusiciela Golden Gate” nie zrobiłem kroku naprzód.

- Bo to było niemożliwe. Przecież zajmował się pan dzisiaj trzema morderstwami.

- Wciąż nie mam pojęcia, kto zasztytował astrolożkę, kto potrafił architekta ani kto wepchnął kelnerkę pod autobus.

- Zajmuje się pan tymi sprawami dopiero od paru godzin.

- Nieudacznik ze mnie.

- Dopiero pan zdążył obejrzeć miejsca zbrodni, nawet się pan jeszcze nie zabrał do dochodzenia - przekonywałam go. - Naprawdę myśli pan, że takie sprawy można natychmiast rozwikłać?

- Nieraz tak robiłem.

- To był szczęśliwy traf.

- Sześćdziesiąt osiem procent zamkniętych w ten sposób spraw to nie może być szczęśliwy traf - odpowiedział Monk. - To norma.

- Liczy je pan?

Co za głupie pytanie. Monk liczył latarnie na ulicy, płytki sufitowe na posterunku, rodzynki w śniadaniowych otrębach Raisin Bran, a zapewne nawet ziarenka soli w solniczce. To oczywiste, że liczył sprawy, które udało mu się rozwiązać, i pamiętał, ile czasu zajęła mu praca nad nimi.

- To poważnie nadweręży moje statystyki - powiedział Monk.

- Niech pan zapomni o liczbach i spojrzysz na to z innego punktu widzenia. - Dotychczas rozwikłał pan zagadkę każdego morderstwa, które pan prowadził.

- Poza jednym - rzekł smutnym głosem.

Oczywiście mówił o morderstwie swojej żony Trudy, o najważniejszym śledztwie w jego życiu.

- Też pan je rozwikła - powiedziałam z przekonaniem. - Choćby miało to panu zająć nie wiem ile czasu.

- A jeśli straciłem już swoją magię?

- Nie stracił pan.

- Może powinienem zrezygnować i oszczędzić burmistrzowi kłopotów z powodu mojej ponurej klęski?

- To pana strategia na osiąganie sukcesów? Rzucić robotę, jeśli okazuje się zbyt trudna?

- To może być skuteczna strategia.

- I dlatego pan zaszedł tak daleko? Bo się pan poddawał? Nie. Osiągnął pan tyle, bo nieustępliwie parł pan naprzód, walczył pan z własnymi lękami, fobiami i strachami, aż w końcu zdobył pan to, czego pragnął: odznakę policyjną. Teraz, kiedy ją pan ma, chce ją pan oddać? Zdumiewa mnie pan, panie Monk.

- Nie rozumiesz, Natalie. W sprawach tych trzech morderstw nie mam absolutnie nic. Wszystkie fakty i pytania mieszają mi się w głowie w jedną sieczkę. Jakby to była jedna sprawa. Po prostu nie mogę myśleć.

- Zbyt dużo pan od siebie wymaga.

- Czuję się zapędzony w kozi róg, a to nawet nie są morderstwa doskonałe - narzekał Monk. -

Zupełnie zwykłe. Prościzna. Nawet nie można ich porównywać ze sprawami, które wcześniej rozwiązywałem.

- Ponieważ są to morderstwa, które na co dzień rozwiązują Stottlemeyer i Disher, a o których pan nigdy nie słyszał. Nie wzywali pana do takich drobiazgów. Problem polega na tym, że przestał pan być konsultantem policji. Teraz musi pan sobie radzić z każdym zabójstwem, jakie się wydarzy, a jak zdążyłam się zorientować, nie popełniają ich racjonalnie myślący ludzie, którzy finezyjnie opracowują każdy ruch.

- Powinny być więc łatwiejsze - stwierdził Monk.

- Może to właśnie przez naturę tych zabójstw miesza się panu w głowie, przez to, że są szare, codzienne i nijakie - powiedziałam. - Pozornie nie ma w nich większej intrygi, więc trudno uchwycić jakiś pomysł kryjący się za tymi morderstwami czy w ogóle kogoś myślącego.

- Tak uważasz?

- Poza tym nie ma pan już tego luksusu, by całkowicie się poświęcić jednej sprawie. Raptem spadły panu na głowę trzy zabójstwa, a jest przecież jeszcze „Dusiciel Golden Gate”. To oczywiste, że trudno się panu skoncentrować.

Monk potrząsnął głową.

- Nie wiem, jak kapitan sobie radził.

- Niech go pan zapyta - powiedziałam.

- Nie zechce mi pomóc.

Wzruszyłam ramionami.

- W takim razie, jak sądzę, w sytuacjach naprawdę trudnych będzie pan musiał zrobić to samo co kapitan Stottlemeyer.

- A co on robił?

- Polegał na panu.
- Monk spojrział na mnie zdziwiony.
- Sugerujesz, żebym polegał tylko na sobie?
- Kiwnęłam głową, a Monk jęknął.
- To już po mnie...
- Oto właściwy duch - powiedziałam.

Przynajmniej przestał mówić, że zrezygnuje z pracy. Gdzie tylko mogę, staram się osiągać swoje małe zwycięstwa.

Odebranie. Julie od jej koleżanki Katie okazało się wielką frajdą. Julie ubłagała mnie, żebym wzięła do radiowozu również Katie z jej mamą i przewiozła je wokół kwartału z wyjącą syreną.

Monk był przy tym naprawdę sympatyczny. W bohaterskim milczeniu przetrwał piski i kwiki rozradowanych dziewczynek, zasłaniając chusteczką nos i usta, by się przypadkowo nie zarazić.

Myślę, że miał za dużo problemów na głowie, by jeszcze psioczyć na dzieciaki. Poza tym od dzieci, które siedziały na tylnym siedzeniu, oddzielała go gruba plek<sup>^</sup>iglasowa szyba, więc właściwie nie mogły go nawet dotknąć. W mniemaniu Monka wszystkie dzieci, mojej córki nie wyłączając, są jak szczury, które rozniosły po Europie czarną śmierć.

Odwieźliśmy Katie i jej mamę i ruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Julie podskakiwała na siedzeniu, podniecona i rozanielona, że może jechać z tyłu zupełnie sama.

- Udawajmy, że jestem bandytą, dobra? Ale ta kim naprawdę złym - powiedziała, chowając ręce za plecami, jakby miała je skute kajdankami. - Złapa liście mnie, kiedy rabowałam bank, dobrze?

- Gdybyś obrabowała bank, nie siedziałabyś w radiowozie - rzekł Monk.

- Nie szkodzi, panie Monk - powiedziała Julie.

- To tak na niby.

- Napad na bank to złamanie prawa federalnego - stwierdził Monk. - Musielibyśmy udawać, że to jest samochód FBI.

- Świetnie, udawajmy, że jesteśmy agentami FBI - zaproponowałam, spoglądając na Julie we wstecznym lusterku. - Przewozimy niezwykle niebezpiecznego bandytę, który napada na banki.

- I zabijam ludzi - warknęła Julie. - I zjadam ich.

- Co za potwór z ciebie - powiedziałam, starając się zachowywać jak zatwardziały glina, co sprowadzało się tylko do tego, że zniżyłam głos i zmrużyłam powieki. - Służę w policji tyle lat, a nigdy się nie zetknęłam z tak strasznym przestępcą.

- Właściwie nie wydaje mi się, żebyśmy jechali takim samochodem - zauważył Monk. - Jechalibyśmy furgonetką. Furgonetką FBI.

- Ale cała zabawa polega na tym, że jedziemy prawdziwym radiowozem - przekonywała Julie. - Dlaczego mam udawać, że jadę jakąś nudną furgonetką?

- Ponieważ z pewnością chcesz udawać zgodnie z realiami rzeczywistości - odpowiedział Monk. - Przyjrzyjmy się faktom. Napadłaś na bank, to przestępstwo federalne. Zabijasz i zjadasz ludzi. To czyni cię niebezpiecznym psychopatą. Z całą pewnością jechałabyś z tyłu furgonetki zakuta w kajdanki. Niewykluczone, że założyliby ci nawet kaganiec.

Spojrzałam z ukosa na Monka.

- Pan nie pojmuje sensu zabawy w udawanie.

- Nie sędzę - odparł Monk.
- Jeśli się udaje - przekonywałam - można być kimkolwiek gdziekolwiek i można robić, co się chce. Tu nie ma reguł.

Monk energicznie potrząsnął głową.

- Jestem pewien, że gdybyś dobrze sprawdziła, znalazłyby się zasady.

- Sprawdziła? - zdziwiłam się. - Co? Gdzie?

Ale już było po ptakach, bo właśnie zajechaliśmy

na miejsce - pod nasz mały, śliczny, wiktoriański dom stojący w szeregu innych, który wymagał trochę czulej miłości, lecz jej z pewnością się nie doczeka, dopóki ja się nie doczekam potężnej **PODWYŻKI**.

Julie jęknęła cicho.

- Rany... Też mi zabawa.

Otworzyła drzwi i naburmuszona wysiadła z samochodu.

- Dziękuję panu bardzo - powiedziałam cierpkim głosem do Monka.

- Nie ma za co - odparł Monk.

Jeśli zarobiłam u Julie punkty, zabierając ją z koleżanką na przejażdżkę policyjnym radiowozem, to straciłam je wszystkie w chwili, kiedy Monk postanowił zepsuć nam zabawę w udawanie. Ale miałam już pomysł, jak nadrobić tę stratę.

Na początek poprosiłam Monka, aby zrobił na obiad swoje sławne naleśniki. Naleśniki Monka zawdzięczają swoją sławę (przynajmniej w domu pań Teeger) temu, że są idealnie okrągłe. Julie lubi patrzeć na Monka, zafascynowana niebywałą umiejętnością, z jaką odmierza odpowiednią ilość ciasta i z jaką zlewa je na patelnię, uzyskując idealny okrąg. Jednak najlepsza część następowała

później, kiedy wydezynfekowanym cyrkiem Julie sprawdzała na prośbę Monka, czy rozmiar wszystkich naleśników jest identyczny i czy wszystkie są absolutnie okrągłe. Dopiero wówczas mogły trafić na stół.

Tak w wyobrażeniu Monka wyglądał zwykły domowy obiad. Mnie to oczywiście urządzało, ponieważ kiedy oboje byli zajęci smażeniem naleśników, mogłam wreszcie usiąść w salonie, napić się wina i odpocząć.

Tak więc zrobiliśmy. Monk smażył naleśniki, Julie je mierzyła, a ja wypoczywałam. Wszyscy byli zadowoleni. Wydawało się, że Monk zapomniał o swoich kłopotach. Widziałam nawet, jak kilka razy się uśmiechnął.

O ile Monk lubi utyskiwać na dzieci, że są niebezpieczne i rozsiewają potworne zarazki, o tyle uwielbia przebywać w ich towarzystwie. Bierze się to stąd, że podziela ich ciągle zadziwienie światem, co wydaje się osobliwe, zważywszy na to, ile w swoim życiu widział ludzkich dramatów i tragedii.

W nagrodę pozwoliłam Monkowi pozmywać naczynia po obiedzie, a Julie, w nagrodę za wspaniałe oceny semestralne, postanowiłam obdarować rzeczami, które jej wczoraj kupiłam.

- Ale oceny dostanę dopiero w przyszłym tygodniu - uprzedziła mnie Julie.

- Wierzę jednak, że będą znakomite - powiedziałam, kładąc na stół torby z zakupami. - Poza tym pan Monk pomagał mi je wybierać, więc należy mu się ta chwila radości i obecność przy tym, jak otwierasz paczki.

- Pan Monk pomagał ci robić zakupy? - Julie zapytała ostrożnie.



- Tak.
- Dziękuję, ale mam już tyle środków dezynfekujących i apteczek pierwszej pomocy, że mogłabym otworzyć szpital - powiedziała rozczarowana. - Naprawdę nie trzeba mi więcej.
- Wiesz, jak to mówią - wtrącił się Monk - środków czyszczących nigdy nie za wiele.
- Niby kto tak mówi? - zapytała Julie.
- Ludzie, którym brakowało w życiu środków czyszczących - odparł Monk. - Mówią tak tuż przed potworną śmiercią w piekielnych męczarniach.
- Kupiliśmy ci coś do ubrania - powiedziałam. - Czy środek dezynfekujący byłby dobrą nagrodą za dobre stopnie w szkole?
- Byłby potężną motywacją do jeszcze lepszej nauki - odezwał się Monk.
- Julie odetchnęła z ulgą.
- Napędziłaś mi strachu.
- Sięgnęła do toreb i jak się spodziewałam, aż jęknęła z zachwytu nad kurtką Juicy, koszulkami od Paula Franka i spodniami Von Dutch. Jednak mina wyraźnie jej zrzędała, gdy znalazła parę butów do biegania Nike.
- Co się stało? - zapytałam zaniepokojona.
- To byłaby cudna nagroda za moje stopnie na poprzedni semestr.
- Cóż w nich złego, że nie mogą być nagrodą za obecne oceny?
- To stary model - odpowiedziała Julie. - Nike wiele miesięcy temu wycofało te buty z produkcji.
- Nie wiem, gdzie moja dwunastoletnia córka zdobywa te wszystkie poufne informacje na temat nowinek w branży mody ani gdzie się uczy takich określeń jak „wycofać z produkcji”. O ile jednak byłam rozba-

wioną jej wiedzą i słownictwem, o tyle jej postawa trochę mnie zirytowała.

- Oczywiście. Dlatego były na wyprzedazy. I dlatego nas stać na kupno takich butów - odpowiedziałam.

- Za tydzień będą takie buty sprzedawać za grosze z ciężarówek pod autostradą.

- O, więc może powinnam je zwrócić, poczekać trochę i kupić jeszcze taniej pod autostradą?

- Nic nie rozumiesz, mamó - powiedziała Julie.

- Jeśli je włożę, będę niemodna.

- Boże uchowaj!

- I wszyscy będą wiedzieli, że jesteśmy biedne - dodała.

- Wszyscy będą wiedzieli, że potrafisz robić rozsądne zakupy. Zamiast płacić dwieście dolarów za buty, masz je nowiutkie za jedyne trzydzieści dziewięć dolarów. Inni powinni się wstydzić, że tyle płacą za buty, które tobie się udało kupić dużo taniej, bo wykazałaś się cierpliwością i sprytem.

- Nawet nie wiesz, mamó, jakie naprawdę jest życie - powiedziała Julie, tupiąc wściekle nogą.

Julie tupiała w chwilach wielkiej złości od trzeciego roku życia. Zawsze uważałam, że to słodkie i zabawne, i kiedy to robiła, nie mogłam powstrzymać uśmiechu, co oczywiście złościło ją jeszcze bardziej.

Natychmiast tupnęła drugą nogą.

- Mamó! Przestań!

Odwróciłam się do Monka i spojrzałam na niego błagalnym wzrokiem, wiedząc, jaki -zasadniczy potrafi być w kwestii wydatków (moja pensja niech będzie tego żywym dowodem). Jednak Monk miał jakąś bardzo dziwną, zmieszaną minę. Był całkowicie nieobecny myślami.

- Panie Monk? - powiedziałam.

Ocknął się raptem z zamyślenia, uśmiechnął i spojrzał na Julie.

- Co powiesz na jeszcze jedną przejażdżkę radiowozem? - zapytał nieoczekiwanie.

- Jedziemy kupić nową parę butów? - zapytała Julie z nadzieją w głosie.

- Zabieramy cię na posterunek na przesłuchanie - odpowiedział Monk.

- Naprawdę?! - zapytała Julie.

- Naprawdę.

- Naprawdę jedziemy na posterunek? — zapytałam.

- Naprawdę - zapewnił mnie Monk.

- Bomba! - wrzasnęła Julie, rzucając buty i chwytając kurtkę marki Juicy.

Jej obuwniczy wstyd znikł jak ręką odjął, przyćmiło go nieprzeparłe podekscytowanie perspektywą ponownego wcielenia się w rolę bandyty.

## Monk poprawia statystykę

Wcześniej Julie tylko raz była na komendzie głównej policji, za to w dniu, w którym wydział do walki z przestępstwami ulicznymi przeprowadzał obławę w Tenderloin. Budynek był pełen prostytutek, pijaków, narkomanów, członków ulicznych gangów i morderców. Woń, jaka się tam wtedy unosiła, była skrzyżowaniem zapachów męskiej szatni i pewnego baru, w którym niegdyś pracowałam. Od słów, które Julie słyszała, wędłyby uszy nawet Tony'emu Soprano.

Bardzo jej się podobało. Dla Julie była to atrakcja porównywalna do wizyty w Disneylandzie, tyle tylko, że w roli głównej nie występowała Myszka Miki czy Buzz Astral; prym wiedli transwestyta Dżordżetta i znany alfons Julio. Oczywiście bała się, ale w taki sam sposób, pełen dreszczy i zachwytu, w jaki bała się jazdy na roller-coasterze: bała się, ale miała poczucie bezpieczeństwa.

Nie było to oczywiście środowisko, do którego chciałabym wprowadzać własną córkę, ale tamtego dnia w szkole Julie nie było lekcji, ja musiałam pracować i tak się złożyło, że nie miałam z kim jej zostawić. Zresztą nie było w budynku nikogo, kogo nie mogłaby zobaczyć normalnie w mieście, w środku dnia na ulicach San Francisco, od Union

Square po Fisherman's Wharf, od Chinatown po park Golden Gate. Takie już jest to miasto.

Nie sposób tego ukryć przed oczami dziecka, a wydaje mi się, że zadaniem rodziców jest przygotować dzieci do niezależności i przetrwania w prawdziwym świecie; izolowanie ich od brzydszych aspektów życia niekoniecznie musi im przynieść korzyści. Przynajmniej dobre było to, że na komendzie wszystkie te ciemne charaktery były skute kajdankami, a wokół kręciło się mnóstwo policjantów gotowych nas bronić. Nie było niebezpieczeństwa. Wierciła mi potem dziurę w brzuchu trudnymi pytaniami na temat seksu, narkotyków i przestępczości, co w moim przekonaniu sprawiło, że całe to doświadczenie było jednak warte zachodu. Zmagaliśmy się tamtego dnia z wielkimi, niewygodnymi i bardzo ważnymi tematami.

Mimo wszystko nie skakałam z radości, gdy Monk zaproponował, by w sobotni wieczór wybrać się znowu na posterunek. Wołałam, by miał ku temu naprawdę ważny powód. Dzisiaj akurat nie miałam sił na jedną z tych wielkich i poważnych dyskusji z Julie, które są jak spacer po polu minowym.

Wbrew moim obawom, komenda nie okazała się domem wariatów. Nie spostrzegłam żadnego przestępcy, bezdomnego włóczęgi ani zabijaki spod ciemnej gwiazdy. Domyśliłam się, że w obliczu epidemii „błękitnej grypy” jest ważniejsze, aby policjanci raczej patrolowali ulice, niż siedzieli za biurkami i wypisywali raporty o zatrzymaniach.

Poczułam ulgę, a Julie była wyraźnie zawiedziona, że nie uda się jej znowu podejrzeć ciemnej strony życia.

Kiedy weszliśmy do wydziału zabójstw, natychmiast powitała nas Susan Curtis.

- Na wewnętrznym parkingu stoi pani jeep - powiedziała, wręczając mi kluczyki. - Policjant Krupp i drogówka byliby wdzięczni za zwrot radiowozu.

- Co z mandatem? - zapytałam.

- Nie ma już mandatu - odpowiedziała.

Podaliśmy Curtis kluczyki do radiowozu i przedstawiłam jej Julie.

- Mamo... - zaprotestowała Julie.

- O przepraszam - zreflektowałam się. - Być może ta dziewczynka wygląda jak moja córka Julie, ale w rzeczywistości jest to mała psychopatka, która zjada dzieci. Przywieźliśmy ją z kapitanem Monkiem na brutalne przesłuchanie.

- W takim razie powinna być zakuta w kajdanki - powiedziała Susan Curtis.

Wyciągnęła z kieszeni plastikową opaskę, skrupowała nią nadgarstki mojej córki i zamknęła na końcach zaciski.

Julie warknęła groźnie. Curtis odegrała komedię i z groźną miną położyła rękę na kaburze.

- Tylko bez sztuczek, bo cię położę jednym strzałem.

- Spróbuj, glino - odparła Julie. - Ugotuję rosół z twoich kości.

- Chodź ze mną, ty psychopatyczny zabójco ludożerco - powiedział Monk i poprowadził ją do pokoju detektywów, gdzie Frank Porter przypinał zdjęcia ofiar „Dusiciela Golden Gate” (na szczęście nie były to zdjęcia ciał z miejsc zbrodni) do tablicy pokrytej rozmaitymi informacjami na ich temat.

Monk podszedł do zdjęć i przyjrzał im się uważnie.

Sparrow siedziała przy komputerze, sprawdzała

swoją skrzynkę pocztową i zajadała chrupki ziemniaczane.

- Jestem zaskoczona, że jeszcze tu jesteście - powiedziałam.

- Ja nie - odparła Sparrow i rzuciła okiem w kierunku dziadka. - On stąd chyba nigdy nie wyjdzie. Pewnie się boi, że jeśli wyjdzie, to jutro go nie wpuszczą.

Potrafiłam to zrozumieć. Myślał, że na zawsze utracił odznakę policyjną, więc teraz, kiedy niespodziewanie ją odzyskał, nie miał zamiaru tracić jej ponownie. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że przywrócenie do służby jest tylko tymczasowe, i dopóki mógł, chciał się cieszyć każdą chwilą tego wydarzenia.

- Masz fajne kolczyki - powiedziała Julie, wpatrując się w uszy Sparrow. - Bolało, jak przekłuwali ci uszy?

- To był rozdzierający ból - wtrąciłam szybko. - Tygodniami wyla się w agonii.

- Przekłuwanie uszu nie bolało mnie tak bardzo jak przekłuwanie... - zaczęła Sparrow, ale błyskawicznie jej przerwałam.

- Julie wcale nie chce wiedzieć, co jeszcze ci przekłuwali.

- Właśnie, że chcę - zaproponowała Julie. - Może też chcę sobie coś przekłuć.

- Uwierz mi, że nie chcesz - zapewniłam ją.

- A gdzie jest to coś?

- Julie... - Podeszedł do nas Monk. - Mogę ci zadać kilka pytań?

Podprowadził Julie do tablicy i pokazał jej zdjęcia butów zdjętych z prawej nogi każdej z ofiar.

- Możesz mi coś o tych butach powiedzieć? - zapytał Monk.

- To jest nike, to adidas, a ten to puma - powiedziała Julie. - To buty do biegania, mają w podszewie komorę powietrzną.

- Coś więcej?

Julie wzruszyła ramionami.

- To starość.

- Wyglądają na nowe - zdziwił się Monk.

- Są nowe, ale stare. To modele, których się już nie produkuje - wyjaśniła Julie. - Ta, która biegła w tych butach, musiała być niezłym dziwadłem.

Monk się uśmiechnął.

- Masz zadatki na wielkiego detektywa.

- Naprawdę? - ucieszyła się Julie.

Monk przytaknął.

- Właśnie nam wyjaśniłaś, co łączyło trzy ofiary „Dusiciela Golden Gate”.

- Naprawdę? - powtórzyła Julie zbita z tropu.

- Co się dzieje z butami, które wyszły z mody i nie sprzedają się już ani w sklepie ani w outle-tach? - pytał dalej Monk.

- Sprzedają je za grosze z ciężarówek pod autostradą - odparła Julie.

- Takim sprzedawcom nie można płacić czekiem ani kartą kredytową - powiedziałam, kiedy raptem ołśniło mnie, do czego zmierza Monk. - Płaci się tylko gotówką, znam to z własnego doświadczenia.

- Dlatego na wyciągach kart kredytowych tych kobiet nie znaleźliśmy żadnego zakupu butów do biegania - mówił dalej Monk. - Wszystkie ofiary kupiły buty od jakiegoś pokątnego sprzedawcy za gotówkę.

- Nie tylko z ciężarówek sprzedaje się takie



buty - powiedziałam. - Są rozmaite wyprzedaże związane z likwidacją sklepu, brakiem miejsca w magazynie lub końcówkami danego towaru. Takie stoiska stoją przy pustych witrynach przez parę tygodni, a potem znikają. Nigdy nie pozostają długo w jednym miejscu.

- Musimy zlokalizować każdego domokrażnego sprzedawcę butów w San Francisco i pokazać mu zdjęcia ofiar - powiedział Porter. - Może któryś pamięta, jak sprzedawał tym kobietom buty.

- Może któryś ze sprzedawców jest „Dusiciellem”? - rzekł Monk.

- Przekażę informację do wszystkich radiowozów i powiem, żeby mieli oczy i uszy otwarte i sprawdzili każdego, kto sprzedaje na ulicy buty - zaoferowała się Susan Curtis.

- Będę wdzięczny - powiedział Monk. - Dziękuję.

- Jeśli ta informacja doprowadzi do ujęcia „Dusiciela Golden Gate” - wtrąciłam - to uważam, że Julie powinna dostać część obiecanej nagrody.

- Będziesz musiała pójść z tym do burmistrza - stwierdził Monk.

- Bez obaw - zapewniłam go. - Na pewno pójde.

- Jaką nagrodę? - zainteresowała się Julie.

- Może wyjaśnię ci to w taki sposób — powiedziałam. - Jeśli dostaniesz tę nagrodę, nigdy więcej nie kupię ci już butów na wyprzedaży. Obiecuję.

Potem zaprowadziłam Julie do jednego z pokoiów przesłuchań i przez jakiś czas wypytywałam ją o popełnione przez nią zbrodnie. Kiedy skończyłam przesłuchiwać podejrzaną, policjantka Susan Curtis zaprowadziła ją do jednej z pustych cel w piwnicy i zamknęła ją tam na klucz na dziesięć minut, po

czym ją wypuściła, przecięła plastikowe kajdanki i puściła wolno. Julie była wniebowzięta.

Również Monk był szczęśliwy. Wreszcie miał trop w sprawie „Dusiciela Golden Gate”. Ja natomiast zaczęłam już w myślach wydawać pieniądze z nagrody obiecanej przez burmistrza, co wywoływało na mojej twarzy mimowolny, radosny uśmiech.

Wychodziliśmy już z budynku, kiedy dogoniła nas zziajana Curtis.

- Kapitanie, napad na minimarket na narożni ku Geary i Van Ness - zameldowała. - Napastnicy skradli kilkaset dolarów i zastrzelili sklepikarza.

Monk spojrział na mnie ciężkim wzrokiem. Chciał już jechać na miejsce przestępstwa, ale nie było mowy, żebym zgodziła się tam zabrać Julie.

- Może zostaniesz tutaj trochę z panią policjantką? - zapytałam.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała Julie.

- Chodź, pooglądamy kartoteki przestępców - zaproponowała Susan Curtis. - Tam zawsze znajdzie się coś zabawnego.

Przynajmniej mogłam być pewna, że pod moją nieobecność Julie będzie w dobrych rękach.

Minimarket Speed-E-Mart znajdował się na parterze czteropiętrowego, odrapanego, starego biurowca, pokrytego brudem minionych dziesięcioleci. Z jednej strony sąsiadował z sex-shopem, a z drugiej z barem, gdzie sprzedawano arabskie falafele. Malowane ręcznie plakaty na sklepowej witrynie zachęcały do kupna taniego piwa, papierosów i loteryjnych kuponów.

Nieprzyjemny blask lamp jarzeniowych wylewał się z wnętrza na ulicę, oblewając żółtawym,

przycmionym światłem radiowozy, chodnik i asfalt na jezdni.

Przed sklepem oparta o ścianę stała jakaś kobieta i nerwowo paliła papierosa. Mogła mieć niewiele ponad trzydzieści lat. Miała na sobie wytarte dżin-sy, białą koszulkę z długimi rękawami i narzuconą na nią czerwoną kamizelkę sprzedawcy Speed--E-Mart. Ciemne sińce pod jej oczami wydawały się równie mocno wtopione w twarz jak ów wieloletni brud w ścianę budynku.

Obok niej stał umundurowany policjant w wieku około pięćdziesięciu lat, z wielkim brzuchem wylewającym się ze spodni. W rękę trzymał otwarty notes, w którym pisał coś ogryzkiem ołówka. Zauważył, że idziemy, i zaczął na nas przed wejściem do sklepu.

- Sierżant Riglin - przedstawił się. - Kapitan Monk?

- Tak - odpowiedział Monk. - To moja asystentka Natalie Teeger. Co tu się stało, sierzancie?

- Wpadło dwóch Murzynów i dokonało rabunku. Kasjer, właściciel sklepu, opróżnił dla nich całą kasę, ale i tak go zastrzelili. Gnoje. Ofiara to Ramin Touzie, wiek czterdzieści siedem lat.

Monk skinął głową w kierunku kobiety.

- A to kto?

- Lorna Karsh, trzydzieści cztery lata, sprzedawczyni z nocnej zmiany. - Riglin czytał z notesu. - Kiedy doszło do napadu, przebywała na zapleczu, usłyszała strzały, wyjrzała i zobaczyła dwóch wychodzących Murzynów.

- Na prawym mankiecie jej koszuli jest niebieska plama - powiedział Monk, poprawiając własne mankiety.

- Tak... I co? - zapytał Riglin.  
- Na mankiecie lewego rękawa nie ma takiej plamy - dodał Monk.

- Czy to istotne? - dociekał Riglin.

Bardzo istotne, jeśli mam dziś wieczorem wrócić do domu. Monk nigdy się nie skupi na dochodzeniu, jeśli mankiety nie będą do siebie pasowały.

- Mam poprosić, żeby zmieniła koszulę lub poplamiała drugi mankiety? - zapytałam Monka.

- Państwo chyba żartujecie - bąknął Riglin.

- Chciałabym... - westchnęłam.

- To piękny błękit - powiedział Monk.

- Gdzie? - zapytałam.

- Ta plama - odparł Monk. - Głęboki, wibrujący, nasycony.

- Uhm, hm... - chrząknął Riglin. - Czy ma pan jeszcze dla mnie jakieś zadania, kapitanie?

- Kto wezwał policję? - zapytał Monk.

- Ona - odpowiedział Riglin, wskazując Lor-nę. - Facet z sex-shopu też wzywał.

- Mamy zapis napadu z kamery przemysłowej? - zapytał Monk.

Riglin potrząsnął głową.

- Sprzedawczyni mówi, że kilka dni temu zepsuł się magnetowid. Właściciel miał jutro kupić nowy.

- No dobrze - powiedział Monk. - Chciałbym zajrzeć do środka. Czy coś ruszано?

- Nic, panie kapitanie - zapewnił Riglin.

Weszliśmy z Monkiem do sklepu. Lada z kasą znajdowała się po lewej stronie od drzwi wejściowych, na wprost ciasno ustawionych półek z artykułami spożywczymi oraz lodówek i zamrażarek stojących na przeciwległej ścianie sklepu.

Zajrzeliśmy za ladę. Ramin Touzie leżał wci-

śnięty w wąski pas między ladą i ścianą, z raną postrzałową w samym środku piersi, z głową opartą o bok plastikowego kubła na śmieci. Miał na sobie pasiastą koszulkę do gry w rugby, a na niej kamizelkę minimarketu Speed-E-Mart.

Nagle Monk przekręcił dziwnie głowę. Coś przykuło jego uwagę. Obszedł ladę, wyjął z kieszeni długopis i delikatnie wyjął nim z kosza na śmieci otwarte opakowanie woreczków foliowych marki Ziploc. Takie woreczki kupował dla siebie w kartonach.

Ostrożnie położył opakowanie z woreczkami na ladzie.

- To zbrodnia - powiedział.  
- Mówi pan o opakowaniu woreczków?  
- O czym innym mógłbym mówić?!  
- No, nie wiem... - odpowiedziałam. - Myślałam, że może o martwym mężczyźnie za ladą.

- Dlaczego ktoś otwiera nowe opakowanie woreczków, bierze jeden czy dwa, a resztę wyrzuca do śmieci? - mówił Monk. - To człowiek bez sumienia.

- Może właśnie dlatego zjawilo się tych dwóch obwiesi, obrabowało go i zastrzeliło - powiedziałam. - Żeby go ukarać za marnotrawienie woreczków marki Ziploc?

- Boże, na jakim my świecie żyjemy? - jęknął Monk. Jeszcze raz zajrzał do kosza na śmieci i zmarszczył groźnie brwi. Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam w koszu otwarte pudełko folii aluminiowej, w którym znajdowała się nowa, niemal nienaruszona rolka. - Co za strata... - powiedział cicho Monk.

- Domyślam się, że ma pan na myśli bezsensowne odebranie ludzkiego życia, a nie wyrzucenie do śmieci kilku metrów folii aluminiowej.

Monk przeszedł na tył sklepu i zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi na zaplecze. Na drzwiach wisiała karteczka z wypisanym odręcznie komunikatem: „Toaleta tylko dla pracowników sklepu”.

Wpatrywał się w ten napis przez dłuższą chwilę, potem odwrócił się do lady i pokiwał głową.

- Co takiego? - zapytałam.
- Wszystko rozumiem - odparł Monk.
- Co pan rozumie?
- Co tu się stało - odpowiedział Monk i wyszedł ze sklepu.

Nie wiedziałam, że w tym napadzie coś jeszcze pozostawało tajemnicą, oczywiście poza nazwiskami samych bandytów. Czy możliwe, by jakimś cudem Monk zdołał je odgadnąć?

Monk poszedł do sierżanta Riglina i Lorny Karsch, która rzuciła właśnie niedopalek na ziemię i wkręciła go obcasem w chodnik. Monk zamrugał nerwowo, ale nic nie powiedział.

- Pani Karsh? Jestem kapitan Adrian Monk. Może mi pani powiedzieć, co pani robiła, zanim usłyszała strzały?

- Już mówiłam panu policjantowi - wyjaśniła, wskazując ręką Riglina - byłam na zapleczu. Rozpakowywałam karton z chrupkami Doritos o smaku serowym.

- Co robiła pani przedtem? - pytał dalej Monk, wciągając powietrze przez nos.

- Rozpakowywałam styropianowe kubeczki i wkładałam je do pojemnika przy automacie z napojami - powiedziała.

- Rozumiem. - Monk nachylił się i powąchał Lornę Karsch. Gdyby nie ściana za plecami, kobieta

odruchowo cofnęłyby się o krok. - Co pani zrobiła po usłyszeniu strzałów?

- Otworzyłam drzwi i zobaczyłam, jak ze sklepu wybiega tych dwóch potężnych Murzynów. Obaj mieli na sobie luźne dresy z kapturami, takie w stylu raperów. Jeden z nich trzymał w ręku pistolet.

- Co pani zrobiła potem?

- Podeszłam do lady, żeby sprawdzić, co się stało z panem Touzie, i zobaczyłam go we krwi - mówiła. - Zadzwoiłam po pomoc, usiadłam przy nim i do przyjazdu policji trzymałam go za rękę.

- Nigdzie pani nie odchodziła?

- Chciałam być przy nim - powiedziała Karsch. - Ten człowiek konał na moich rękach. Nie mogłam go zostawić samego.

- Bardzo poruszające - rzekł Monk. - Czy pani wie, że pachnie jak muszla klozetowa?

- Co pan powiedział?! - zachnęła się Lorna Karsch.

- Co pan powiedział?! - powtórzył jak echo Rigin.

- Pachnie pani jak muszla klozetowa - stwierdził niewzruszony Monk. - Oczywiście czyściutka muszla, pełna wody tak błękitnej jak płama na zmoczonej brzegu tego mankietu.

Kobieta zerknęła na rękaw.

- To moja ulubiona kostka toaletowa do zbroni - mówił dalej Monk. - 2000 Flushes, dwa tysiące spłukań, zapach wiosennej łąki. Wszędzie rozpoznalbym ten cudowny zapach, ten przepiękny ton błękitu, choć w pani przypadku, sądząc po odcienu, zostały zaledwie pięćdziesiąt trzy spłukania do wymiany kostki.

Sierżant Riglin postąpił krok naprzód i wycelował palec prosto w twarz Monka.

- Może ma pan wyższy stopień, ale jeśli jeszcze raz nazwie pan tę panią muszlą klozetową, skopię panu tyłek. Tej pani przed chwilą umarł na rękach kolega.

- Umarł, bo go zastrzeliła - stwierdził Monk.

- Pan chyba oszalał! — krzyknęła Lorna.

- Mówiła pani, że kiedy doszło do napadu, znajdowała się pani na zapleczu i rozpakowywała towar, a potem została pani przy konającym szefie, dopóki nie nadjechała policja. Kiedy więc zdążyła pani sobie ubrudzić rękaw?

- Wcześniej - odparła. - Kiedy robiłam porządki na zapleczu.

- Czyli kiedy? - naciskał Monk.

- Zanim zabrałam się do rozpakowywania chrupek.

- Przed chwilą pani powiedziała, że przed chrupkami rozpakowywała pani styropianowe kubeczki - zauważył Monk.

- Bo tak było - stwierdziła Lorna. - A przed kubeczkami sprzątałam w toalecie. Co to za różnica?

- Taka jak między winą i niewinnością - orzekł Monk. - Oto, co tu się stało. Nie było żadnych bandytów. Zastrzeliła pani szefa, opróżniła kasę i zadzwoniła na dziewięćset jedenaście. Szybko zawinęła pani pistolet i pieniądze w kawałek aluminiowej folii, włożyła pani zawiniątko do woreczka ziploc i szczelnie go zamknęła, a następnie schowała to pani w zbiorniku muszli klozetowej, plamiąc przy okazji mankiet rękawa. Gdyby nie zostawiła pani w koszu na śmieci nowiutkiego opakowania worecz-



ków i pełnej rolki folii aluminiowej, może wszystko uszłoby pani płazem.

- Chyba pan nie wierzy w tę absurdalną historyjkę - Lorna zwróciła się do sierżanta Riglina.

- To łatwo sprawdzić - odparł Riglin. - I tak od pół godziny wybieram się do toalety.

Sierżant ruszył w kierunku sklepu.

- Żądam adwokata - powiedziała Lorna Karsch. - Więcej nie powiem już ani słowa.

Sierżant Riglin odwrócił się, zakął Lornę w kajdanki i wyrecytował jej prawa.

- Bardzo pana przepraszam za swoje słowa, kapitanie - powiedział sierżant Riglin. - Były bardzo niestosowne.

- Nie szkodzi - odpowiedział Monk. - Czasem tak działam na ludzi.

Sierżant odprowadził Lornę do radiowozu.

- To było niesamowite, panie Monk - powiedziałam. - Nie musi pan się martwić o swoją magię. Na pewno wciąż pan ją ma.

- Boże, mam nadzieję - westchnął Monk. - Wejdź jeszcze do sklepu i przynieś lizol, rolkę ręcznika papierowego i pudełko plastikowych worków na śmieci. Ja tu zostanę i zabezpieczę ślady.

- Jakie ślady?

Monk wskazał rozgnieciony przez Lornę Karsch niedopałek.

- Może zostawić trwałą plamę.

## Monk i tajna schadzka

Od czasu kiedy Monk wykrył, że opiekunka Julie, nasza sąsiadka, sympatyczna starsza pani, zamordowała męża i zakopała go w ogródku, znalezienie kogoś do opieki nad córką stało się dla mnie problemem.

Zajęło mi to mnóstwo czasu, ale w końcu znalazłam Chelsea, dziewiętnastoletnią studentkę pierwszego roku, która rano miała zajęcia, a popołudniami mogła się zajmować Julie. Nawet odrabiały lekcje przy jednym stole, co było dla mojej córki wielką motywacją do nauki. Zwykle udawało mi się ściągnąć Chelsea również w weekendy, jeśli niespodziewanie wypadało mi coś bardzo ważnego.

W niedzielę namówiłam Chelsea, żeby zabrała Julie z Katie na wyprawę rowerową do parku Golden Gate, co nie tylko pozwoliło mi spokojnie pracować z Monkiem, ale jeszcze spłacić w ten sposób dług „wolnego dnia”, jaki zaciągnęłam dzień wcześniej u mamy Katie.

O dziesiątej odebrałam Monka i zawiozłam go na komendę, gdzie czekali już na nas: Cindy Chow ze swoim psychiatrycznym pielęgniarzem, Frank Porter z wnuczką i Jack Wyatt z terapeutą od powstrzymywania ataków złości.

Chow była pochłonięta rozkładaniem na czę-

ści telefonu (dlaczego, tego nie wiem), podczas gdy Jasper Perry zapisywał coś skrzątnie na palmo-pie. Nie miała już na głowie radia ani folii aluminiowej. Doszłam do wniosku, że w komendzie głównej policji musi być coś, co, w jej przekonaniu, nie pozwala kosmitom, tajnym agentom rządowym czy nawet dziennikarce Oprah Winfrey czytać jej myśli.

Porter ubrany był w te same rzeczy co wczoraj. Podobnie Sparrow. Albo więc spędzili noc na rozkładanych łózkach na zapleczu komendy, albo oszczędzali na pralni.

Wyatt siedział rozparty na krześle z nogami na biurku, próbując ignorować obecność swojego terapeuty, którego rozpoznałam po śladach wczorajszego wypadku. Ręka terapeuty wisiała na temblaku, a jego oczy były lekko zamglone, prawdopodobnie wskutek zażywania środków przeciwbólowych.

Przyglądając się zebranym detektywom, uświadomiłam sobie nagle, że każdy z nich ma osobistego asystenta (pomocnika, doradcę czy stróża, w zależności od tego, z jakiej perspektywy spojrzeć). Pomyślałam, że my, wszystkie Piętaszki, powinniśmy usiąść razem i porozmawiać o sobie i naszym zajęciu. Mielibyśmy do opowiedzenia prawdziwe historie o naszych długich godzinach pracy, braku pakietu socjalnego i nędznych pensjach. Moglibyśmy nawet założyć związek, który wyrażałby nasze interesy, „Międzynarodowe Stowarzyszenie Piętasz-ków Detektywów”.

Ciekawe, co poczęliby ci wszyscy genialni, ekscentryczni detektywi, gdyby ich zbuntowani współpracownicy zaczęli nagle chorować na „błkitną grypę”.

Monk stanął przed zespołem swoich detektywów, policjantką Susan Curtis i nami - Piętaszkami, źle opłacanymi, niedocenianymi i, w jednym przypadku, postrzelonymi w ramię. Chrząknął głośno i przestąpił z nogi na nogę.

- Dzień dobry - zaczął. - Ponieważ nastąpiło uspokojenie w serii zabójstw, uważam, że powinniśmy wykorzystać ten czas na dokładne wysprzątanie sali, wyprostowanie obrazków na ścianach, ustawienie mebli w równej linii, uporządkowanie biurek, ułożenie spinaczy według wielkości i wyrównanie ołówków.

- Wyrównanie ołówków? - zapytał Wyatt.

- Chodzi o to, żeby po naostrzeniu wszystkie ołówki miały tę samą długość - pośpieszyłam z wyjaśnieniem.

Monk posłał mi pełen aprobaty uśmiech, najwyraźniej uradowany, że doceniam i podzielam jego widzenie świata.

- Och! - Wyatt wziął do ręki swoje ołówki, przełamał je na pół i wrzucił do kosza na śmieci - Gotowe!

- Niech pan próbuje powściągać złość - powiedział do niego cicho terapeuta.

- Właśnie to robię, Arnie - stwierdził Wyatt. - Gdybym był zły, to strzelałbym do ołówków.

Arnie przełknął głośno ślinę. Zaczęłam się zastanawiać, czy Wyatt rzeczywiście postrzelił Arniego przez przypadek. Jestem pewna, że Arnie też wiele o tym myślał.

- Jaki dziś mamy dzień? - zapytał Porter.

- Niedziela - odpowiedziała Sparrow.

- Dobrze wiedzieć - stwierdził Porter. - Który rok?

- Dwa tysiące siódmy - poinformowała go Sparrow.

- Nie, pytam poważnie - zniecierpliwził się Porter. - Który rok?

- Dwa tysiące siódmy - powtórzyła Sparrow.

- To niemożliwe - powiedział Porter. - W tym roku już bym nie żył, a Holiday Inn stawiałby hotele na Księżycu.

- Przeczesał pan salę w poszukiwaniu podsłuchu? - zapytała Chow.

- Nie - przyznał Monk.

- Więc dobrze, że to przyniosłam - powiedziała, wyjmując z torebki i kładąc na stole małe urządzenie, które wyglądało jak trikorder doktora Spocka ze *Star Treka*. - Tu jest czysto. Ale nigdy nie wiadomo, kiedy nad głowami przeleci nam „truteń”.

- Co takiego?

- Automatyczny bezzałogowy samolot rozpoznawczy, za pomocą którego rząd wychwytuje w eterze wszelkiego rodzaju transmisje, choćby takie jak fale wysyłane przez nasze mózgi - wyjaśniała spokojnie Chow. - Samolot jest wyposażony w najwyższej klasy oprogramowanie, które wyszukuje konkretne słowa lub myśli, zatrzymuje się na emitującym je źródle i zapisuje wszystko na potrzeby przyszłego przesłuchania.

Jasper niemal wywicznał sobie kciuki, próbując zapisać to wszystko na palmtopie.

- Czy jest jakiś postęp w śledztwach? - zapytał Monk detektywów.

- John Yamada, nasz wczorajszy trup drogowy, przeprowadzał akurat paskudny rozwód - informował Wyatt. - Zwaśniona z nim żona, która wciąż była beneficjentką jego wartej milion dolarów polisy

na życie, dwa dni temu zgłosiła policji kradzież samochodu. Jestem pewien, że kiedy zlokalizujemy auto, w bieżnikach opon znajdziemy mężusia.

- Chciałbym z nią porozmawiać - powiedział Monk.

- Ja się dowiedziałam, że Allegra Doucet miała pewnego bardzo bogatego klienta, nazywał się Max Collins, który inwestował na podstawie jej astrologicznych przepowiedni - mówiła Chow. - Jednak facet już nie jest bogaty. Przez Doucet stracił miliony.

- To wygląda na poważny motyw zabójstwa - stwierdził Monk. - Pójdziemy tym tropem.

- Sprawdzam jeszcze pozostałych klientów i badam trochę jej przeszłość - dodała Chow. - Nie dziwiłabym się, gdyby Doucet była zamieszana w projekt „Subzero”.

- Co to jest? - zapytał zaciekawiony Monk.

- To tajny, rządowy program kontrolowania umysłów - wtrącił Jasper. - Badają psychikę człowieka od urodzenia i poddają ją różnym inwigilacyjnym działaniom, poznając myśli.

- Skoro ten program jest taki tajny - odezwałam się - skąd pan to wszystko wie?

- On jest jego częścią - powiedziała Chow. - Właśnie wyławia z pani mózgu myśli.

- Mam wrażenie, że też jestem ofiarą tego programu - odezwał się Frank Porter. - Mam małe zaniki pamięci, jakby ktoś wyczyścił pewne fragmenty mojego umysłu.

- Prawda - przytaknęła Chow. - Powszechnie wiadomo, że choroba Alzheimer'a jest skutkiem ubocznym kontrolowania umysłów. Najprawdopodobniej bełtali ci w myślach przez cały czas, kiedy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym

roku prowadziłeś śledztwo w sprawie zamordowania członka rady hrabstwa.

- Nie pamiętam tego śledztwa - stropił się Porter.

- Wcale mnie to nie dziwi - westchnęła Chow.

- Ale pamiętam, że Dianę Truby, ta dziewczyna, którą potrącił autobus, miała w restauracji pewnego stałego klienta, który za nią bez przerwy chodził - powiedział Porter. - Kiedy wysłał jej bukiet kwiatów i ampulkę z własną krwią, sąd wydał mu zakaz zbliżania się do Truby. Tymczasem wczoraj rano znowu się pokazał w jej restauracji i zaczął wyrzaskiwać przy świadkach, że skoro on nie może jej mieć, to nikt jej nie będzie miał.

- To może być on - stwierdził Monk. - Muszę z nim porozmawiać.

- Mamy listę dwudziestu pięciu obnośnych sprzedawców butów do biegania - informowała Curtis. - Mamy zacząć pokazywać im zdjęcia ofiar „Dusiciela”?

- Nie - powiedział Monk. - Chciałbym przy tym być.

- Mogłabym z panem zamienić dwa słowa, panie Monk? - zapytałam. - Na osobności.

Monk kiwnął głową i przeszliśmy do gabinetu Stottlemeyera. Zamknęłam za nami drzwi.

- Powiedział pan przed chwilą, że osobiście chce

pan przesłuchać Maksa Collinsa, żonę Johna Yamady i prześladowcę Dianę Truby.

Monk przytaknął.

- Są mocno podejrzani.

- I chce pan osobiście jeździć po mieście, żeby pokazywać sprzedawcom butów zdjęcia ofiar „Dusiciela” - mówiłam dalej-

- Jeden z tych sprzedawców może być „Dusiciel” - podkreślił Monk.

Skinęłam głową w kierunku sali, w której siedzieli detektywi.

- Co oni będą robić, kiedy pan będzie prowadził wszystkie dochodzenia?

- Będą sprzątać komendę, uporządkują biurka, poukładają spinacze - wyliczał Monk. - Będą robić wszystko, żeby Departament Policji San Francisco nie popadł w totalną anarchię.

- A co z nowymi zabójstwami, które będą zgłaszane? — zapytałam. — Też będzie się pan nimi zajmował osobiście?

- Oczywiście - zapewnił Monk.

- I jednocześnie będzie pan wciąż prowadził śledztwa w sprawie morderstw „Dusiciela” oraz Allegry Doucet, Yamady i Truby?

- Jak inaczej mógłbym je rozwikłać?

- Kto powiedział, że osobiście musi się pan zajmować każdym popełnionym w San Francisco zabójstwem?

- Przecież po to jestem - zdziwił się Monk. - Prawda?

- Panie Monk, pan nie jest w stanie ogarnąć wszystkich spraw. Jest pan jeden. Nie starczyłoby dla pana godzin w ciągu doby.

- W takim razie będę musiał pracować dużo szybciej.

- Pamięta pan, jak się pan wczoraj czuł? - zapytałam. - Będzie jeszcze gorzej. Całkowicie pan opadnie z sił i żadnej z tych spraw nie doprowadzi do końca.

- Ale ja nie wiem, w jaki inny sposób mógłbym to zrobić - tłumaczył się Monk.



- Lepiej, żeby się pan szybko dowiedział.

Monk zmarszczył brwi, przeszedł się nerwowo po gabinecie i znowu zmarszczył brwi, i znowu nerwowo się przeszedł. W końcu stanął i spojrzał na mnie.

- Wiem - powiedział. - Potrzebny nam kon sultant.

W telewizyjnych kryminałach bohaterowie umawiają się na potajemne spotkania najczęściej w jakichś pustych halach magazynowych, opustoszałych parkingach podziemnych albo nieczynnych od dawna lunaparkach.

Nie było w San Francisco wielu pustych hal magazynowych, w każdym razie mi o takich nie wiadomo. Większość parkingów w mieście pęka w szwach od samochodów i ludzi, a zresztą gdyby nawet się znalazł jakiś pusty parking, to przecież żona Monka zginęła właśnie na parkingu, więc ta opcja w ogóle nie wchodziła w grę. Z kolei wobec tego, że nieruchomości wykupywano na pniu, czymś, co od biedy przypominałoby jeszcze nieczynny, opuszczony lunapark, mogły być jedynie ruiny starego kąpieliska Sutro Baths.

W końcu zajechaliśmy na zwirowy wietrzny parking położony nad zachwaszczonym grzędawiskiem i obmywanymi przez ocean fundamentami, na których niegdyś spoczywało sześćset ton żelaznych dźwi garów i ponad dziewięć tysięcy metrów kwadratowych tęczyowych witraży, sklepiających się nad sześcioma basenami wypełnionymi słoną wodą, jednym z wodą słodką, a ponadto jeszcze muzeum i galeriami sztuki.

Stottlemeyer czekał na nas, siedząc na masce

samochodu, z cygarem między zębami. Przyglądał się, jak wiekowy strażnik parku pokazywał grubemu turyście w średnim wieku wygnieciony album ze zdjęciami kąpieliska zbudowanego w 1896 roku oraz hotelu Cliff House, pięciopiętrowego drewnianego budynku wzniesionego obok w tym samym roku w stylu zamków francuskich, który niesamowicie wisiał na skale nad kipiącym oceanem.

Dziesięć lat później Cliff House doszczętnie spłonął, a niebawem został odbudowany na mniejszą i mniej ambitną skalę (przez następne dziesięciolecia był wielokrotnie modernizowany). Kąpielisko przetrwało aż do 1967 roku, choć funkcjonowało wówczas tylko jako lodowisko - popadające w zapomnienie, coraz bardziej zaniedbywane i bezlitośnie niszczone przez morskie pływy i czas. W końcu budowlę strawił pożar podczas rozbiórki i przygotowani do budowy ośrodka turystycznego, który nigdy nie powstał.

Niedługa historia, prawda?

Niemniej jednak kierownictwo parku traktuje to miejsce tak, jakby zatopione przez fale fundamenty i sterczące tu i ówdzie bloki betonu były ruinami świątyni Majów, choć tak naprawdę nie miały większej historycznej wartości niż sieć starych moteli Howard Johnson.

Panował przenikliwy chłód, było szaro, a w powietrzu unosiła się gęsta morską mgła. Na ostrych skałkach przy brzegu ryczały śpiewnie foki, a nad naszymi głowami gardłowały mewy.

- Co my tu robimy, kapitanie? - zapytał Monk Stottlemeyera.

- Ty mi to powiedz, Monk - odparł Stottlemeyer. - To przecież ty prosiłeś o schadzkę.

- Pytam, dlaczego musieliśmy się spotkać aż tutaj - powiedział Monk. - Na pewno jest jakieś miejsce bliżej centrum, z którego nie widać skał bielących się ptasimi odchodami.

- Dlatego, że nie chcę, aby mnie ktoś z tobą widział - odpowiedział Stottlemeyer. - Jeśli choć jeden glina zobaczy nas razem, będę skończony w policji. Nikt mi nigdy nie zaufa.

- Przecież wszyscy wiedzą, że jesteśmy przyjaciółmi — powiedział Monk.

- Nie powinniśmy nimi być - stwierdził Stottlemeyer. - Już nie. Przyjaciel nie zdradza przyjaciela.

- Wcale cię nie zdradziłem.

- Siedzisz przy moim biurku - powiedział Stottlemeyer.

- Siedzę w pokoju przesłuchań - odpowiedział Monk.

- Do diabła, nie ma znaczenia, gdzie dokładnie siedzisz, Monk. Jesteś szefem wydziału zabójstw.

- Tylko pełniącym obowiązki - podkreślił Monk.

- Dwoma najważniejszymi rzeczami w moim życiu były żona i praca. Teraz nie mam ani tego, ani tego. Chyba wiesz, jak się człowiek wtedy czuje.

Monk zamrugał nerwowo. Równie dobrze Stottlemeyer mógł go po prostu spoliczkować.

- Przepraszam - powiedział Monk. - To był zły pomysł.

Opuścił głowę, zwiesił ramiona i ciężkim krokiem ruszył w stronę samochodu. Serce mi się kroiło z żalu nad nimi. Spojrzałam na twarz Stottlemeyera. Nie dostrzegłam w niej gniewu. Widziałam tylko ból.

- Czekaj - powiedział Stottlemeyer, a Monk się

odwrócił. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że może bardziej niż kiedykolwiek wiem, co czujesz i dlaczego musiałeś przyjąć odznakę, kiedy podsunął ci ją Smitrovich.

- Wiesz? — zapytał Monk.

- Nie twierdzę, że postąpiłeś słusznie, że podoba mi się, jak wykorzystujesz sytuację policjantów. Mówię, że rozumiem, co cię do tego skłoniło.

- Więc pomożesz mi?

- Pytasz, czy zrobię coś wbrew własnej korzyści i wbrew interesom moich kolegów z policji?

- Nie. Pytam, czy pomożesz mi złapać seryjnego mordercę, zanim znowu odbierze komuś życie, i czy pomożesz nie dopuścić, by trzem zabójcom uszły na sucho ich zbrodnie.

- To trochę bardziej skomplikowana kwestia, niż ci się wydaje.

- Nie dla mnie - odpowiedział Monk.

- I to jest właśnie twój problem, Monk. - Stottlemeyer skrzywił się i zgasił cygaro na masce samochodu. - No dobra, mów.

Monk opowiedział mu o swoich kłopotach.

Stottlemeyer potarł nieogolony podbródek, wziął głęboki wdech i wolno zaczął wypuszczać z płuc powietrze.

- Powiem ci coś o Randym Disherze...

- Nie sądzę, by Disher mógł pomóc - przerwał mu Monk.

- Pozwól mi skończyć - powiedział Stottlemeyer. - Zapewne uważasz, że Randy to obowiązkowy, ciężko pracujący facet, ale nie cenisz go jako detektywa.

- Nigdy tego nie powiedziałem - wszedł mu w słowo Monk.

Ale na pewno tak uważał. Nawet ja tak myślałam. Nie zrozumcie mnie źle; bardzo lubię Randy'ego Dishera. To przyjacielska dusza, ale czasem się zastanawiam, jakim cudem doszedł do stopnia porucznika.

- Randy jest towarzyski. Sympatyczny, łagodny i kulturalny. Ludzie otwierają się przed nim w sposób naturalny, nawet tacy, którzy powinni się mieć na baczności - tłumaczył Stottlemeyer. - Mówią mu o rzeczach, których nie powiedzieliby nikomu innemu, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że mówią. To samorodny talent.

- Czy Disher rozwiązał kiedyś jakąś sprawę? - zapytałam.

Stottlemeyer obrzucił mnie srogim spojrzeniem.

- Uważasz, że w przeciwnym razie trzymałbym go u siebie i byłby moją prawą ręką? Ma znakomite wskaźniki zamkniętych śledztw i sądowych skazań.

- Nie wiedziałam - powiedziałam.

- Skąd miałabyś wiedzieć? Nie pracujesz w policji, a sprawy, którymi się zajmował, nie należały do niezwykłych, przyciągających uwagę mediów czy szczególnie barwnych. Ale, na Boga, Disher te sprawy zamyka.

- Co praca porucznika może mieć wspólnego z moimi problemami? - zapytał Monk.

- Frank Porter to najbardziej wytrwały śledczy, jakiego znam. Jeśli są gdzieś jakieś fakty, Porter z całą pewnością do niech dotrze. Cindy Chow umie wykryć spisek lepiej niż ktokolwiek inny, ponieważ węszy go we wszystkim. Doskonale potrafi powiązać ludzi, miejsca i wydarzenia, na które nikt nie zwróciłby uwagi. „Szalony” Jack Wyatt to moc natury;

nieustraszone, nieustraszone i niepowstrzymany. Jeśli złapie trop, nie wypuści go z rąk. Natomiast ty, Monk, jesteś geniuszem dedukcji, choć to tylko przypuszczenie, bo nigdy nie wiem, jak ty to robisz.

- Dziękuję za komplement - powiedział Monk. - Ale wciąż chyba nie wiem, o co ci chodzi.

- Jak na geniusza zadziwiająco często potrafisz być kompletnym durniem.

- Ach, o to ci chodzi... - powiedział Monk.

- Nigdy nie prowadzę wszystkich spraw osobiście. Deleguję do nich ludzi. Mam na wszystko oko, doradzam, ale generalnie staram się dopasować charakter sprawy do indywidualnych zdolności detektywa - wyjaśniał Stottlemeyer. - Masz pod sobą zespół uzdolnionych detektywów. Korzystaj z nich. Dla siebie zostaw to, co umiesz najlepiej, a resztę niech robią inni.

- A jeśli coś przeoczą? - zaniepokoił się Monk.

- To przeoczą. Może później to zauważysz, może nie. Musisz nauczyć się z tym żyć.

- Nie wiem, czy się tego nauczę - odpowiedział Monk.

- W takim razie nie możesz być kapitanem.

- Tak myślisz? - zapytał Monk. - Nie nadaję się?

Stottlemeyer spojrział daleko w ocean.

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

- Nie potrafisz czy nie chcesz?

Zerknęłam na Monka. Było już wystarczająco źle, że postawił Stottlemeyera przed wyborem między przyjaźnią do niego a lojalnością wobec kolegów z policji. Miałam wrażenie, że Stottlemeyer dokonał wyboru i niezbyt sobie lubił za to, co wybrał. Teraz, naciskając na przyjaciela, Monk tylko pogarszał sytuację.

- Monk, prawda jest taka, że nie obchodzi mnie, czy się nadajesz czy nie - powiedział Stottlemeyer. - Najlepsza rzecz, jaka mogłaby się przytrafić mnie i każdemu gliniarzowi w San Francisco, to twoja sromotna klęska. Więc sam zgaduj, po czyjej stronie się opowiadam.

Oczywiście nie musiałam tego zgadywać i Monk, jeśli miał łeb na karku, też zapewne nie musiał. Ruszyłam w kierunku samochodu, mając nadzieję, że Monk zrozumie aluzję i będzie trzymał język za zębami.

- Dzięki za pomoc - rzekł Monk.

- Więcej o nią nie prosz, bo nie dostaniesz - oświadczył Stottlemeyer. - Dopóki nie minie epidemia „grypy”, musisz polegać tylko na sobie.

- Więc mam nadzieję, że niebawem wszyscy wyzdrowieją — powiedział Monk i wsiadł do mojego samochodu.

W drodze powrotnej do centrum miasta Monk za-telefonował na komendę i poprosił Portera, aby nadzorował sprawdzanie sprzedawców butów, Wyattowi polecił odnaleźć samochód należący do byłej żony Johna Yamady, a Cindy Chow kazał znaleźć przesładowcę Dianę Truby i przyprowadzić go na przesłuchanie. Monk postanowił sam przesłuchać Maksa Collinsa, który po nietrafionych przepowiedniach Allegry Doucet stracił miliony dolarów.

- Dlaczego zostawił pan dla siebie sprawę astrolożki?

- Szukanie sprzedawców obuwia wymaga mnóstwo chodzenia i ludzi, nie będą mnie tam potrzebować - wyjaśniał Monk. - Jest oczywiste, co się przytrafiło Yamadzie i Truby. Nie wiemy tylko, kim są

mordercy i dlaczego dopuścili się zbrodni. Odpowiedzi na te pytania pojawią się dopiero dzięki dochodzeniu i wytrwałości. Jednak morderstwo Allegry Doucet to absolutna zagadka. Wiem tylko tyle, że zginęła od ciosów ostrym narzędziem, jednak żadne inne ślady z miejsca zbrodni nie trzymają się kupy.

- Ma pan nadzieję, że spotka się pan z Maksym Collinsem i pana olśni?

- Byłoby miło - powiedział Monk.

- Nie przeszkadza panu, że Porter, Chow i Wyatt będą w tym czasie prowadzić swoje sprawy?

- Przeszkadza. Mam ochotę zwinąć się w pozycję embrionalną i wybuchnąć płaczem, ale powstrzymuje mnie pas bezpieczeństwa.

- Jednak postąpił pan według wskazówek Stottmeyera?

- Dobrze się na tym zna - powiedział Monk.

- Powinien mu to pan kiedyś powiedzieć - stwierdziłam.

- Ależ on o tym wie - rzekł Monk.

Nie rozumiem, dlaczego mężczyźni nie potrafią nikomu powiedzieć, co czują, nawet przyjaciółom i ukochanym bliskim. Czy zakładają, że wszyscy wokół są stuknięci? Czy może wydaje im się, że przyznanie się do uczuć, nawet tak pozytywnych jak miłość czy uwielbienie, czyni ich w jakiś sposób słabszymi?

- Ale z pańskich ust tego nie usłyszał? - zapytałam.

- Nie chce tego ode mnie usłyszeć. Już nie.

- Dopiero jak to wszystko się skończy?

Monk potrząsnął głową.

- To zależy od tego, jak to się skończy.



## Monk i arcydzieło

Galeria Greenwald wypełniona była rzeźbami i obrazami, których ceny, jak mogłam się domyślać, były astronomiczne. W przeciwnym razie nie znajdowałyby się na Union Square, nie byłaby otwierana wyłącznie na umówione spotkania z klientami i nie byłaby chroniona przez uzbrojonych strażników na zewnątrz i wewnątrz.

Przywitała nas wysoka, szczupła Brytyjka, ubrana w sposób wyrafinowany, można nawet powiedzieć ostry. Każdy brzeg jej ubrania, na ramionach, biodrach czy talii, wydawał się ostry jak brzytwa. Nawet rysy twarzy miała ostre. Ktokolwiek się do niej za bardzo zbliżył, ryzykował podcięcie gardła przez wystające kości policzkowe, kanciasty podbródek lub czubek wyczelowanego chirurgicznie nosa, który unosiła do góry, jakby chciała utrzymać go wysoko ponad naszym zatechłym odorem.

- Nazywam się Prudence Greenwald, jestem właścicielką galerii. Pan Collins już czeka na państwa detektywów. Jest na zapleczu - powiedziała z wysublimowanym brytyjskim akcentem. - Proszę za mną. Proszę nie dotykać dzieł sztuki.

Akcent był udawany, jakby przyjęła go tylko dlatego, że szedł w parze z operacjami plastycznymi.

No dobrze, nie wiem, czy to prawda, ale bardzo chciałam w to wierzyć. Nawet nie zamierzałam

wyprowadzać jej z błędu, że nie jestem detektywem, a Monk pełni obowiązki szefa wydziału zabójstw. Podobało mi się, że uchodzę w jej oczach za bardzo ważną figurę.

- Ma pani któryś z tych znanych obrazków z psami grającymi w pokera? - zapytałam. - Uwielbiamy je.

- W tej chwili niestety nie - odparła.

- Może portret Elvisa? - zapytałam.

Rzuciła mi pogardliwe spojrzenie.

- Niestety obawiam się, że również nie.

- Hm, w takim razie myślę, że dzisiaj tylko sobie pooglądamy - powiedziałam.

Maksa Collinsa zastaliśmy, kiedy podziwiał jakiś wielki splot drutów przypominający gigantyczną, zwymiotowaną przez kota, skołtunioną kulkę sierści. Rzeźba stała na białym postumencie oświetlona punktowym halogenem.

Collins nosił swój idealnie skrojony garnitur w taki sposób, jakby sam go sobie pokazywał na wybiegu dla modeli. Rozejrzałam się i nie zobaczyłam nigdzie jego odbicia. Najwidoczniej wystarczyło mu wyobrazić sobie, jak znakomicie wygląda. Miał około trzydziestu pięciu lat, zęby tak białe i skórę tak złocistą, że pewnie sam George Hamilton był jego fanem i słał do niego listy.

- Jestem wdzięczny, że zgodził się pan tutaj przyjechać, kapitanie - powiedział na powitanie Collins, wyciągając rękę do Monka, który uściśnął ją i skinął na ranie z prośbą o chusteczkę. - Naprawdę nie mogłem przełożyć tego spotkania w galerii. Te wspaniałe dzieła nadeszły od pewnego prywatnego kolekcjonera, który je sprzedaje, by zebrać fundusze na nowe przedsięwzięcie. Jego strata. Mój zysk.

- O ile wiem, w ostatnim czasie to pan ponosił

straty - powiedział Monk, wycierając ręce. - Dzięki inwestycyjnemu doradztwu Allegry Doucet.

- Powiem tyle, że swoje zainteresowania inwestycyjne koncentruję teraz na dziełach sztuki.

- Zarzucił pan porady astrologiczne? - zapytałam, odbierając od Monka chusteczkę i zamykając ją w woreczku ziploc, który wcisnęłam do torebki.

- Wciąż czytam horoskop w „Chronicie”, jednak kiedy inwestuję, nie opieram się już na gwiazdach.

- Ta olśniewająca rzeźba będzie szczególnie dobrą inwestycją - wtrąciła Prudence. - To jedna z najlepszych prac Lofficiera. Nosi tytuł *Egzystencja*.

Monk odwrócił wzrok z obrzydzeniem.

- Nie podoba się panu? - zapytała Prudence.

- To coś nie ma żadnego kształtu - powiedział Monk. — Nie jest nawet symetryczne. Jest nierówne i rozchwiane.

- Na tym polega jej piękno - oświadczyła Prudence. - Rzeźba symbolizuje koło życia, a w nim wieczną walkę między duchem a materią, między polityką a sztuką.

- Ależ to żadne koło - przerwał jej Monk. - To miszmasz.

- Ma pan przed oczami całą złożoność tej struktury - tłumaczyła Prudence.

- Mam przed oczami misz! — powiedział Monk. — I masz.

- Wnoszę, że nie jest pan zwolennikiem sztuki abstrakcyjnej - zwrócił się do Monka Collins.

- Wolę, gdy rzeczy są czyste i równe - odpowiedział Monk. - Jak pan poznał panią Doucet?

- Interesująca zmiana tematu - zauważył Collins. - O Allegrze Doucet słyszałem już od dawna. Doradzała grubym rybom biznesowym w sprawach

inwestycyjnych, opierając się na astrologii i indywidualnych horoskopach. Obiło mi się o uszy, że podobno z powodzeniem.

- Więc ją pan odszukał? - zapytał Monk.

- Niezupełnie. Wychowałem się przy Haight. Moja mama nadal tam mieszka. Któregoś dnia odwiedzałem mamę, przechodziłem obok domu Allegry i wreszcie się zdecydowałem. Pomyślałem, co mi szkodzi. Szybko znaleźliśmy wspólny język. Przygotowała mi indywidualny horoskop. Trudno uwierzyć, jaki się okazał trafny. Zacząłem przychodzić do niej po porady.

- Mimo że tracił pan pieniądze?

- Wspomniałem już, że była też świetna w łóżku? - Collins uśmiechnął się do mnie i podszedł wolnym krokiem do malowidła, które było feerią barw naniesionych szerokimi pociągnięciami pędzla oraz chlapanieciami i kapaniem farby.

W moich oczach wyglądało to tak, jakby ktoś powiesił płótno na ścianie, obrzucił je balonikami wypełnionymi farbą, przeciągnął potem kilka razy pędzlem tam i z powrotem, a w końcu tu i ówdzie wylał na nie farbę prosto z puszki.

Monk zasłonił oczy przed obrazem.

- Więc co się nie udało? - zapytał.

- Straciłem trzy miliony. Jakoś nie mogłem uwierzyć, że gwiazdy nagle zaczęły się mylić. Wynająłem więc prywatnego detektywa, by trochę powęszył. Dowiedział się, że firmy, w które inwestowałem, płaciły Doucet, by sterowała ludźmi. Astrologia nie miała z jej poradami nic wspólnego. Więc z nią zerwałem.

Byłam zdziwiona, że prowadzi z nami tę rozmowę w obecności właścicielki galerii, ale wydawało się, że Prudence nie zwraca na nas uwagi ani też

nie czuje się skępowana, choć z całą pewnością słyszała każde słowo. Doskonale wiedziała, jak być obecną, a jednocześnie nie rzucać się w oczy.

- To wszystko? - zapytałam. - Po prostu pan z nią zerwał?

- Poradziłem jej, żeby znikła z San Francisco, dopóki może zrobić użytek ze swoich nóg.

- Miał pan klucz do domu Allegry? - Monk stanął w miejscu, z którego nie musiał patrzeć na obraz, a jednocześnie stał przodem do Collinsa.

- Owszem, miałem - odpowiedział Collins, przesuwając się tak, aby Monk mógł zobaczyć obraz, gdyby zechciał na niego spojrzeć.

- Co robił pan przedwczoraj wieczorem? - zapytał Monk, stając z boku Collinsa i spozierając na niego tylko kątem oka.

- Byłem u mamy, która mieszka obok domu Allegry, tuż za rogiem. - Collins cofnął się o krok, więc Monk musiał się do niego odwrócić i znowu obraz znalazł się przed jego oczami. - Nie tylko miałem motyw, aby zabić Allegrę. Miałem również sposobność i środki.

- Dziwi mnie pańska szczerość - powiedział Monk, mrużąc oczy, by nie widzieć tego, co ma przed oczami. - Nie zechciałby się pan od razu przyznać?

- Doszedłem do wniosku, że im bardziej będę z panem otwarty i szczery, tym bardziej będzie prawdopodobne, że skreśli mnie pan z listy podejrzanych.

- Równie dobrze może to być taktyka z pana strony - powiedział Monk. - Podobnie jak te ruchy, które pan wykonuje tylko po to, żebym spojrział na obraz.

Collins udał zdziwienie.

- Och, najmocniej przepraszam. Nie miałem pojęcia. Nie podoba się panu obraz?

- Ten obraz to jeden wielki bałagan - powiedział Monk.

- To klasyczny Wallengren, jedno z jego najwcześniejszych poszukiwań w nurcie abstrakcyjnego ekspresjonizmu. - Prudence z wielkim respektem odniosła się do dzieła. - Nosi tytuł *Laura*, to portret jego kochanki. Jak widać, był wtedy pod silnym wpływem Pollocka i de Kooniga.

- Zdecydowanie - powiedział Collins, przytakując.

- Wyrażana emocja jest bardzo gwałtowna, niemal animalistyczna - mówiła dalej Prudence. - Jednak temperowana przez zmysłowość i, ośmielę się powiedzieć, trochę kapryśna. Jej siłę wyczuwa się raczej instynktownie niż emocjonalnie czy intelektualnie.

- Przyjemniej byłoby patrzeć na puste płótno - stwierdził Monk. - Ten obraz ani trochę nie przypomina kobiety.

- Sztuka abstrakcyjna nie oddaje rzeczywistego wyglądu obiektu - tłumaczyła Prudence wzdorczym tonem. - Raczej stara się wyrazić jego naturę, dwuznaczność, uczucia, esencję.

- Ile kosztuje ten obraz? - zainteresował się Collins.

- Siedemset tysięcy dolarów - odpowiedziała Prudence.

- Wezmę go - orzekł Collins.

- Niech go pan nie kupuje - wtrącił Monk. - To żadna sztuka.

- Z ciekawości tylko zapytam - powiedział Collins. - Znajduje się w tym pomieszczeniu coś, co uznałby pan za dzieło sztuki?

Monk potoczył wzrokiem po wnętrzu galerii, by po chwili dostrzec coś przyjemnego dla oka.

- To jest prawdziwe arcydzieło — powiedział.

Poprowadził nas do postumentu, na którym stała oświetlona punktowym halogenkiem plastikowa butelka windexu do mycia szyb.

- Jej czerwone, białe i niebieskie barwy przywołują skojarzenia z wolnością, demokracją i pokojem, podkreślając nasz patriotyczny obowiązek, by wszystkie powierzchnie utrzymywać w nienaganej czystości i chronić przed zarazkami - mówił Monk. - Pełne wdzięku, płynne linie butelki i głęboki, żywy błękit znajdującego się w niej płynu symbolizują naturę, krystaliczną czystość i wyzwolenie duchowe, które może się zrodzić wyłącznie z czystego życia. Jest piękna.

- To środek do czyszczenia okien - powiedziała Prudence. — Nie jest eksponatem. Myłam dzisiaj okna i postawiłam go tutaj przez przypadek. To rzecz bez -wartości.

Nie lubiłam tej kobiety i miałam serdecznie dość wyższości okazywanej nam przez nią na każdym kroku. Wcale nie była lepsza ode mnie i chciałam, żeby się o tym dowiedziała.

- Karton mydełek Brillo jest zwykłym produktem w kolorowym opakowaniu, który po zużyciu konsument wyrzuca. Kiedy jednak Andy Warhol zrobił ze sklejki idealne repliki pudełek mydeł Brillo

i ustawił je w galerii, raptem stały się dziełem sztuki - powiedziałam. - Podobnie jak w przypadku win-

dexu, zdecydowane wykorzystanie czerwieni, bieli i błękitu na pudełkach mydła Brillo sprowadza idee patriotyzmu, czystości moralnej i niepodległości do aktu utrzymywania aluminium w czystości, a idealna kwadratura pudełek ma się kojarzyć z porząd-

kiem, równowagą i harmonią. Warhol wykorzystał cechę powszedniości swojego dzieła, aby postawić fundamentalne pytanie: Dlaczego przedstawienie czegoś jest dziełem sztuki, a to, co dzieło sztuki przedstawia, dziełem sztuki już nie jest? Stawiając to pytanie, podważył obowiązującą wcześniej teorię filozofii sztuki. Mogę się domyślać, że stawiając tę butelkę na postumencie w galerii, w świetle punktowego reflektora, uczyniła ją pani dziełem sztuki na zasadzie analogicznego kontekstu. Nowe pytanie brzmi: Czy sztuka istnieje niezależnie od kontekstu? Pan Monk udowodnił, jak myślę, że odpowiedź na to pytanie brzmi: „Tak”.

Wszyscy gapili się na mnie w milczeniu przez długą chwilę. Może i wyglądam na przedstawiciela klasy pracującej, ale to nie znaczy, że nie mam wykształcenia. Cieszyłam się w duchu z ich zaskoczenia, ale starałam się nie okazywać zarozumialstwa.

Po chwili Collins wziął butelkę windexu do ręki i podał ją Monkowi.

- Należy do pana - oświadczył. - Z naszym największym uznaniem.

Monk zrobił krok do tyłu, wyciągając przed siebie rękę.

- Naprawdę pan uważa, że mogę wyjść z tą butelką i nikt tego nie zauważy? To łapówka.

- To windex - powiedział Collins.

- To, co pan robi, to desperacki akt winnego człowieka, właściwie równoznaczny z przyznaniem się do winy.

- Ale ja nie zabiłem Allegry Doucet.

- To dlaczego usiłuje mnie pan przekupić? — zapytał Monk. - Musiał pan zrobić coś złego. Dowiem się, co to jest. Tego może być pan pewien.



Powiedziawszy to, Monk wyszedł, zasłaniając oczy przed klującymi boleśnie dziełami sztuki abstrakcyjnego ekspresjonizmu.

Wróciliśmy do samochodu, który stał zaparkowany na Sutter Street parę przecznic dalej. Chodnik był pełen ludzi. Monk wsadził ręce głęboko w kieszenie i spuścił głowę, lawirując w tłumie, by o nikogo się nie otrzeć. Wysiłki, by uniknąć jakiegokolwiek kontaktu z przechodniami, przemieniły jego chód w mimiczny balet. Wił się, kręcił piruety, wykrzywił na boki. Miałam ochotę położyć na ziemię jakiś kapelusz i zacząć zbierać drobne za występ uliczny.

- Rozumiem, że można nie lubić dzieła sztuki - powiedziałam. - Ale nie uważa pan, że zasłanianie oczu to jednak przesada?

- Oślaniałem się tylko.

- Przed obrazem?

- Nawet nie wiesz, co dla mnie znaczy patrzeć na coś tak okropnego.

- Jak to możliwe, że bez mrugnięcia okiem potrafi pan obejrzeć zakrwawione, okaleczone zwłoki, a brzydzą pana pacnięcia kolorowymi farbami na płótnie.

- Im dłużej patrzę na coś tak chaotycznego, nieuporządkowanego, niewłaściwego, tym silniejsza i bardziej nieodparta staje się moja kompulsja.

- Jaka kompulsja?

- Kompulsja, by to poprawić.

- Jak może pan poprawić obraz? Jak można zaprowadzić porządek w czymś, co z założenia ma być abstrakcyjne?

- Nie wiem. I to właśnie napawa mnie największym lękiem. Nie mam pojęcia, co mógłbym zrobić.

- Z całą pewnością mógłby się pan bardziej kontrolować - powiedziałam, a Monk spojrział na mnie z wyrzutem. - Nieważne. Nic nie powiedziałam.

- Taka sama kompulsja pcha mnie do szukania rozwiązania zagadki morderstwa. Jednak w takiej sytuacji wiem, co robić — mówił Monk. — Gromadzę dowody i rekonstruuje obraz tego, co się wydarzyło, a potem muszę się upewnić, że morderca został ukarany za zbrodnię, którą popełnił.

- Myśli pan, że to Collins zamordował Allegrę Doucet?

- Sam przyznał, że miał ku temu środki, motyw i sposobność - powiedział Monk. - To, że miał klucz i był kochankiem Doucet, wyjaśniałoby, jak się dostał do domu, dlaczego Doucet stała twarzą do mordercy i dlaczego nie przypuszczała, że czyha na nią niebezpieczeństwo, dopóki nie było za późno.

- Co z otwartym oknem w łazience i złamanym wieszakiem na ręczniki?

- Collins mógł to wszystko upozorować, żeby się wydawało, że ktoś się włamał do środka, choć nikt się nie włamywał.

- Hm, myślę, że gdyby rzeczywiście planował morderstwo Allegry Doucet, to postarałby się o lepsze alibi.

- Być może.

- Ale z drugiej strony może chce, żebyśmy tak myśleli? - zapytałam. - Może celowo ma słabe alibi i myśli, że w ten sposób wyda się mniej podejrzany?

- Być może - odparł Monk.

- Czyli co?

Monk wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem. W każdym razie twoja przemowa w galerii zrobiła na mnie wielkie wrażenie.

Uśmiechnęłam się. Może nawet się zarumieniłam. Po raz pierwszy w życiu Monk uznał, że coś, co powiedziałam czy zrobiłam, zrobiło na nim wrażenie.

- Naprawdę? - spytałam przymilnie w nadziei na dalszy komplement.

- Nie mogę przestać o tym myśleć - powiedział Monk.

- Chodzi panu o to nurtujące pytanie filozoficzne, czym jest sztuka?

- Chodzi mi o kartony mydełek Brillo. Gdzie mogę je zobaczyć?

W tej chwili zadzwonił mój telefon komórkowy. Susan Curtis telefonowała z wiadomością, że miasto San Francisco znowu ma o jednego podatnika mniej.

Jechaliśmy na miejsce zabójstwa. Ofierze z pewnością nie można było już pomóc, lecz mimo to miałam poczucie, że musimy się śpieszyć. Nie można powiedzieć, żebym zdecydowanie przekraczała dozwoloną prędkość, ale z pewnością prowadziłam agresywnie.

Jeśli ta policyjna robota ma jeszcze potrwać, to poproszę o czerwonego koguta z magnesem, takiego, jakiego miał Kojak. Za każdym razem, gdy będę chciała przycisnąć gaz do dechy, wyciągnę tylko rękę i postawię go na dachu samochodu.

Na razie jednak pedał gazu pod moją nogą wisiał wysoko nad podłogą, tym większe było moje zdumienie, kiedy w lusterku wstecznym zobaczyłam radiowóz, który zbliżał się do nas w błyskawicznym tempie, dając znaki światłami.

- Czego chce? - zapytałam. Monk

obejrzał się przez ramię.

- Może to eskorta?

- Wątpię - powiedziałam.

Minęłam jeszcze dwie przecznice, aż w końcu policjant dał krótki, gulgoczący sygnał syreną, żądając, żebym zjechała do krawężnika.

Zatrzymałam się w czerwonej strefie parkowania, na jedynym wolnym miejscu na całej ulicy, i opuściłam szybę. Monk rzucił mi karcące spojrzenie.

- Teraz dopiero narobiłaś.

- Nic nie narobiłam.

- Policja nie zatrzymuje kierowców bez powodu - stwierdził sucho Monk.

- Owszem, zatrzymuje, jeśli kierowca wiezie kogoś, kto podczas strajku policji przyjmuje od burmistrza stanowisko szefa wydziału zabójstw.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedział Monk.

- Wiedzieli, że jedziemy na miejsce przestępstwa i że prawdopodobnie pojedziemy tą trasą - wytłumaczyłam. - To pułapka. Nie dziwiłabym się, gdyby każdy patrol w tym mieście chciał wlepić mi mandat za byle co.

- Widzę, że ktoś tu cierpi na manię prześladowczą.

- Odholowali mój samochód z miejsca przestępstwa czy nie?

- Zaparkowałaś w niedozwolonym miejscu czy nie?

- Nie w tym rzecz - zaproponowałam.

- Musisz zacząć patrzeć na znaki drogowe, kiedy masz zamiar zaparkować.

Tymczasem policjant podeszedł wolnym krokiem do okna. Był Azją w wieku około trzydziestu pięciu lat. Na identyfikatorze widniało nazwisko Nakamura.

- Prawo jazdy i kartę rejestracyjną proszę - powiedział.

Podaliśmy mu prawo jazdy. Kiedy je oglądał, sięgnęłam ponad nogami Monka do skrytki przed siedzeniem pasażera i wyjęłam kartę rejestracyjną.

- Bardzo się pani śpieszy, pani Teeger - powiedział Nakamura.

- Jak pan zapewne wie, to kapitan Adrian Monk z wydziału zabójstw. - Podaliśmy policjantowi kartę.

- Jestem jego kierowcą. Jedziemy na miejsce przestępstwa, to służbowa sprawa.

Monk podniósł wysoko swoją odznakę policyjną.

- To nie powód, żeby w dzielnicy mieszkalnej przekraczać dozwoloną prędkość. Musi pani przestrzegać przepisów ruchu drogowego.

- To samo jej mówiłem - odezwał się Monk.

- Dziękuję za wsparcie - rzuciłam zjadliwie do Monka i odwróciłam się z powrotem do policjanta.

- Nie przekraczałam dozwolonej prędkości.

- Obawiam się, że takie zeznanie będzie się mijać z prawdą - stwierdził oficjalnym tonem Nakamura. - Kiedy mierzyłem pani prędkość, wskaźnik radaru zatrzymał się na czterdziestu czterech kilometrach na godzinę.

- Boże jedyny, kobieto! Czyś ty rozum postradała? - wykrzyknął Monk.

- Panie Monk, tu obowiązuje ograniczenie do czterdziestu kilometrów na godzinę. Jechałam raptem cztery kilometry na godzinę więcej!

- Zatem przyznaje się pani do tego, że przekroczyła dozwoloną prędkość? - zapytał Nakamura z szerokim uśmiechem.

- Chyba nie mówi pan poważnie - powiedziałam.

- Mówię śmiertelnie poważnie, pani Teeger. W tej

okolicy na skrzyżowaniach pojawia się wiele matek z wózkami, starszych obywateli, a również dzieci — mówił Nakamura, z trudem powstrzymując śmiech. - To nie jest miejski tor wyścigowy.

- Miejski tor wyścigowy? Czy my mamy rok pięćdziesiąty siódmy?

- Jak mogłaś być tak nieostrożna? - strofował mnie Monk. - Czy dla ciebie życie ludzkie nie ma żadnego znaczenia?

- Ależ panie Monk, czy nie widzi pan, co tu się dzieje? Tu wcale nie chodzi o to, czy jechałam cztery kilometry na godzinę powyżej dozwolonej prędkości czy nie. Tu chodzi o pana - mówiłam. - To jawne szykany.

- Poza tym zatrzymała się pani w czerwonej strefie - dodał Nakamura. - To przekroczenie przepisów parkowania.

- Widzi pan - powiedziałam do Monka. - Teraz pan rozumie?

- Jesteś drogową recydywistką.

- Proszę nie wychodzić z samochodu, wypiszę pani mandat - rozkazał Nakamura i wrócił do radiowozu.

- Niech Bóg ma pana w swojej opiece - rzucił za nim Monk.

Spojrzałam w lusterko i zobaczyłam, jak Nakamura śmieje się do siebie. Łajdak.

- Powinnaś mu być wdzięczna, że tak łagodnie cię potraktował - powiedział Monk.

- Łagodnie? Pan chyba nie wie, co mówi - niemal krzyczałam z wściekłości. - Mandaty, które wypisuje za te wydumane wykroczenia, będą mnie prawdopodobnie kosztować setki dolarów!

- Nie patrz na mnie - odpowiedział Monk. - To nie ja jestem demonem szybkości.

- Pan jest kapitanem policji.  
- Uważasz, że sam powinienem ciebie aresztować?

- Powinien pan powiedzieć temu policjantowi, co ma zrobić z tymi mandatami.

- Powiem mu - odparł Monk.

- Powie mu pan? - zapytała zaskoczona.

Tymczasem wrócił Nakamura, wręczył mi mandaty, prawo jazdy i kartę rejestracyjną.

- W przyszłości radzę prowadzić z większą uwagą, pani Teeger. Dla własnego bezpieczeństwa, a tak że dla bezpieczeństwa publicznego.

Spojrzałam na Monka.

- Nie ma pan nic do powiedzenia?

Monk chrząknął głośno.

- Jestem kapitanem wydziału zabójstw, czy pan o tym wie?

- Wiem, proszę pana.

- Świetnie. W takim razie niech mnie pan uważnie posłucha. Powiem panu, co ma pan zrobić z tymi mandatami. - Monk przechylił nade mną głowę i spojrzał policjantowi prosto w oczy. - Niech pan zrobi dodatkowe kopie i wyśle tej pani na wypadek, gdyby zgubiła oryginały.

- Oczywiście... - odparł zbity z tropu Nakamura i odszedł do radiowozu.

- Wielkie dzięki - powiedziałam do Monka.

- Nie ma za co, działałam w twoim najlepszym interesie.

- Niby jak? - zapytałam.

- Jeśli zgubisz mandaty i nie zapłacisz kary, mogą wystawić nakaz aresztowania - wyjaśnił Monk. - Kto będzie wtedy moim kierowcą?

## Monk i kolejne miejsce zbrodni

Dzielnica Richmond District była kiedyś spowitą we mgle jałową ziemią, gdzie miasto grzebało zmarłych. Teraz stała się wielokulturową i wieloetniczną dzielnicą chińskich restauracji „dimsum”, włoskich piekarni, francuskich kawiarni i rosyjskich herbarciarni. Edwardiańskie domy z przełomu ubiegłego wieku stały obok wiktoriańskich szeregowców i niskich kamienic bogato zdobionych sztukaterią. To nietypowe miejsce, na granicy *tres* szykownego i *tres* nie na zwykłą kieszeń. Nieopodal znajduje się jedyny w mieście kościół Szatana, ale próżno by go szukać w folderach biur nieruchomości lub przewodnikach turystycznych.

Ciało Scotta Eggersa leżało w alejce na tyłach jego własnego pastelowego domu przy Dziesiątej Alei. Na głowie miał białą foliową reklamówkę ze sklepu spożywczego, obwiązaną wokół szyi sznurkiem. Ubrany był w bezrękawnik i szorty. Eggers był umięśnionym mężczyzną, ale jak ktoś, kto dba o sylwetkę, regularnie ćwicząc na siłowni, a nie pracując fizycznie.

Zwłoki leżały między lśniącem lexusem kabrioletem a paroma pojemnikami na śmieci, które bardzo przeszkadzały Monkowi w koncentrowaniu się na zadaniu.



Stał kilka kroków od ciała, ale nie spuszczał z oczu pojemników, jakby mogły się nagle poderwać i pożyć go w okamgnieniu.

Nad ciałem stała w rozkroku kobieta w luźnym, białym, nie najlepiej się prezentującym kombinezonie, oznaczonym na plecach dużymi, żółtymi literami SID, co znaczyło, że była z naukowego wydziału dochodzeniowego. Jej długie rude włosy były związane w koński ogon i wpuszczone za kołnierz, aby przez przypadek nie zanieczyścił miejsca przestępstwa. Miała mocno piegowatą twarz i zbliżała się do czterdziestki. Przedstawiła się jako Terri Quinn.

- Moim zdaniem wypadki przebiegły następująco...  
- zaczęła mówić, ale zamilkła w pół słowa, kiedy Monk podniósł rękę.

- Pod samochodem widzę kluczyki, a tył głowy ofiary jest mocno zakrwawiony - powiedział. - Oczywiście jest więc, że mężczyzna podchodził do samochodu, wyciągał kluczyki, by wyłączyć alarm, kiedy nagle ktoś uderzył go od tyłu. Upadł twarzą do ziemi. Zabójca porwał z pojemnika na śmieci reklamówkę, przygwoździł swoją ofiarę kolanem i zadusił ją, obwiązawszy głowę workiem.

- Dlaczego pan uważa, że reklamówka pochodziła z pojemnika na śmieci? Może zabójca miał ją po prostu przy sobie?

Monk wskazał palcem logo sklepu na reklamówce.

- Ten sklep minęliśmy po drodze przy Clement Street. Zakładam, że ofiara robiła tam zakupy, a pojemniki są pełne takich reklamówek.

- Całkiem nieźle - powiedziała z uznaniem Terri.

- Niestety - rzekł Monk. - Zwykle jestem o niebo lepszy.

Była to uwaga, która wydałaby się arogancka, gdyby Monk nie wypowiedział jej z tak wielką niewiarą w siebie.

Terri spojrzała na mnie pytającym wzrokiem. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób jej odpowiedzię wyrazem twarzy, nie mówiąc o tym, że w ogóle nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Pan Eggers został uderzony tępym narzędziem. Rurką albo łomem. Nie udało nam się znaleźć narzędzia zbrodni - wyjaśniała Terri. - Ofiara ma na plecach siniaka, najpewniej w miejscu, w którym napastnik przygwoździł ją kolanem do ziemi, a w pojemniku na śmieci rzeczywiście jest mnóstwo podobnych reklamówek.

- Potworna śmierć - powiedziałam.

- Mogło być gorzej - mówiła dalej Terri. - Mógł być przytomny, gdy umierał, a tak praktycznie umarł w czasie snu, wystarczyło pięć minut i było po wszystkim. Pan Eggers nigdy się nie dowiedział, czym został uderzony.

- Ani kto go uderzył - stwierdził Monk. - Wszystko się działo za jego plecami.

- Prawda - powiedziała Terri. - Facet był silny. Nie chciałam go spotkać w ciemnej uliczce, a mam czarny pas.

- He jest wart ten samochód? - zapytał Monk.

Wzruszyłam ramionami.

- Myślę, że jakieś sto tysięcy dolarów.

- Zastanawia mnie, że zabójca go nie ukradł - powiedział Monk. - To nie byłoby trudne. Kluczyki leżą pod samochodem.

- Może samochód ma detektor Lo Jack i zabójca się bał, że policja zlokalizuje samochód? - powiedziałam.

- Zabójca nie zabrał też Eggersowi portfela - powiedziała Terri. - Jest w nim dwieście dolarów w gotówce i kilka kart kredytowych.

Monk zmarszczył brwi, poruszył niezgrabnie ramionami i mimowolnie pokręcił guzikiem przy kołnierzu, jakby ubranie zaczęło go raptem uwierać lub było za ciasne. Ale to nie ubranie mu dokuczało, lecz fakty w tej sprawie.

- Jak długo nie żyje? - zapytał Monk.

- Myślę, że od godziny. Kiedy przyjechaliśmy, ciało było jeszcze ciepłe. Jego kochanek wrócił z joggingu po parku Presidio, znalazł ciało i natychmiast wezwał policję. To tamten w czapeczce baseballowej.

Quinn wskazała mężczyznę na przedzie tłumu zgromadzonego po drugiej stronie żółtej taśmy policyjnej. Mężczyzna ubrany był w jasnoniebieski sportowy strój do biegania, a po jego szorstkich, nieogolonych policzkach toczyły się łzy.

- Nazywa się Hank Criswell - dodała Terri Quinn.

- Dziękuję, Terri.

- Za to mi płacą - powiedziała z uśmiechem.

Z uśmiechem zalotnym. Aż spojrzałam na nią drugi raz zaskoczona. Monk oczywiście nie zauważył podtekstu tego uśmiechu. Jest niebywale spostrzegawczym człowiekiem, z wyjątkiem sytuacji, gdy w grę wchodzi subtelności ludzkich zachowań.

Gdybym uważała, że Monk jest otwarty na randki, powiedziałabym mu, co właśnie przeszło mu koło nosa. Ale Monk wciąż kochał żonę i o ile dobrze wiem, ani trochę nie był zainteresowany romansami. Zastanawiało mnie natomiast, co w Monku przyciągnęło jej uwagę.

Monk podszedł do taśmy policyjnej i nonszalanckim ruchem wyciągnął przed siebie odznakę policyjną, by Hank Criswell mógł ją wyraźnie zobaczyć. Monkowi tak bardzo się to podobało, że dwukrotnie jeszcze podniósł odznakę w kierunku stojącego obok umundurowanego policjanta.

- Nazywam się Adrian Monk. Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci pana Eggersa. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

- Po co śledztwo? Niech pan od razu aresztuje Merle'a Smettera - powiedział Criswell, ocierając otwartą dłońią łzy z policzków. - To on zabił Scotta.

- Skąd pan wie? - zapytał Monk.

Ja zapytałabym najpierw, kim w ogóle jest Merle Smetter, ale to nie ja byłam tu detektywem.

- Smetter zbudował u siebie na dachu drewnianą werandę i bez obowiązujących pozwoleń zainstalował tam jacuzzi. Nieustannie urządza głośne imprezy. Nie dość, że przeszkadza nam jazgot jego zabaw, to maszynaria jacuzzi znajduje się tuż przy oknie naszej sypialni, szumiąc i gulgocząc przez całą dobę - mówił Criswell. - Złożyliśmy skargę do urzędu i miasto nakazało mu rozebrać instalację.

- To wygląda raczej na niewinną scysję między sąsiadami - powiedział Monk. - W każdym razie nie na coś, co miałoby się zakończyć brutalnym morderstwem.

- Proszę pana, ludzie się zabijają dla paru groszy. Demontaż jacuzzi i przywrócenie dachu do pierwotnego wyglądu będzie kosztować Smettera sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów, a jego zdaniem to wszystko przez nas - tłumaczył Criswell. - Zresztą będzie go kosztowało znacznie więcej, jeśli wygramy sprawę w sądzie.

- Podaliście go do sądu? - zapytałam. - Za co?  
- Jesteśmy plastikami, zajmujemy się grafiką. Nieustanny hałas doprowadził nas do chronicznego braku snu, co zrujnowało naszą kreatywność i interesy. Domagamy się półtora miliona dolarów odszkodowania za utracone zarobki i straty moralne - wyjaśniał Criswell. - Jednak teraz ta suma pójdzie wysoko w górę. Teraz dopiero poniosłem stratę.

Z przekrwionych oczu Criswella potoczyły się nowe strużki łez i mężczyzna zaczął dygotać od gwałtownych chlipnięć.

- Gdzie znajdę pana Smettera? - zapytał Monk.

Criswell pociągnął nosem i wyciągnął oskarżycielsko palec w kierunku mężczyzny, który wyróżniłby się w każdym tłumie.

Merle Smetter wyglądał jak skrzyżowanie fretki z Manczkinem z Krainy Oz. Był łysym mężczyzną z brzuchem obwisłym od piwa, gęstymi kępkami włosów wychodzącymi spod kołnierza i z wysoko zakręconymi, wywoskowanymi wąsami.

Miał najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu.

Jeśli Merle Smetter miał zaatakować od tyłu Scotta Eggersa, to musiałby chyba wybić się na dziecięcej sprężynie „pogo”; innego sposobu nie wiedziałam.

Wymieniliśmy z Monkiem spojrzenia. On również nie wydawał się przekonany.

- Dziękujemy panu za pomoc, panie Criswell - powiedział Monk. - Jeśli czuje się pan na siłach, policjant spisze pańskie zeznanie.

- Nie aresztujecie Smettera?

- Jeszcze nie - odpowiedział Monk.

Podeszliśmy do jednego z policjantów. Dopiero

z bliska poznałam, że był to Milner, ten sam policjant, który w parku McKinley pożyczył Monkowi lornetkę. Milner uśmiechnął się ciepło na nasz widok.

- Nie wiedziałam, że pański rewir rozciąga się na całe miasto - powiedziałam.

- Z powodu tego „błękitnego” wirusa szeregi policji mocno się przerzedziły - mówił Milner. - Muszę być wszędzie tam, gdzie mnie potrzebują.

- Mógłby pan spisać zeznanie Hanka Criswella, Merle'a Smettera, a także innych sąsiadów, których okna wychodzą na alejkę? - zapytał Monk.

- Oczywiście - odpowiedział z entuzjazmem Milner.

- Nie przeszkadza panu, że pomaga pan kapitanowi Monkowi? - zapytałam.

- Na tym przecież polega moja praca, prawda?

- No, ale wie pan, myślę o tej „grypie” i w ogóle. Przebywanie z nami mogłoby być panu nie w smak.

Policjant wzruszył ramionami.

- Każdy musi z czegoś żyć. Niech pani spojrzy na mnie, biorę wszystkie możliwe nadgodziny.

- To może zebrałby pan jeszcze paru policjantów i spróbował znaleźć kogoś, kto mógłby potwierdzić, że w czasie, kiedy popełniono morderstwo, Hank Criswell biegał po parku? - poprosił Monk.

- Nie ma sprawy, panie kapitanie - odpowiedział policjant. - Jak się toczy śledztwo w sprawie „Dusiciela”? Czy obiecana przez burmistrza nagroda przyniosła jakiś przełom?

- Jeszcze nikt się nie zgłosił - odpowiedział Monk.

- Na pewno ktoś się znajdzie - rzekł Milner. - Są

ludzie, którzy za dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów wskazałyby własne dziecko.

Milner wyjął notatnik i ruszył w kierunku Criswella. Odprowadziłam go wzrokiem. Naprawdę przystojny facet.

- Myśli pan, że Criswell zabił kochanka, a potem udawał, że znalazł ciało? — zapytałam Monka.

Monk potrząsnął głową.

- Chcę tylko wszystko sumiennie sprawdzić. Criswell nie zaatakowałby Eggersa w świetle dnia za własnym domem. Istniałoby zbyt duże prawdopodobieństwo, że ktoś go zauważy i rozpozna.

- Więc jaką pan ma teorię?

- Nie mam żadnej - odpowiedział Monk. - Wydaje się, że w przypadku tego morderstwa każda teoria jest bezsensowna.

- A co ma sens, gdy zostaje zamordowany człowiek?

- Jeśli był to tylko rabunek, to po co zadawać sobie tyle trudu i dusić ofiarę, która była nieprzytomna i bezbronna? I dlaczego nic nie zginęło? - zastanawiał się głośno Monk. - Jeśli natomiast było to morderstwo z premedytacją, dlaczego Eggers został napadnięty w świetle dnia? Jeśli zabójca planował uduszenie, to dlaczego nie przyniósł torebki, lecz szukał jej w przypadkowym pojemniku na śmieci? — Monk aż się wzdrygnął na samo to słowo. - Wydaje się, że morderca improwizował wszystko w wielkim pośpiechu. Nie usiłował nawet upozorować nic więcej ponad to, co mamy.

- A co mamy?

- Morderstwo, w którego przypadku nic nie ma sensu.

## Monk jedzie do komendy głównej

Monk stał osłupiały w progu pokoju detektywów. Ja również byłam zaskoczona.

Porter, Chow, Wyatt, ich asystenci i Susan Curtis siedzieli przy biurkach, rozmawiając przez telefon, pracując przy komputerze czy porządkując dokumentację. Dopiero po chwili, jeden po drugim, zaczęli sobie zdawać sprawę z naszego przybycia. Jednak to wcale nie widok pochłoniętych pracą ludzi wywoływał nasze wielkie zdziwienie, tylko widok pokoju. Podczas naszej nieobecności pomieszczenie przeistoczyło się w prawdziwie pokazową ekspozycję równowagi i porządku.

Biurka stały w idealnych rzędach, oddalone od siebie w tak równych odstępach, że zdawało się, jakby ktoś odmierzył odległość między nimi.

Telefony, lampy, monitory, klawiatury, pojemniki na ołówki, notatniki i inne biurowe akcesoria ustawione były na każdym biurku dokładnie w tym samym miejscu, jakby je ktoś przykleił.

W każdym pojemniku na ołówki znajdowały się dokładnie cztery ołówki równej długości, cztery długopisy (dwa czarne i dwa niebieskie) i dodatkowo dwie pary nożyczek oraz dwie linijki.

Nawet wiszące na ścianach plakaty, zdjęcia, mapy i tablice informacyjne były wyprostowane, wy-



środkowane względem siebie, oddalone od siebie o te same odległości, a ponadto ułożone według rozmiaru, kształtu i koloru. Nawet karteczki, zdjęcia i notatki na poszczególnych tablicach informacyjnych przypięte były według rozmiaru, kształtu i koloru.

Całe wnętrze zostało po prostu na wskroś „zmon-kowane”.

Jedynym nietkniętym miejscem pozostawał gabinet kapitana Stottlemeyera, który z kolei wyglądał tak, jakby został splądrowany.

Zanim Monk zdołał przywyknąć do tego widoku, wszyscy oderwali się od pracy i odwrócili do niego głowy. Był tak poruszony tym, co zobaczył, że nawet nie był w stanie wziąć oddechu, by cokolwiek powiedzieć.

Szczerze mówiąc, sama miałam łzy w oczach. Cieszyłam się, bo Monk się cieszył, ale też byłam szczerze poruszona tym, na co się ci obcy ludzie zdobyli, aby okazać mu aprobatę i szacunek.

- Dziękuję wam - powiedział w końcu Monk głosem drżącym ze wzruszenia. - Nawet nie potrafię powiedzieć, ile to dla mnie znaczy. Zobaczycie, nie zawiodę was.

Chciał powiedzieć coś więcej, ale nie mógł znaleźć słów. Uśmiechnął się więc tylko, pokiwał kilka razy głową i zniknął w pokoju przesłuchań, który służył mu za gabinet.

Wyatt wykrzywił twarz w grymasie.

- O czym on, do cholery, mówi?

- Jedno jest pewne - odpowiedziała Chow. - W jego głowie jest mniej oleju niż w puszcze fistaszków.

- Co prawda, to prawda - zgodził się Porter. - Bez względu na to, kim jest.

Trochę zdezorientowana podeszłam do ekspresu kawowego, przy którym stali obok siebie Jasper, Sparrow i Arnie. Odniosłam wrażenie, że ten kąt to pokój wypoczynkowy asystentów.

Spotkałam się wzrokiem z Jasperem i skinęłam lekko ręką w kierunku detektywów.

- Jakim cudem udało im się przekopać przez ten bałagan?

- To nie oni się przekopywali - odparł Jasper. - To Sparrow i ja.

- Dlaczego? - zapytałam zdziwiona.

- Wszyscy wiemy, że pan Monk cierpi na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne.

- Chodzi chyba o to, że ma kuku na muniu - stwierdziła Sparrow.

- Ciągłe żyje w niebywałym stresie - mówił dalej Jasper, nie zwracając uwagi na przytyk Sparrow. - Dodatkowy nieład panujący wokół niego sparaliżowałby go całkowicie. Im większy komfort zapewnia mu jego otoczenie, tym większe jest prawdopodobieństwo, że będzie potrafił działać z najwyższą sprawnością.

Wszystko to prawda. Ale nasuwało mi się jedno, cyniczne pytanie.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - zaczęłam. - Ale cóż to za różnica dla ciebie, czy Monk odniesie sukces czy nie?

- Ludzie budzą moją troskę. W przeciwnym razie nie zagrzałbym długo miejsca w branży zdrowia psychicznego. Choć jak przypuszczam, można powiedzieć także, że w grę wchodzi samolubne zainteresowanie zdrowiem własnej pacjentki - dodał Jasper. - Nigdy wcześniej nie widziałem tak wy tłumionej paranoi u Cindy, a jej samej tak szczęśliwej.

- Wytłumionej? - zapytałam zdziwiona i zerknąłam w kierunku Cindy.

Chow szła w kierunku szafy z aktami, robiąc po drodze jakieś nagłe uniki, klucząc między biurkami i wybierając dalekie, okrężne przejście, byle nie widziały jej monitory, które musiała minąć.

- Wyszła dziś z domu bez radia przymocowanego do głowy - stwierdził Jasper. - To duży krok naprzód.

- Większość ludzi ma dzisiaj przymocowane do głowy różne dziwactwa od telefonów komórkowych - zauważyła Sparrow. - Jakoś nie widzę dużej różnicy między nią a nimi.

Jasper uśmiechnął się z wdzięcznością.

- To prawda, Sparrow. Chciałbym, żeby więcej ludzi miało takie światłe spojrzenie na sprawy zdrowia psychicznego jak ty.

Popatrzyłam na Sparrow.

- Rozumiem Jaspiera, ale jestem zaskoczona, że ty mu pomogłaś w tej małej grze.

- Ma ładny tyłek - rzuciła Sparrow beznamiętnym głosem, a Jasper oblał się rumieńcem. - Dla kogoś z ładnym tyłkiem potrafię zrobić naprawę wiele. Poza tym dziadek tego potrzebował. To mu przypomina, kim naprawę jest, więc nie muszę mu ciągle o tym przypominać. Wiem, że to pewnie ostatnia szansa, by mógł być sobą, zanim się kompletnie przemieni w szaloną krowę.

- Monk jest jedyną osobą, która integruje grupę - wyjaśniał dalej Jasper. - Nikt z nich nie powie tego głośno, ale właśnie w nim upatrują swoje nadzieje na ponowne wkupienie się w łaski departamentu.

- Sukinkot! - wrzasnął raptem Wyatt do nikogo

konkretnego. - Kto przykleił do biurka mój pojemnik na ołówki?!

Jasper przysiadł ze strachu za mną i za Sparrow. Oto cała odwaga: chowaj się za dziewczynami.

Wyatt odchylił się na krzesło, podniósł nogę i jednym kopnięciem usunął z biurka plastikowy pojemnik, roztrzaskując go w drobny mak i zostawiając jedynie przyklejone do blatu dno. Zadowolony wrócił do pracy.

- To postęć - zauważył Arnie. - Dawny „Szalony” Jack strzeliłby do pojemnika z pistoletu.

- Czy istnieje coś, do czego ten człowiek by nie strzelił? - zapytałam.

- Własna matka - odparł Arnie. - No... w każdym razie w ostatnim okresie.

Monk wszedł z powrotem na salę. Po raz pierwszy, odkąd przywrócono mu odznakę policyjną, wydawał się całkowicie rozluźniony. Podszedł do biurka Por ter a.

- Jak wyglądają przesłuchania tych domokrażców sprzedających przecenione i zalegające maga zyny buty do biegania?

Porter zerknął w notatki.

- Dostałem raporty z siedemnastu przesłuchań przeprowadzonych przez policjantów w terenie. Ża den ze sprzedawców nie rozpoznał pokazywanych im na zdjęciach kobiet, ale nazwiska, adresy i inne ważne dane każdej z przesłuchiowanych osób zabezpieczyłem na wypadek, gdybyśmy musieli jeszcze do nich wrócić.

Monk pokiwał z uznaniem głową.

- Tak pracujcie dalej.

- Nie wyjdę z za biurka, dopóki nie wyjaśnimy każdego szczegółu tej sprawy - oświadczył Porter.

- On nie żartuje - jęknęła Sparrow. - Mam nadzieję, że macie w tym budynku jakieś natryski.

Monk tymczasem przeszedł do biurka Cindy Chow.

- Udało się już natrafić na ślad prześladowcy Dianę Truby?

- To kwestia czasu, ustaliłam już, że ma krewnych w Sacramento, więc uczuliłam na sprawę tamtejszą policję i „chipisków” na całej trasie.

- Chipisków?

- CHP - wyjaśniła Chow. - Kalifornijską służbę drogową, czyli drogówkę. Gdzie pan był?

- Musiałem wyjść - odparł Monk.

- Był pan w instytucji państwowej czy prywatnej?

- W swoim mieszkaniu - odpowiedział Monk. - To w miarę prywatne miejsce.

- Uhm... - Chow pokiwała głową, jakby w słowach Monka krył się jakiś podtekst, a ona go doskonale rozumiała.

Ale w słowach Monka nie było podtekstu. W każdym razie ja tak myślę, że nie było.

- Dokonałam natomiast paru interesujących od kryć na temat Allegry Doucet - mówiła dalej Chow, czyniąc pauzę, by dodać wagi temu, co za chwilę miała powiedzieć. — Krótko przed przeprowadzką z Los Angeles do San Francisco Doucet spędziła kilka miesięcy z przyjaciółmi w Albuquerque.

Monk wruszył ramionami.

- To ma znaczenie?

Chow wyglądała na zdumioną.

- Ogromne - odparła. - W podziemiach bazy Sił Powietrznych Kirtland w Albuquerque mieści się kwatera główna agencji „Omega”, tajnej struktury

kierowanej wspólnie przez ludzi i kosmitów, która pociąga za sznurki wszystkich rządów świata. Właśnie tam mieszkają przybysze z kosmosu, najczęściej szarzy i zieloni, i właśnie stamtąd prowadzą eksperymenty nad kontrolowaniem umysłów, w tym projekt „Subzero”, który w gruncie rzeczy jest nielegalną i nieautoryzowaną przez władze odnogą operacji „Grillflame”.

- To ostatnie to prawda - wtrącił szeptem Jasper, podczas gdy Chow nie przestawała mówić.

- Mówisz o tych szarych i zielonych przybyszach z kosmosu? - zapytałam.

- O operacji „Grillflame” - odpowiedział Jasper. - CIA wydała dwadzieścia milionów dolarów na tajny program, którego celem było odczytywanie myśli agentów nieprzyjaciela poprzez wykorzystywanie medium, a także zmiana orbit wrogich satelitów i zlokalizowanie plutonu w Korei Północnej. Operacja zrodziła się w „MK-Ultra”, wydziale CIA do kontrolowania umysłów, stworzonym w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku, z wykorzystaniem sześciu procent całego budżetu CIA, a zlikwidowanym ostatecznie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim.

Patrzyłam na niego z otwartą buzią.

- Poważnie - zapewnił mnie. - To właśnie oni wprowadzili na ulice LSD i przez przypadek stworzyli kontrkulturę lat sześćdziesiątych.

Znowu na niego popatrzyłam.

- Szczera prawda - zarzekał się. - Sama możesz sprawdzić.

Jasper mnie przeraził. Chorobami psychicznymi zajmował się zawodowo. Jeśli na niego mogły się przenieść zaburzenia Cindy Chow, to co mnie

czeka po dłuższym przebywaniu w towarzystwie Monka? Ciekawe, kiedy zacznę mierzyć kostki lodu w zamrażarce, by być pewna, że są idealnymi sześcianami.

Rozmawiając z Jasperem i gubiąc się na minutę we własnym małym koszmarze, straciłam wiele z wywodów Cindy Chow, ale zapewne istotę tego, co mówiła, można bardzo łatwo streścić: kosmici piorą nam mózgi, sondują nasze cielesne otwory i kontrolują świat za pomocą łajdackich agencji rządowych.

- Co z Maksem Collinsem? - zapytał Monk. - Wiemy już coś o nim?

- Tu się zaczynają naprawdę ciekawe rzeczy - powiedziała Chow. - Fortuny dorobił się, tworząc zaawansowane oprogramowania na potrzeby systemów radarowych - tłumaczyła. - Jednym z jego największych klientów jest rząd Stanów Zjednoczonych. Teraz wystarczy połączyć kropeczki.

- Jakie kropeczki?

- Albuquerque. Systemy radarowe. Baza Sił Powietrznych Kirtland. Astrologia. Kosmici. Projekt „Subzero”. Roswell. Morderstwo. Czy mam narysować cały obrazek?

- Byłabyś uprzejma? Myślę, że bardzo nam się przyda. - Monk ruszył dalej, doszedł do biurka Wyatta i zamarł nagle, widząc, że na biurku brakuje pojemnika na ołówki. - Nie masz pojemnika na ołówki.

- Rozwaliłem trzy dziuple, ale po samochodzie pani Yamada nie ma śladu - powiedział Wyatt. - Na pewno jest już rozebrany na części i leci gdzieś do Meksyku, Chin albo Afryki Południowej. W przyszłym tygodniu o tej porze przednie siedzenia jej auta będą zamontowane w jakiejś taksówce w Manili.

- Na innych biurkach stoją pojemniki na ołówki - powiedział Monk. - Tylko na twoim nie.

- Mądrale z laboratorium próbują ustalić, czy ślady po oponach ze skrzyżowania odpowiadają śladom na posadzce w jej garażu - mówił dalej Wyatt. - Sprawdzam też, gdzie przebywała w czasie popełnienia morderstwa. Twierdzi, że była w domu u swojego chłopaka, a on potwierdza jej wersję, ale jestem pewien, że łączy zamian za obietnicę jakiejś części z odszkodowania Yamady. Złamię go, nawet jeśli miałbym to zrobić własnymi rękami.

- Musimy znaleźć dla ciebie coś na ołówki. - Monk odwrócił się do Curtis, która stała z boku, czekając na rozkazy. - To bardzo pilne, proszę znaleźć pojemnik na ołówki pasujący do wszystkich pozostałych.

Curtis skinęła głową i zanotowała coś w notatniku.

- Pojemnik na ołówki. Bardzo pilne. Mam.

- Przepraszam - usłyszeliśmy raptem czyjś głos. Odwróciliśmy się jak na komendę i zobaczyliśmy

w progu mężczyznę w wieku około trzydziestu lat, eskortowanego przez dyżurnego policjanta. Przybysz był chudy, miał długą szyję, długie ręce i wąską twarz. Drżał raz po raz niespokojnie, jakby przez jego kościste ciało przebiegał jakiś prąd, i nerwowo pociągał za kępkę włosów na brodzie.

- Kto tu jest szefem?

Monk wystąpił.

- Sądzę, że chodzi o mnie.

- Niech pan się przygotuje na wypisanie potężnego czeku - powiedział mężczyzna. - Mogę wam wydać „Dusiciela Golden Gate”.



## Monk dowodzi antyterrorystami

Monk natychmiast zaprowadził mężczyznę do pokoju przesłuchań. Poszłam tam za nim, choć nie byłam policjantką i nikt mnie nie zapraszał. Jestem całkowicie pewna, że w podobnej sytuacji doktor Watson też poszedłby za Sherlockiem Holmesem.

- Jestem kapitan Adrian Monk. Kim pan jest?
- Nazywam się Bertrum Gruber.
- Może pan zacząć rozpinać koszulę, panie Gruber - powiedział Monk.
- Nie przyszedłem na badanie do lekarza.
- Przy zapinaniu pominął pan dziurkę — stwierdził Monk. - Cała pańska koszula jest nierówno zapięta.
- Cóż z tego?
- Znajduje się pan na posterunku policji. Naszym zadaniem jest zaprowadzać prawo i ład - oświadczył Monk. - Pan, drogi panie, narusza ten ład.
- Panie Monk - wtrąciłam. - Ten człowiek posiada informacje, które mogą doprowadzić do aresztowania „Dusiciela Golden Gate”.
- Właśnie. Mam takie informacje - powiedział Gruber.
- Jak mogę ufać człowiekowi, który jest pijany i rozchełstany?

- Wcale nie jestem pijany - zaprotestował Gruber.

- To dlaczego jest pan rozchełstany?

Gruber zaczął niechętnie rozpinąć koszulę, a Monk odwrócił się do niego plecami i dał mi znak, żebym zrobiła to samo.

- Ja się nie wstydzę - powiedział Gruber.

- Powinien pan — stwierdził Monk.

- Co pan wie o „Dusicielu”? - zapytałam, odwrócona do niego tyłem.

- Przy parku McKinley jest osiedlowy ogródek. W sobotę wczesnym ranem wyszedłem tam podlać swoje truskawki. Akurat się pochylałem, wie pan, aby je podlać, kiedy zobaczyłem, jak ten facet wychodzi z ogródka dla psów, no ale nie prowadził żadnego psa. Nie widział mnie. Najdziwniejsze było to, że do piersi przyciskał kurczowo sportowy but, jakby był ze złota czy co...

But!

Serce mi zamarło. Gdyby Monk wiedział, co się dzieje z moim sercem, domagałby się zapewne, żeby zabiło szybciej i nadrobiło opóźnienie.

Monk się odwrócił. Ja również.

- Nadal ma pan źle zapiętą koszulę - zauważył natychmiast.

Gruber spojrział w dół.

- Nieprawda.

Jednak była to prawda. Monk obrzucił mnie błagalnym spojrzeniem.

- Chyba nie chce pan, żebym zapięła mu koszulę? - zapytałam.

- Okaż bliźniemu trochę współczucia - powiedział Monk.

- Jasne - ucieszył się Gruber. - Proszę okazać mi współczucie.

Wiedziałam, że przy niedopiętej koszuli Monk nie będzie mógł się skoncentrować. Musiałam się poświęcić dla dobra zespołu. Westchnęłam ciężko i rozpięłam koszulę Grubera, odsłaniając kościstą, zapadłą klatkę piersiową. Gruber wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nieźle muły, hm? Dużo ćwiczę.

- Naprawdę należy mi się duża podwyżka - mruknęłam do Monka, ale on znowu stał odwrócony do nas plecami.

- Proszę powiedzieć coś więcej o mężczyźnie, którego pan widział - polecił Monk.

- Tęgi, biały facet, mocno po trzydziestce, może nawet w okolicach czterdziestki, średniego wzrostu, z tłustymi włosami i wielkimi, okrągłymi policzkami, jakby trzymał w ustach parę piłek tenisowych.

Zapięłam mu koszulę, najszybciej jak potrafiłam.

- Zrobione - zameldowałam.

- Jeśli kiedyś się pani przyśni ta chwila, proszę się odezwać - powiedział Gruber. - Zabiorę panią w rejs jachtem.

- Pan ma jacht? - powątpiewałam.

- Niedługo będę miał. - Mrugnął do mnie. - Jest na pierwszym miejscu listy rzeczy, które kupię po zainkasowaniu dwustu pięćdziesięciu patoli.

- Jak na razie nic istotnego nam pan nie powiedział - odezwał się Monk.

- Jeszcze nie skończyłem - odparł Gruber. - Facet wyszedł z ogródka, wytarł o krawężnik but z psiego gówna, a potem wsiadł do samochodu, forda

taurusa z dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, ze zbitym tylnym światłem z lewej strony i wgnieceniem na zderzaku. Niebieski metalik. Numer pana też interesuje?

- Zapamiętał pan numer rejestracyjny? - zapytał zdumiony Monk.

- Tylko ostatnią literę i cyfry, bo to data urodzin mojej mamy - odpowiedział Gruber. - „M, pięć, sześć, siedem”. Maj, piątego, sześćdziesiątego siódmego roku.

- Proszę tu chwilę poczekać - powiedział Monk. -Mamy tu ładne lustro. Pod naszą nieobecność może pan poćwiczyć zapinanie koszuli.

Kiedy tylko wyszliśmy z pokoju, Monk podszedł prosto do Susan Curtis, która, podobnie jak wszyscy inni, czekała niecierpliwie na wiadomości.

- Musi pani natychmiast sprawdzić pewien numer rejestracyjny - powiedział. - Końcówka numeru to „M, pięć, sześć, siedem”.

- Z samą końcówką numeru dostaniemy setki trafień.

- Interesują mnie fordys taurusy - uściślił Monk. Curtis usiadła przy komputerze i zaczęła wpisywać dane.

- Co pan sądzi o tej teorii? - zapytałam.

- Wiedział o lewym bucie. Tej informacji nie podawaliśmy do publicznej wiadomości. Powiedział również, że mężczyzna wychodził z ogródka dla psów, a dokładnego miejsca zbrodni również nie określaliśmy w mediach.

- Zatem to dobry trop.

- Nie ufam mu - stwierdził Monk.

- Mówi pan tak tylko dlatego, że miał źle zapiętą koszulę.

- Nic nie zdradzi lepiej charakteru mężczyzny - zauważył Monk. - Wcale mnie nie zdziwiło, że kłamał.

- W czym kłamał?

- Kiedy mówił, co rano robił w parku - wyjaśnił Monk.

- Skąd pan wie?

Proszę, znowu to samo pytanie. Powinnam je sobie wydrukować na koszulce razem z paroma innymi równie często zadawanymi pytaniami i wkładać tę koszulkę codziennie do pracy jak zakładowy uniform.

- Mówił, że doglądał truskawek.

- Rzeczywiście są tam jakieś grządki - powiedziałam. - Ludziom wolno hodować, co im się podoba.

- Ale jest za wcześnie na sadzenie truskawek. Najlepszy okres na truskawki przypada między pierwszym a dziesiątym listopada, kiedy można złapać zimowy chłód. W przeciwnym razie obrodzi niewiele owoców.

- Niewykluczone jednak, że Gruber jest po prostu kiepskim ogrodnikiem, prawda? - zauważyłam. - Ja też nie wiem, kiedy jest najlepsza pora sadzenia truskawek.

W tej chwili odezwała się Curtis.

- Panie kapitanie, z tego fragmentu numeru trafiłam tylko na jednego forda taurusa z dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Jest zarejestrowany w San Francisco na nazwisko Charliego Herrina.

- Znam to nazwisko - powiedział nagle Porter.

- Zna pan? - zapytał Monk.

- Wydaje mi się, że to moje nazwisko - odpowiedział z namysłem Porter.

- To nie twoje nazwisko, dziadku - wtrącała się Sparrow. - Ty się nazywasz George Clooney.

- W takim razie musi być inny powód, że to nazwisko chodzi mi po głowie. - Porter zaczął wertować kartki na biurku. - O, jest! Charlie Herrin. Na pchlim targu w Mission District sprzedaje buty wycofane ze sklepów.

Znowu serce mi zamarło. Jeśli tak dalej pójdzie, to będę musiała umówić wizytę u kardiologa.

Zabójcą musiał być Herrin. W przeciwnym razie wszystkie fakty, które połączyły się ze sobą w idealną całość, można uznać za największy zbieg okoliczności w historii zbiegów okoliczności.

Jedynym minusem całej sprawy było to, że Bertrum Gruber zainkasuje za wskazówki dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nie ukrywam, że byłam zazdrosna i głęboko urażona. Monk rozwikływał w ciągu jednego roku osiemnaście czy dwadzieścia spraw o morderstwo i dostawał za konsultacje łącznie honorarium, z którego przypadła mi moja żalosna pensyjka. Tymczasem byle palant wyskakuje z numerem rejestracyjnym jakiegoś samochodu i zarabia na tym ćwierć miliona dolarów. Aby zgromadzić taką sumę, Monk musiałby przepracować dla miasta wiele lat.

Wyatt podniósł się z krzesła i spojrzał w monitor nad ramieniem Curtis.

- Masz adres zamieszkania Herrina?

Curtis przytaknęła.

- Właśnie się drukuje.

Wyatt podszedł zdecydowanym krokiem do drukarki i wyrwał z niej zadrukowaną kartkę papieru.

- Mieszka w jakiejś melinie w Mission District.

Musimy jak najszybciej ściągnąć jednostkę antyterrorystyczną i zdjąć gościa.

- Nie możemy po prostu zapukać do drzwi i sprawdzić najpierw, czy jest w domu? - zapytał Monk. - Ja tak postępuję w każdym razie.

- Mamy do czynienia z psycholem. Paru mundurowych wypytywało go dzisiaj na temat zabitych kobiet, więc doskonale wie, że jest tylko kwestią czasu, kiedy dobierzemy mu się do tyłka - mówił Wyatt. - Albo dał drapak, albo się okopał i będzie walczył.

- Ma rację - zgodził się Jasper. - Oczywiście z psychologicznego punktu widzenia.

- Jestem pewien, że wkurzyło go pojawienie się policji w miejscu, gdzie robi interesy - powiedział Arnie. - Jednak pojawienie się policji w domu, naruszenie jego prywatnej przestrzeni, po prostu go rozjuszy.

Monk pociągnął mnie w kąt i szepnął do ucha.

- Co mam robić?

- Niechętnie to mówię, ale Wyatt prawdopodobnie ma rację - stwierdziłam. - Jeśli ktokolwiek jest tu władny poprowadzić operację taktyczną, to tylko on. Proszę tylko dopilnować, by od stóp do głów był pan ubrany w kamizelkę kuloodporną.

- Naprawdę muszę przy tym być? - jęknął Monk.

- Jest pan kapitanem.

Jednostka antyterrorystyczna zebrała się na parkingu przed hipermarketem Safeway, za rogiem ulicy, przy którym mieszkał Charlie Herrin.

Monk stał w kamizelce kuloodpornej, a trzydziestu antyterrorystów ostatni raz sprawdzało

uzbrojenie i sprawność sprzętu radiowego. Miałam wrażenie, że Monk czuje się w kamizelce mało komfortowo, a w całym tym otoczeniu jakoś niezręcznie i wstydliwie; jakby był jedynym hetero w barze dla gejów (jeśli to miałyby mu się kiedykolwiek przytrafić). Nie był w stanie ułożyć sobie prosto słuchawek na głowie ani ustawić mikrofonu przed ustami, co prawdopodobnie odciągało jego myśli od tego, jak fatalnie się tu czuje.

Za to Wyatt zdawał się czuć jak ryba w wodzie. Kamizelka kuloodporna leżała na nim jak ulał; zaczęłam się nawet zastanawiać, czy nie kazał jej sobie uszyć na miarę. Na masce radiowozu rozłożył naszkicowany plan domu Charliego Herrina i szeptem wydawał oficerom poufne rozkazy. Monk tymczasem stał z boku i wciąż poprawiał słuchawki na głowie, aż wreszcie stwierdził, że leżą idealnie równo.

Kiedy Wyatt skończył odprawę, wszyscy zsynchronizowali zegarki i zajęli pozycje. Wyatt spojrział na Monka z głęboką dezaprobatą.

- Ma pan broń? - zapytał.

Monk sięgnął do kieszeni i wyciągnął pół tuzina dezynfekujących chusteczek higienicznych.

- Zabijają zarazki - powiedział z zadowoleniem.

Wyatt skrzywił się z niesmakiem.

- Niech się pan trzyma blisko mnie i chowa, gdy wybuchnie strzelanina.

Monk przytaknął zgodliwie.

- Kiedy mam przyspaść do ziemi?

- Nigdy.

- Jestem jednak pewien, że czasem mi się zdarza - mówił Monk. - Pomyślałem, że może byłoby dobrze, gdybym wcześniej trochę poćwiczył, łatwiej



będzie mi wtedy przypaść do ziemi w razie rzeczywistej konieczności.

Wyatt pokręcił tylko głową i odszedł. Dogonił go Arnie.

- Niech pan pamięta o ćwiczeniach oddechowych, których pana uczyłem - mówił szybko. - Niech pan zachowa spokój i pełną koncentrację.

- Kiedy mam w ręku broń, zawsze jestem spokojny i skoncentrowany - odpowiedział Wyatt.

- Niech pan nie pozwoli, by kierował panem gniew - powiedział Arnie. - To pan musi kierować gniewem. Niech pokieruje nim pan do garażu i tam spokojnie go zaparkuje.

Wyatt obrzucił go stalowym spojrzeniem. Arnie skurczył się i czym prędzej wycofał.

Ponieważ byliśmy z Arniem zwykłymi cywilami, nie zezwolono nam na udział w akcji. Byłam za to bardzo wdzięczna. Pozwolono nam natomiast wygodnie obserwować całą operację w mobilnym centrum dowodzenia zorganizowanym w starym, odpowiednio wyposażonym kempingowym winne-bego, w którym na ekranach telewizyjnych monitorów mieliśmy podgląd miejsca akcji, transmitowany na żywo z mikrokamer zamontowanych na hełmach funkcjonariuszy SWAT.

Mieście więc na uwadze, że tak naprawdę nie było mnie na miejscu zdarzenia. Moja relacja opiera się na obrazie z kamer przekazywanym do centrum dowodzenia i na tym, co opowiadał później sam Monk, jeśli więc mój opis zabrzmi nieco wszechwiedząco, to już wiecie dlaczego.

Antyterroryści rozproszyli się wokół budynku, zajmując pozycje przy kilku różnych, możliwych wejściach. Poruszali się z choreograficzną precyzją,

oczywiście poza Monkiem, który zachowywał się jak tancerz nie umiejący dotrzymać kroku całemu baletowi. Wyatt nieustannie go wpychał w układ formacji.

Zanim weszli na piętro Herrina, najpierw funkcjonariusze wyprowadzili z budynku mieszkańców parteru. Widziałam, że korytarz na piętrze był wąski i słabo oświetlony, dywan na podłodze był czymś zaplamiony, a ze ścian schodziła stara farba.

Wyatt i policjanci przywarli szybko do ściany, tymczasem Monk robił wszystko, aby się o nią nie otrzeć i nie nadepnąć na płamę na podłodze; wyglądał przy tym, jakby grał w klasy.

Policjanci zajęli miejsca po obu stronach drzwi do mieszkania Herrina, z wycelowaną bronią. Wyatt wystąpił naprzód i potężnym kopnięciem wyważył z hukiem drzwi. Skoczył szczupakiem do wnętrza, przeokoziółkował parę razy po podłodze i podniósł się błyskawicznie w pozycji strzelca gotowego do strzału. Tuż za nim wpadli do środka antyterrorysty, mierząc z broni w gigantyczny plakat Jessiki Simpson w króciutkich szortach i bluzce bez rękawów. U jej stóp, na malutkim stoliczku, leżał stos ułożonych lewych butów do biegania.

Puste mieszkanie w jednej sekundzie zaroilo się od policjantów, którzy w błyskawicznym tempie otwierali kolejne drzwi, upewniając się, że nikt się nie ukrywa w łazience czy sypialni. Kiedy Wyatt szarpnął drzwi garderoby, wypadła z niej drabina, do której o mało nie zaczął strzelać.

Monk wyszedł zza policjantów i szybko podszedł do butów.

- Natychmiast zabierzcie je na komendę - polecił najbliższemu stojącemu policjantowi.

Kilku policjantów zaczęło wykonywać rozkaz Monka i pakować buty do torby.

- Schować broń - polecił swoim ludziom Wyatt i włożył pistolet do kabury. - Wygląda na to, że się spóźniliśmy.

Monk zaczął obchodzić nieduży pokój dzienny, przyglądać się tanim meblom z komisju, katalogom obuwia i prasie z dziedziny pediatrii. Naraz zatrzymał się przy stoliku do kawy i przykucnął, by dokładnie się przyjrzeć drobnemu, białemu proskowi na blacie.

Zmarszczył brwi. Powoli spojrzął na sufit i raptem zobaczył tam szparę, otwierającą się szeroko niczym zamek błyskawiczny. Kiedy zaczął sobie uświadamiać, co oznacza szpara i rozsypany proszek, sufit po prostu się rozwarł, a na Monka spadł pokruszony tynk, kawałki drewna, izolacji i potężny grubas.

Wrzasnęłam dziko, podrywając na nogi wszystkich w mobilnym centrum dowodzenia, co nie było najmądrzejszym zachowaniem. Kiedy policjant jest wystraszony, w pierwszym odruchu sięga po broń. W ułamku sekundy mierzyły we mnie lufy trzech pistoletów. Natychmiast przestałam się martwić o Monka, a zaczęłam drżeć o własne bezpieczeństwo.

- Przepraszam — bąknęłam nieśmiało.

Zdenerwowani policjanci powoli zaczęli wkładać

broń do kabur i po chwili znowu wszyscy przyglądaliśmy się wydarzeniom na ekranach monitorów.

- Spokojnie - powiedział do mnie Arnie. - Co jak co, ale to Wyatt potrafi najlepiej.

Charlie Herrin stanął z trudem na nogi, unosząc z sobą Monka. Jedną ręką obejmował jego pierś, a drugą przykładał mu do głowy pistolet.

Wszyscy antyterrorysty przebywający w ciasnym mieszkaniu w jednej chwili obrócili się na pięcie i wycelowali broń w Herrina i Monka.

- Rzućcie spluwy, bo roztrzaskam mu czaszkę - warknął chrapliwym głosem Herrin, kaszląc od pyłu, który okrył ich obu.

- Słyszeliście człowieka, opuśćcie broń - powiedział Wyatt, który sam jednak wyszedł przed innych i wymierzył pistolet prosto w brzuch Monka. - Przy takich cenach amunicji musimy oszczędzać.

Policjanci posłuchali rozkazu Wyatta.

Monk usiłował otrząsnąć się z pyłu, ale zniechęcony, kiedy Herrin niemal wcisnął mu lufę w ucho.

- Przestań się wiercić - powiedział do Monka, a potem przeniósł uwagę na Wyatta. - Ty też odłóż broń.

Wyatt potrząsnął głową.

- Mam zupełnie inne plany, chojraku. Zastrzeleż zakładnika.

Monk rozszerzył oczy.

- Dobrze, to jeden dobry pomysł — powiedział. - Odłóżmy go jednak na chwilę na bok i zastanówmy się, czy możemy we trzech połączyć wysiłki umysłów i znaleźć inne rozwiązanie.

- Kulka przeszyje go jak ciasto - powiedział Wyatt do Herrina - i ugrzeźnie głęboko w tym twoim pękатыm brzuszysku.

- Będę strzelał - ostrzegł Herrin. - Cały pokój zbryzgam jego mózgiem.

- Zakwilisz, zlejesz się, narobisz w gacie - mówił Wyatt. - Ale na pewno nie wystrzelisz.

- Hej, mam pomysł. Co powiecie na to, żeby odłożyć pistolety i siłować się na ręce? - odezwał

się znowu Monk. - Będzie fajna zabawa i co ważne, zostawimy po sobie porządek.

- Obaj będziecie żyli, a ja stracę tylko jeden pocisk - ciągnął tymczasem Wyatt, puszczając propozycję Monka mimo uszu. - Gdybym natomiast miał ci przestrzelić oba kolana, a potem jeszcze wpakować kulkę w łeb, gdy puścisz zakładnika, to spożytkuję aż trzy pociski. Kosztowna sprawa, zważywszy na moją pensję.

- On ma kamizelkę z kevlaru - powiedział Her-  
rin, mocno przyciskając Monka do siebie. - Ośłoni  
mnie.

- A ja mam broń załadowaną pociskami an-  
typolicyjnymi - odparł Wyatt. - Rozwałą każdą  
kamizelkę

- Są nielegalne!

- Aresztujesz mnie, chojraku? - warknął Wyatt. -  
Takie kule przemkną przez kevlar jak przez papier  
toaletowy. Kiedy w agonii będziesz się wił w kałuży  
własnych ekskrementów, wycisnę z ciebie każde  
zeznanie.

- Zdecydowanie żądam, aby naszą patową sytu-  
ację rozwiązać z wyłączeniem ekskrementów — ode-  
zwał się przestraszony Monk. - Proponuję puścić  
Charliego, policzyć do dziesięciu i zacząć pościg, co  
wy na to? Myślę, że to doskonałe rozwiązanie dla  
każdego z nas.

- I co powiesz, chojraku? - Wyatt naciągnął  
cyngiel. - Gotowy na chwilę dobrej zabawy?

- Wielki postęp - powiedział do mnie Arnie,  
kiwając głową z aprobatą.

- Postęp? - zapytałam z niedowierzaniem. -  
Wyatt mówi, że zakończy sprawę, strzelając Mon-  
kowi w brzuch!

- Czyż to nie wspaniałe?  
- Jakoś mi się nie wydaje.  
- Stary Wyatt dawno by strzelił, nie marnując czasu na gadanie. - Arnie się uśmiechnął z zadowoleniem. - To dla niego ogromny krok do przodu.

Nie miałam cienia wątpliwości, że Wyatt by strzelił. Jestem pewna, że Monk także nie miał wątpliwości, a najwyraźniej również Charlie Herrin. Zabójca rzucił pistolet, wyszedł zza Monka i podniósł ręce.

Dwóch antyterrorystów błyskawicznie zważyło go z nóg, przygwoździło do podłogi i zakłuło w kajdanki. W tym czasie Wyatt włożył pistolet do kabury i podszedł do Monka, który nerwowo otrząpywał ubranie, podskakiwał i potrząsał całym ciałem, żeby się oczyścić z pyłu.

Wyatt z rozczarowaniem pokręcił głową, patrząc na Herrina.

- Zepsułeś całą zabawę - powiedział z wyrzutem.

- Stary manewr z mierzeniem do zakładnika - powiedział Monk, wciąż strzepując z siebie pył. - Wierzyć się nie chce, że ludzie wciąż dają się na to nabrać.

- To nie był żaden manewr. Zawsze strzelam do zakładnika - odpowiedział Wyatt. - To znaczy zawsze do dzisiaj. Chyba za bardzo mięknę.

- Nikt przy zdrowych zmysłach by tego nie zrobił - powiedział zdumiony Monk.

- Cóż, czasem warto mieć lekkiego bzika. To zapewnia ten moment przewagi nad innymi - powiedział Wyatt. - Kto jak kto, ale pan powinien to zrozumieć.

Mrugnął do Monka, posłał mu jeszcze cyniczny uśmiech i wolnym krokiem wyszedł z mieszkania.

## Monk i konferencja prasowa

Charlie Herrin siedział w policyjnej celi, korzystając z prawa do odmowy zeznań. Wyatt się upierał, że potrafiłby przekonać Herrina, by stał się bardziej rozmowny, ale Monk podjął mądrą decyzję i nie przyjął oferty detektywa.

Laboratorium kryminalne w krótkim czasie potwierdziło, że w kolekcji Herrina znajdowały się buty należące do trzech zamordowanych kobiet. Znalezione na nich czerwony pył pochodzący ze ścieżki w parku McKinley, a w fordzie taurusie zdjęto ślady dotyczące dwóch wcześniejszych zabójstw, niezbitnie łączące Herrina z tymi morderstwami.

Chociaż w mieszkaniu Herrina policja znalazła dziesiątki innych lewych butów do biegania, to Monk nie uważał, by były to pamiątki po podobnych zabójstwach popełnionych przez Herrina. Skłonny był raczej sądzić, że Herrin od lat podkradał kobietom buty, a dopiero w ostatnim czasie zaczął mordować. Mimo to Monk poprosił Franka Portera, by sprawdził przeszłość Herrina i skontaktował się z organami ścigania w miastach, w których wcześniej mieszkał. Niezależnie jednak od tego, co mogło przynieść dalsze śledztwo, jedno było pewne: sprawę „Dusiciela Golden Gate” uznano za zamkniętą.

Dosłownie kilka minut po zatrzymaniu Char-

lięgo Herrina do komendy zatelefonował burmistrz Smitrovich, aby pogratulować Monkowi sukcesu i zorganizować jeszcze tego wieczoru wspólną konferencję prasową, na której podaliby tę ważną informację do publicznej wiadomości.

- Jakim cudem burmistrz dowiedział się tak szybko? - zapytałam Monka.

Zanim zdążył odpowiedzieć, odezwała się Cindy Chow:

- Wszędzie ma szpiegów.

Niechętnie, ale musiałam przyznać, że prawdopodobnie ma rację. Bo jak inaczej można to wyjaśnić?

Skoro jednak mógł nas inwigilować burmistrz miasta, to mimowolnie zaczęłam się zastanawiać, kto jeszcze może nas podglądać i podsłuchiwać. Próbowałam nie rozmyślać nad tym zbyt wiele, bo sprawy mogłyby mi się wymknąć spod kontroli i zanimbym się obejrzała, aluminiowej folii używałabym do owijania głowy, a nie resztek obiadu.

Jasper się palił, żeby przesłuchać Charliego Herrina i wgłębić się w osobiwą u zabójcy kwestię fetysza lewego buta, jednak Monk się nie zgodził. Sprawę przejmował prokurator okręgowy, który miał do dyspozycji własnego biegłego psychiatrę.

- Z tym gościem mógłbym zrobić epokowy doktorat - jęczał zrozpaczony Jasper.

- Co się stało z twoją teorią niemal Jungowskiej wspólnej nieświadomości wśród paranoidalnych schizofreników? - zapytałam.

- Co twoim zdaniem wywrze większe wrażenie na ludziach, studia nad paranoidalną schizofrenią - mówił Jasper - czy przeprowadzona z punktu widzenia psychiatrii sądowej analiza psychopatycznego



mordercy dotkniętego fetyszyzmem stopy, który zabija kobiety i kolekcjonuje ich lewe buty? O czym wolałabyś przeczytać?

Jasper trafił w sedno.

Następne kilka godzin Monk spędził w swoim gabinecie, spisując na osobnych karteczkach uwagi na konferencję prasową. Ćwiczył w mojej obecności, czytając na głos tekst z kolejnych fiszek.

Najpierw się przedstawił, potem podziękował swoim detektywom, wymieniając ich z imienia i nazwiska i podkreślając ich poświęcenie i ciężką pracę, a na koniec podsumował przemówienie apelem do władz miasta, by poprawiły stosunki z siłami policji, przywracając funkcjonariuszom poważanie, dobry pakiet socjalny oraz wynagrodzenie, na jakie zasługują swoją niestrudzoną służbą na rzecz społeczności.

- Wspaniała przemowa, panie Monk - pochwaliałam. - Ale czy nie zamierza pan podziękować Bertrumowi Gruberowi za podanie informacji prowadzących do ujęcia sprawcy?

- Nie.

- Też za nim nie przepadam, ale nie może pan zaprzeczyć, że bez niego nie doszłoby do dzisiejszego aresztowania.

- Oszukał nas - powiedział Monk.

- Charlie Herrin nie jest „Dusiciem”?

- Jest - odpowiedział Monk.

- Czy to nie numer rejestracyjny podany przez Grubera pozwolił panu wytypować Herrina z całej plejady podejrzanych?

- Jak najbardziej - odparł Monk.

- Uważa pan, że Gruber miał coś wspólnego z tymi morderstwami?

- Nie.

- W takim razie gdzie tu oszustwo?

Doprawdy, ze szczerą niechęcią broniłam Grubera, ale musiałam mu oddać tę sprawiedliwość, że odpowiedział na apel policji i zgłosił wszystko to, co widział.

- Gruber kłamie - orzekł Monk.

- Chyba nie ma pan na myśli tych truskawek, hm?

- Gruber ma ponad trzydzieści lat. Tymczasem powiedział, że zapamiętał fragment numeru rejestracyjnego, „M, pięć, sześć, siedem”, ponieważ kojarzył mu się z datą urodzenia jego matki; maj, piątego, sześćdziesiątego siódmego roku. Oznaczałoby to jednak, że mama urodziła go w wieku dziesięciu lat.

W porządku, musiałairuprzyznać mu rację. Z jakiegoś powodu Gruber nie był do końca szczery w kwestii źródła swoich informacji. Ale trudno było zaprzeczyć ostatecznemu dobremu rezultatowi jego zachowania.

- Co za różnica, skąd Gruber wziął numery samochodu? Mordercą okazał się Herrin i dzięki Gruberowi nie grasuje już po ulicach miasta - powiedziałam. - Wszystkie te buty do biegania znowu są razem w parach. Wszechświatowi została przywrócona równowaga.

- Poza jednym - odpowiedział Monk. - Gruber nas oszukał.

- Więc gdzie jeszcze brakuje tej równowagi?

- We mnie.

Konferencja prasowa odbyła się wieczorem tego samego dnia, w majestatycznej rotundzie miejskiego ratusza, u stóp wielkich marmurowych schodów

otoczonych bogato zdobionymi kolumnami wzniesionymi z wapienia przywiezionego z Kolorado, z kapitelami dekorowanymi wolutami i liśćmi akantu.

Wnętrze rotundy było efektownie doświetlone; wpadające światło miało podkreślać ciąg elegancji galerii, ożywić płaskorzeźby różnych postaci z greckich mitów na ścianach i stworzyć misterne wzory świetlnych smug na różowej posadzce z marmuru z Tennessee.

Burmistrz Barry Smitrovich stał za mównicą, mając z jednej strony Bertruma Grubera, a z drugiej Monka. Bertrum Gruber, ubrany w nowiutki, kupiony w zwykłym sklepie garnitur, nerwowo pociągał palcami swoją kozią bródkę. Monk przeglądał fiszki z notatkami.

Stałam za plecami Monka obok pary asystentów burmistrza, którzy trzymali ogromną reprodukcję czeku na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, wypisanego na nazwisko tego dziwoląga Bertruma Grubera.

Audytoryum stanowiło ledwie sześciu dziennikarzy, dwóch fotografów przy statywach i czterech kamerzystów. Ale w dzisiejszych czasach nie ma znaczenia, ile osób przyjdzie na konferencję prasową; ważne jest, ilu ludzi wysłucha relacji w Internecie. Wystarczy, że pojawi się jedna osoba z kamerą, laptopem i stałym łączem internetowym, by dotrzeć do milionów potencjalnych słuchaczy i widzów na całym świecie.

Burmistrz wstąpił dziarsko na mównicę i posłał szeroki uśmiech od prawa do lewa, odgrywając swoją rolę nie przed tą zebraną w ratuszu garstką ludzi, lecz przed tymi niewidocznymi, potencjalnymi milionami.

- Mam przyjemność zakomunikować państwu, że dokonano zatrzymania sprawcy w sprawie „Dusiciela Golden Gate”. Mieszkańki naszego wspa-  
niałego miasta znów mogą się czuć bezpiecznie na  
jego ulicach - oznajmił Smitrovich. - Ujęcie  
zabójcy nastąpiło w wyniku intensywnych działań  
policji i społeczności naszego miasta,  
zjednoczonych wspólnym celem.

- Co może pan powiedzieć o podejrzanym? -  
krzyknął jeden z reporterów.

- Tylko tyle, że się nazywa Charlie Herrin, to  
wszystko, co mogę ujawnić na tym etapie śledztwa  
- oświadczył Smitrovich. - Natomiast mogę jeszcze  
powiedzieć, że podejrzany wciąż cieszyłby się  
wolnością, gdyby nie świadek, który zgłosił się na  
policję i udzielił istotnych informacji. Za ten  
obywatelski akt odwagi mam przyjemność wręczyć  
panu Bertrumowi Gruberowi nagrodę w wysokości  
dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Burmistrz skinął na Grubera, by wystąpił na-  
przód, a obaj asystenci przekazali Gruberowi gi-  
gantyczny czek.

- To dla mnie zaszczyt, że mogę panu przeka-  
zać czek na sumę dwustu pięćdziesięciu tysięcy  
dolarów, w nagrodę za pańską czujność, odwagę  
i bezinteresowność. — Smitrovich mocno  
potrzęsnał  
ręką Grubera.

Pomyślałam, że jeśli burmistrz ma zamiar cią-  
gnąć dalej tę tyradę, to będzie mi potrzebna torebka  
na wymioty.

- Jako mieszkaniec San Francisco wypełniłem  
tylko swój obywatelski obowiązek - odpowiedział  
Gruber. - Tak samo postąpiłbym bez obietnicy na  
grody.

- Czyżby zamierzał pan przekazać te pieniądze miastu? - zapytał burmistrz.

- Nie sądzę, Barry - odparł Gruber.

Wzbudził tym gromki śmiech wśród zgromadzonych w rotundzie, na tyle głośny, by nikt, poza stojącymi najbliżej, nie mógł usłyszeć, jak Smitrovich mówi do Grubera bez krzty humoru: „Dla ciebie jestem panem burmistrzem”.

Pozowali jeszcze przez chwilę fotografom, potrząsając swoimi dłońmi w długim uścisku przed wielkim tekturowym czekiem, a potem burmistrz znowu wstąpił na mównicę.

Gruber mrugnął do mnie. Odwróciłam wzrok. Czyżby naprawdę sądził, że padnę mu do stóp, bo stał się bogatszy o dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

- Choć informacja pana Grubera doprowadziła do aresztowania sprawcy, to zapewne okazałaby się bezużyteczna, gdyby nie fakty skrzętnie gromadzone przez kapitana Adriana Monka - powiedział burmistrz. - Niespełna czterdzieści osiem godzin wcześniej osobiście wyznaczyłem go do przejęcia śledztwa, które prowadzone przez detektywów żądających więcej przywilejów i porzucających miejsca pracy utknęło w martwym punkcie. Tym właśnie detektywom, uczestniczącym dzisiaj w nielegalnym strajku, mówię: Wstyd! Kapitanowi Monkowi mówię: Dziękuję. Nie tylko za schwytanie zwyrodniałego przestępcy, ale również za udowodnienie, że Departament Policji San Francisco może być sprawniejszy w działaniu, mimo że zatrudnionych jest mniej detektywów.

Burmistrz i jego podwładni zaczęli klaskać, Monk jednak nawet nie podniósł oczu znad fiszek. Nachyliłam się do jego ucha.

- Musi pan coś powiedzieć w obronie kapitana Stottlemeyera - szepnęłam. - Nie może pan pozwolić, żeby burmistrz tak pana wykorzystywał.

- Nic się nie martw - odpowiedział Monk. - Właśnie nad tym myślę.

Burmistrz skinął na Monka, zapraszając go na mównicę. Uścisnęli sobie dłonie.

- Dziękuję, panie burmistrzu - powiedział Monk, dając mi znak, bym podała mu chusteczkę higieniczną.

Podałam mu chusteczkę, poczekałam przy nim, aż wytrze ręce, potem odebrałam od niego brudną chusteczkę i wycofałam się parę kroków.

- Chciałby pan powiedzieć parę słów? - zapytał burmistrz.

- Tak, chciałbym - przytaknął Monk.

Burmistrz usunął się na bok, a Monk zajął jego miejsce.

Odechrząknął, ułożył przed sobą na mównicy fiszki i ostrożnie poprawił mikrofon.

Potem poprawił go jeszcze raz. I jeszcze raz.

Sekundy wlokły się jak długie godziny.

Monk nieznacznie podniósł mikrofon.

Kamerzyści przygotowali kamery i czekali.

Monk przesunął mikrofon troszeczkę w lewo.

Burmistrz zaczął niecierpliwie przytupywać stopą.

Teraz Monk minimalnie przesunął mikrofon w prawo.

Bertrum Gruber łypał na mnie pożądlivym spojrzeniem.

Monk opuścił mikrofon.

Mój wzrok popłynął ku wschodniej ścianie i spoczął na cyzelowanych szczegółach alegorii Ojca Cza-

su oraz klepsydry w jego dłoni. Z jednej jego strony stała naga Przeszłość, a z drugiej naga Przyszłość. Zastanawiałam się, dlaczego żadne z nich nie znalazło paru minut, by jednak coś na siebie włożyć.

W końcu Monk ustawił mikrofon w idealnej pozycji i delikatnie stuknął w niego palcem. Przytłumiony dźwięk znowu zwrócił uwagę wszystkich na Monka.

Kamerzyści znowu podnieśli kamery do oka.

Burmistrz odetchnął z ulgą.

- Nazywam się Adrian Monk - zaczął Monk, kładąc dłonie na pulpicie mównicy.

Mównica się zachybotwała.

- Nazywam się Adrian Monk - powtórzył Monk i delikatnie poruszył mównicą, chcąc sprawdzić, w którym miejscu jest niestabilna.

Prawy narożnik od przodu.

- Proszę zachować spokój - powiedział Monk. - Panuję nad sytuacją.

Ostrożnie zaczął składać pierwszą z wierzchu fiszkę, a upływ czasu, taki jaki znamy w powszechnym rozumieniu, zatrzymał się z powolnym zgrzytem młyńskiego koła.

Znowu spojrzałam na Ojca Czasu, jakby licząc trochę na to, że skorzysta z pierwszej w swojej wieczności okazji, by wyskoczyć do Nordstroma po bieliznę.

Kiedy Monk wreszcie złożył idealnie fiszkę, schylił się, przechylił nieco mównicę i podsunął złożoną kartkę pod przedni, prawy narożnik. Potem wstał i znowu delikatnie poruszył mównicą, sprawdzając, czy stoi równo.

Stała niewzruszona.

Monk się wyprostował i znowu się pochylił do mikrofonu.

- Nazywam się Adrian Monk i...

Monk przerwał i spojrzał na drugą fiszkę. Robił wrażenie, jakby się nagle pogubił. Od razu się domyśliłam, co się stało. Monk złożył pierwszą, zanim zdążył ją przeczytać. Teraz całkowicie stracił wątek.

Burmistrz zaczął się gwałtownie pocić. Nie miałam pojęcia, że na czole człowieka znajduje się tyle żył, dopóki nie zobaczyłam ich wszystkich nabrzmiałych u Smitrovicha.

Gruber tymczasem przeniósł ze mnie powłóczyste spojrzenia na jedną z reporterek, która w obliczu katastrofalnej nudy, zdawała się cieszyć okazywaną jej uwagą.

Monk odłożył drugą fiszkę, wyrównał ostrożnie cały stosik, a potem pochylił się przed mównicą, wyjął spod niej złożoną wcześniej fiszkę, powolutku ją rozłożył i odczytał głośno zapisane na niej słowa.

- ...i korzystając z okazji chciałbym podziękować detektywom, którzy...

Złożył na powrót fiszkę, pochylił się i wsunął ją znowu pod mównicę. Kiedy to robił, burmistrz pękł. Wydawało mi się nawet, że wydał z siebie jakiś piskliwy kwik.

Smitrovich pośpieszył do mównicy i chwycił za mikrofon.

- Bardzo panu dziękujemy, kapitanie - powie dział burmistrz. - Nie chcielibyśmy dłużej odciągać pana od pracy, którą tak znakomicie pan wykończy.

Monk wycofał się na swoje miejsce.

Burmistrz przemawiał jeszcze przez kilka minut, lecz wciąż tkwiłam pogrążona w wywołanej przez Monka śpiączce i nie słuchałam już, co mówił. Kiedy



skończył, reporterzy otoczyli Smitrovicha i Grubera ciasnym kręgiem, a nam udało się niepostrzeżenie wymknąć.

Byliśmy na zewnątrz, szliśmy pod hulający, zimny wiatr w kierunku ratuszowego parkingu, kiedy Monk przemówił.

- Chyba dałem do zrozumienia, co myślę.
- Wypowiedział pan tylko swoje imię i nazwisko.

- Podczas przemówienia burmistrza mównica się chwiała - powiedział Monk. - Burmistrz robił z siebie kłowna. Tymczasem ja zdecydowanie wystąpiłem i na oczach wszystkich poprawiłem mównicę. Myślę, że przekazaliśmy społeczeństwu ważny i mocny komunikat.

- Jestem o tym przekonana, panie Monk.

Zbliżyliśmy się do wartowni przed parkingiem. Policjant w wartowni miał włączony mały telewizor i oglądał konferencję prasową w ratuszu. Kiedy go mijaliśmy, obrzucił nas pełnym nienawiści spojrzeniem.

- Jak burmistrz może dalej żyć po takiej kompromitacji? - mówił Monk.

- Zapewne może się już pożegnać z reelekcją - powiedziałam.

- Ja na pewno nie będę na niego głosował — zadeklarował Monk. - Czy po kimś, kto nie potrafi ustawić równo mównicy, można oczekiwać, że będzie umiał rządzić miastem?

Nie podeszliśmy jeszcze do samochodu, a już z daleka widziałam, że coś jest nie w porządku. Samochód stał w tym samym miejscu na trzech przebitych oponach.

Monk zmarł. Ja byłem po prostu wściekła.

- Jak mogło dojść do czegoś takiego na parkingu ratuszowym, strzeżonym przez policję dwadzieścia cztery godziny na dobę? - zapytał w zdumieniu.

- Najwidoczniej znalazło się paru takich, do których nie dotarł pański ważny i mocny komunikat.

Zerknęłam za siebie na policjanta w wartowni. Posłał mi szyderyczy uśmiech i szybko zniknął we wnętrzu budki.

Monk przykucnął przy samochodzie i uważnie się przyjrzał jednemu kołu z nie przebitą oponą.

- Masz scyzoryk? - zapytał mnie po chwili.

- Nie.

- Mogłabyś zapytać policjanta w wartowni, czy ma scyzoryk?

- Oczywiście, że ma - odparłam. - Prawdopodobnie on to zrobił.

- Mogłabyś poprosić, żeby go nam pożyczył?

- Panie Monk, nie mam zamiaru prosić człowieka, który przebił mi opony, o nóż, którym tego dokonał - odpowiedziałam. - Po co panu scyzoryk?

- Zapomnieli o jednej oponie - odpowiedział Monk.

- Ma pan ochotę przebić dobrą oponę tylko po to, żeby się wpasowała w resztę?

- Każdy samochód ma cztery opony - powiedział. - Przebili trzy.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Nie bądź taka - błagał Monk.

- Nie i koniec - powiedziałam twardo.

Monk niezgrabnie poruszył ramionami.

- Spójrz na tę oponę, jest prawie łysa, jeśli kupisz trzy nowe, nie będą pasowały do tej starej.

- Jakoś przeżyję — odparłam.

- To wcale nie jest pewne - stwierdził Monk. -

Opona ze startym bieżnikiem może pęknąć w każdej chwili. Pomyśl o bezpieczeństwie. Pomyśl o Julie. Naprawdę będą ci potrzebne cztery nowe opony o równych bieżnikach.

Uderzył w czuły punkt. Rzuciłam w niego kluczykami.

Uchylił się w ostatniej chwili.

- W ten sposób możesz komuś wybić oko - powiedział.

- Czyżby? - odparłam, szukając w torebce telefonu komórkowego.

Monk podniósł kluczyki, a potem użył jednego z nich, aby podważyć zatyczkę wentyla, i zaczął wypuszczać powietrze z nieprzebitej opony.

Zadzwoiłam do swojej firmy ubezpieczeniowej AAA i poprosiłam o odholowanie auta do warsztatu. Tymczasem Monk wypuścił powietrze i westchnął z zadowoleniem, gdy samochód osiadł równo na ziemi.

- Jeszcze mi później podziękujesz - powiedział.

- Później to ja wyślę panu r a c h u n e k — odpowiedziałam.

## Monk i teoria spiskowa

Samochód pomocy drogowej odholował jeepa do najbliższej stacji benzynowej z warsztatem, gdzie po mocno zawyżonej cenie założono mi cztery nowe opony. Kazałam Monkowi zapłacić. Nie protestował, ponieważ przekonałam go, że nie kupuje opon, lecz płaci za przywilej udzielenia warsztatowi pomocy przy idealnym wyważeniu kół i umieszczeniu na felgach odpowiednich ciężarków.

Potem odwiozłam Monka do domu. Przed jego budynkiem przy Pine Street czekał Stottlemeyer, siedząc na masce swojego forda crown vic i ćmiąc cygaro.

Już dawno zauważyłam u policjantów coś naprawdę dziwnego. Cały dzień jeżdżą w czarno-białych czy nieoznakowanych samochodach crown victoria, które są standardowym wyposażeniem organów ścigania w kraju. Wydawałoby się zatem, że kiedy mają wybierać samochód dla siebie, będą mieli ochotę na zasadniczo inny model, na coś nie tak wielkiego, pudłowatego i urzędowego. Ale nie. Okazuje się, że w „cywilnych” samochodach policjanci nie czują się dobrze. Chcą pozostać policjantami nawet w domu. Może dlatego średnia rozwodów wśród policjantów utrzymuje się na takim wysokim poziomie? Może gdyby rzucili fordy

crown vic, mniejsze byłoby prawdopodobieństwo, że ktoś rzuci ich.

Monk wysiadł z samochodu. Opuściłam szybę i uśmiechnęłam się do Stottlemeyera.

- Nie boi się pan, że ktoś pana zobaczy z Monkiem? - zapytałam.

- Stwierdziłem, że warto zaryzykować - odpowiedział Stottlemeyer, rzucając na ziemię niedopałek cygara.

Monk się pochylił i podniósł niedopałek.

- Śmieczysz przez nieuwagę.

Stottlemeyer wyrwał mu niedopałek z ręki.

- Serdeczne dzięki, panie policjancie Milusiński.

- Jesteś na mnie zły za aresztowanie „Dusiciela Golden Gate”? - zapytał Monk.

- Nie, Monk, nie jestem za to zły. Stało się bardzo dobrze. Ale czy musiałeś brać udział w konferencji prasowej?

- Burmistrz prosił.

- Mogłeś odmówić - powiedział Stottlemeyer.

- Burmistrz jest moim szefem.

- On ciebie wykorzystuje, żeby podważyć naszą pozycję w negocjacjach z władzami i zwrócić przeciwko nam opinię publiczną. To, że z nim teraz współpracujesz, to jedna rzecz. Właściwie mogę to jakoś wytłumaczyć innym policjantom, zwłaszcza tym, którzy cię znają. Jeśli jednak stajesz przy burmistrzu, który robi z nas w mediach miazgę, to już zdrada.

- Zauważyłeś, że mównica się chwiała?

- Owszem, zauważyłem.

Monk uśmiechnął się szeroko.

- Stał przed milionami ludzi za rozchybotaną

mównicą. To polityczne samobójstwo. Kiedy przyszła kolej na mnie, mogłem jej w ogóle nie ruszać.

- Nie, nie potrafiłbyś...  
- Tymczasem poprawiłem ją. Zadałem druzgocący cios. To był zręczny ruch polityczny, który na trwałe unieszkodliwił burmistrza. Teraz jest sła-  
biutki. Jest wasz.

Stottlemeyer nabrał głęboko powietrza w płuca i powoli je wypuścił. Nie było szans, by przekonać Monka do spojrzenia na tę sprawę z innego punktu widzenia.

- Mam osobistą prośbę, Monk. Proszę, nie stawaj publicznie w jednym szeregu z burmistrzem lub komendantem policji. Jeśli nadal zamierzasz pracować w czasie trwania akcji protestacyjnej naszego związku, rób to w cieniu. Nie zwracaj na siebie uwagi.

- Rozumiem, ale to trochę tak, jakby poprosić legendarnego rozgrywającego, żeby... żeby... -Monk usilnie próbował dokończyć myśl, co nie było łatwe, ponieważ nic nie wiedział o futbolu amerykańskim - ...żeby legendarnie nie rozgrywał.

- Może jednak spróbuj - odpowiedział mu Stottlemeyer.

Monk przytaknął, powiedział dobranoc i poszedł do domu. Stottlemeyer odwrócił się do mnie.

- Spodziewałem się po tobie czegoś więcej, Natalie.

- Co to ma niby znaczyć?  
- Masz mieć na niego oko, na tym chyba polega twoja praca, prawda?  
- Mam na niego oko - odpowiedziałam, czując, jak płonę ze złości. - Robię, co mogę, aby mój przyjaciel i pracodawca poczuł radość z tego, że ziszcili

się wreszcie jego marzenia, że odzyskał policyjną odznakę.

- Ale jakim kosztem?

- To nie mój problem — odpowiedziałam.

Ale wiedziałam, że to nieprawda. Dowodem tego były choćby cztery nowe opony w moim samochodzie. Ale Stottlemeyer nie musiał o tym wiedzieć.

- Czasami dla dobra innych musimy zapomnieć o marzeniach.

Tego naprawdę nie trzeba mi mówić, pomyślałam.

- Myślę, że Monk poświęcił w swoim życiu wystarczająco wiele - powiedziałam. - Zostały mu już tylko marzenia. Co mu pozostanie, jeśli będzie pan od niego żądał, by poświęcił również marzenia?

- Życie nie zawsze jest sprawiedliwe — stwierdził Stottlemeyer.

- Jasne - odparłam. - Właśnie przyszedł czas na pana. Niech pan teraz gdera na niesprawiedliwe życie, a nie Monk. Jego niech pan zostawi w spokoju.

Stottlemeyer spojrzął na mnie, jakby mi wyrósł nagle drugi nos. Po długiej chwili pokiwał głową.

- Nie miałem racji, Natalie. Ty rzeczywiście masz na Monka oko.

Pozwoliłam mu mieć ostatnie słowo, tym bardziej że i tak byłam górą. Wrzuciłam bieg i odjechałam. Nie znaczy to, że wszystko między nami pozostało w porządku. Wciąż byłam wściekła.

Jak śmiał wyskoczyć z czymś takim, że „życie nie zawsze jest sprawiedliwe”, zwłaszcza wobec mnie lub Monka. Rozpalonym żelazem dotknął gołego nerwu.

Wiedziałam, że Stottlemeyer przechodzi trudny

okres i użala się nad sobą, jednak tym zdaniem przeciągnął strunę. Ostatnio każdy czegoś chciał od Monka, nie bacząc zupełnie, czy z pożytkiem dla niego samego. Jeśli o mnie chodzi, mogą to sobie wsadzić gdzieś. Przyszedł czas, żeby wreszcie ktoś zaczął się troszczyć o interesy Monka. Naturalnie tym kimś mogłam być tylko ja.

Byłam taka zła, głodna i zmęczona, że nie uważałam jadącego za mną radiowozu, dopóki ten nie zawył do mnie syreną i nie zamrugał światłami.

Klnąc na czym świat stoi, zjechałam do chodnika i tak mocno zacisnęłam palce na kierownicy, że kostki na moich dłoniach zrobiły się białe. Miałam serdecznie dość figli tych rozkapryszonych dzieciaków w mundurach. Po chwili do okna podeszła policjantka. Wyglądała na osobnika, który dla zabawy obezwładnia aligatory, a potem zjada je na surowo.

Jednak nie poczułam się zdetonowana.

No dobrze, trochę się poczułam, ale nie miałam zamiaru dać tego po sobie poznać.

Opuściłam szybę. Według identyfikatora na mundurze policjantka nazywała się Paola Gomez.

- Czy wie pani, dlaczego panią zatrzymałam? - zapytała.

- Żeby mnie zadręczać, bo Adrian Monk postanowił tymczasowo przejąć obowiązki szefa wydziału zabójstw, ale szczerze mówiąc, to nawet nie chcę tego słuchać. Jeśli pani chce, niech mi pani wlepi mandat, odholuje samochód, przebije opony, proszę bardzo, nic mnie to nie obchodzi. Ponieważ to niczego już nie zmieni. Pan Monk i tak będzie rozwikływał zagadki zabójstw, bo tym się po prostu w życiu zajmuje, a szczerze mówiąc, robi to najlepiej



na kuli ziemskiej. Wiem, że mało zarabiacie. Wiem, że troszcycie się o ubezpieczenie zdrowotne i przyzwoitą emeryturę. Ale to nie usprawiedliwia tego, jak traktujecie mnie i pana Monka. Głupio wam, bo zapomnieliście już, co znaczy nosić na piersi odznakę policyjną. Cóż, pan Monk nie zapomniał. To przemiły człowiek, który nikomu nie chce zrobić krzywdy. Po prostu robi to, co do niego należy, a wy powinniście się wstydić.

Policjantka Paola Gomez patrzyła na mnie ze złym błyskiem w oku.

- Czy już pani skończyła? - zapytała.

Przytaknęłam.

- Teraz może mi pani powiedzieć, czy przejechałam skrzyżowanie na czerwonym świetle, czy zawróciłam w niedozwolonym miejscu, czy może jechałam pod prąd na ulicy jednokierunkowej, proszę bardzo.

- Ma pani otwarty bagażnik - powiedziała spokojnie Gomez. - Jeśli najedzie pani na garb, wszystko może wypaść na ulicę. Pomyślałam, że zechce to pani wiedzieć, zanim ruszy w dalszą drogę.

Dopiero wtedy zauważyłam, że w samochodzie pali się wewnętrzna lampka, co znaczyło, że któreś drzwi są niedomknięte. Spojrzałam w lusterko wsteczne i zobaczyłam, że klapa bagażnika nie jest zamknięta. Trzymałam tam ekwipunek piłkarski Julie, składane krzesło, zapas wody dla Monka, karton chusteczek higienicznych i książkowy plan San Francisco wydawnictwa Thomas Bros sprzed pięciu lat.

Po raz drugi tego wieczoru poczułam, jak czerwienieję na twarzy. Jednak tym razem nie ze złości, lecz ze wstydu.

- Och... - powiedziałam. - Dziękuję.
- Miłego wieczoru - odpowiedziała policjantka i odeszła do radiowozu.

W poniedziałek rano zasnęłam. Musiałam przez sen wyłączyć budzik, kiedy dzwonił o szóstej czterdzieści pięć. Po przebudzeniu wskoczyłam na minutkę pod natrysk, tylko na tyle, żeby się zmoczyć, i w pośpiechu się ubrałam. Nie miałam nawet czasu na filiżankę kawy. Szybko zrobiłam Julie drugie śniadanie i popędziłam do wyjścia.

Odwiozłam Julie do szkoły, odebrałam Monka i przed dziewiątą przyjechaliśmy do komendy. Nie udało nam się prześcignąć Franka Portera. Kiedy weszliśmy, już siedział przy biurku. Z ulgą zobaczyłam, że ma na sobie świeże ubranie.

Nie mam pojęcia, od jak dawna Porter siedział w komendzie, ale zdążył już przypiąć do tablicy, która wcześniej wypełniona była informacjami sprawy „Dusiciela Golden Gate”, dane dotyczące czterech nierozwiązanych morderstw.

Allegra Doucet, John Yamada, Dianę Traby i Scott Eggers - każda z ofiar miała teraz na tablicy własną kolumnę najistotniejszych informacji, z kolorową fotografią zrobioną jeszcze przed ich ponurą śmiercią.

Biorąc pod uwagę dość wątpliwe w przypadku Franka Portera panowanie nad szczegółami, nie byłam pewna, czy Monk powinien ufać zebranim na tablicy informacjom, ale zatrzymałam te obawy dla siebie.

Sparrow siedziała z głową na biurku, pogrążona w głębokim śnie, wciąż podłączona do iPod'a. Z jej rozchylonych ust sączyła się na księgę z raportami wąska strużka śliny. Widok nie był przyjemny, nie

więc dziwnego, że Monk wyjął z kieszeni chusteczkę, rozłożył ją i przesłonił nią twarz Sparrow.

Bez silnej dawki kofeiny i cukru szybko mogłam skończyć jak Sparrow, zostawiłam więc Monka, który studiował już notatki na tablicy informacyjnej, i wybiegłam na drugą stronę ulicy do cukierni Winchell's po pączki i kawę. Obawiałam się, że jeszcze jeden tydzień spędzony na policyjnej diecie, a będę miała tylek jak szafa.

Po chwili wróciłam na piętro z kawą i tuzinem pączków. Nie kupiłam oczywiście „pączkowych środków”, żeby Monk nie dostał kota, i szybko spałaszowałam dowód, że przyjął „pączka cukiernika”, czyli trzynastego pączka, dodawanego gratis przy zakupie tuzina.

Monk przysunął sobie krzesło przed tablicę informacyjną i wpatrywał się w nią z tak wyteżoną uwagą, jakby oglądał ulubiony program telewizyjny (którym w ostatnim czasie była reklama oferowanej w telesprzedazy „Cudownej szczotki”, artykułu gospodarstwa domowego, który można używać do czyszczenia podłóg, sufitów, okien, szaf, a nawet do mycia samochodu wodą pod ciśnieniem. Monka nigdy nie męczyło oglądanie, jak nieszczerzy prezynter z wystającymi zębami demonstruje oszołomionej i opłaconej widowni działanie produktu. Monk kupił już cztery zestawy „Cudownej szczotki”, z których dwa sprezentował mi pod choinkę). Obok niego Porter przysypiał na krześle, głośno chrapiąc.

Podczas mojej krótkiej nieobecności przyszli Cindy Chow, „Szalony” Jack Wyatt oraz obaj ich asystenci, Jasper i Arnie. Chow chodziła po pokoju, machając wolno jakimś dziwnym urządzeniem elektronicznym - najwyraźniej poszukiwała podsłuchów.

Wyatt siedział przy biurku, rozkładał broń i czyścił ją z zapalem jakimiś szczoteczkami, ściereczkami i smarami.

Sparrow rozmawiała z Jasperem przy ekspresie. Jej ciało chyliło się wymownie w jego stronę, a ich oczy i uśmiechy podejrzanie długo pozostawały we wzajemnym kontakcie. Może kawa jeszcze się nie zaparzyła, ale romansik już bulgotał. Stwierdziłam, że po uwadze o „ładnym tyłku” trudno było tego uniknąć. Arnie czuwał nad przygotowaniem kawy, obojętny na trwające za jego plecami gruchanie gołąbków.

- Dla fetyszysty but symbolizuje różne fragmenty kobiecej anatomii - tłumaczył dziewczynie Jasper. - Jestem jednak przekonany, że Herrin bardziej był zainteresowany zapachem butów niż tym, co symbolizowały. Jego ofiary były przecież spocone po długim biegu. Sprawca był feromonowym ćpunem, a do tego cierpiał na kleptomanię. Podniecała go kradzież rzeczy, która była dla niego fetyszem.

- To tak, jakbyś ty na przykład chciał ukraść mój biustonosz? - zapytała Sparrow z udawaną nieśmiałością.

- Wydaje mi się, że ktoś już go ukradł - odpowiedział Jasper.

- O rany... - Sparrow udała zdziwienie. - Powinnam to zgłosić na policji?

Jasper uśmiechnął się szeroko.

- Nie ma pośpiechu.

Fuj. Psychiatryczny bełkot na podryw. Może to też dobry materiał na doktorat.

- Najbardziej jednak zabójstwa Herrina wiażą się z jego nienawiścią do kobiet i lękiem wobec

nich - wtrącił nieproszone trzy grosze Arnie. - Zabójca nie potrafi nawiązywać relacji z kobietami, więc je morduje i zastępuje niegroźnymi dla siebie symbolicznymi żeńskimi atrybutami: butami. Dlaczego jednak lewymi, a nie prawymi? To jest prawdziwa zagadka.

Jasper i Sparrow obrzucili Arniego spojrzeniem pełnym niechęci, poirytowani nagłym najściem na ich małe święto flirtu. Postanowiłam ratować Arniego.

- Może pączka? - zapytałam głośno.

Porter obudził się błyskawicznie i wprost kapultował się z krzesła. Jeśli kiedyś będzie miał zawał serca, to zamiast używać defibrylatora, wystarczy pomachać mu przed oczami grubo lukrowanym pączkiem.

Postawiłam pudełko na stole i otworzyłam je.

Wszyscy podchodzili i łakomie częstowali się pączkiem. Każdy z wyjątkiem Monka. Nie jadł niczego, co się klei, jest pokryte cukrem lub ma otwory.

Monk zadarł głowę i zaczął się przyglądać tablicy pod różnymi kątami, jakby mogło to zmienić to, co widzi. Może zmieniało. Nie wiem.

Podeszłam do niego.

- Co pan robi?

- Te morderstwa mnie niepokoją - powiedział Monk.

- To oczywiście. Wciąż pozostają nierozwiązaną zagadką.

Odwrócił się tyłem do tablicy, zrobił głęboki skłon i spojrzął na nią w rozkroku, widząc ją teraz do góry nogami.

- Tu chyba jednak chodzi o coś innego - powiedział.

- I myśli pan, że patrząc na te wszystkie infor-

macje kątem oka albo do góry nogami, zrozumie pan, w czym tkwi problem?

- Ludzie mówią, że dobrze jest spojrzeć na coś z innej perspektywy.

- Myślę jednak, że rozumieją to metaforycznie - odpowiedziałam. - Nie dosłownie.

- Prześledźmy jeszcze raz fakty - powiedział Monk.

Tak też zrobiliśmy.

Allegra Doucet pracowała nad czyimś horoskopem, kiedy ktoś ugodził ją w pierś. Był to prawdopodobnie ktoś, kogo znała i kto, jak można się domyślić, wszedł lub wyszedł z domu przez okno w łazience. Doucet oszukiwała zamożnych klientów, takich jak Max Collins, doradzając im „z gwiazd”, aby inwestowali w firmy, które odpłacały się jej łapówkami. Max miał klucz do jej domu, a w porze popełnienia zbrodni znajdował się gdzieś w okolicy. Środki, motyw, sposobność. O ile wiem, w przypadku śledztwa w sprawie o zabójstwo - i gry planszowej „Cluedo” - to już nie było co.

Architekt John Yamada przechodził przez ulicę, gdy ktoś potrącił go samochodem i uciekł z miejsca wypadku. Kierowca czekał, aż Yamada wejdzie na skrzyżowanie. Architekt był przy tym skłócony z żoną, której kilka dni wcześniej skradziono samochód. Co za zbieg okoliczności.

Kelnerka Dianę Truby wracała pieszo do domu, gdy ktoś wepchnął ją wprost pod koła rozpędzonego autobusu. Tego samego dnia znika nagle jej roznamiętniony prześladowca, który od tygodni ją terroryzował. Też interesująca zbieżność, prawda?

W tych trzech sprawach mamy przynajmniej podejrzanym. Jednak zabójstwo Scotta Eggersa

utknęło w martwym punkcie. Został zaatakowany od tyłu, uderzony czymś ciężkim w głowę i uduszony za własnym domem, jak się wydaje bez specjalnego powodu - chyba że zrobił to sąsiad, ponieważ Eggers złożył na niego donos władzom miasta za wybudowanie na dachu nielegalnego jacuzzi.

- Yamadę, Truby i Eggersa sprawca zaskoczył, wszyscy troje nie mieli szans na obronę - dedukował Monk.

- Wniosek jest jeden - wtrącił się Wyatt. - Większość zabójców to tchórze.

- Jednak Allegra Doucet stała z mordercą twarzą w twarz — ciągnął Monk.

- Co za sens porównywać te morderstwa? - zapytał Wyatt. - To różne sprawy i nic ich nie łączy.

- Wszystkie pozostają nierozwiązane.

- Troje z nich miało czterdzieści cztery lata - powiedział Porter.

Był to dość dziwny wniosek, *non sequitur*. Z pewnością nie zwróciłabym na niego uwagi, gdyby nie Monk.

--Słucham?

- Poza astrolożką wszystkie ofiary miały czterdzieści cztery lata - powiedział Porter. - To coś, co łączy te sprawy.

Monk podniósł się z krzesła, stanął przed tablicą i pochylił się tak blisko przypiętych do tablicy kartek z informacjami, że niemal dotykał ich nosem.

- Frank - powiedział po chwili. - Jesteś geniuszem.

- On jest geniuszem? - zadziwiła się Sparrow.

- Kto to jest Frank? - zapytał Porter.

- Nie tylko mieli po czterdzieści cztery lata - powiedział Monk. - Ale na dodatek wszyscy troje

urodzili się tego samego dnia, dwudziestego lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku.

Tak więc po San Francisco grasował j e s z c z e j e d e n seryjny morderca. Co za wspaniała wiadomość. Od chwili ujęcia „Dusiciela Golden Gate” nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny.

Izba Gospodarcza i Biuro Turystyczne San Francisco mogły zamknąć działalność. Kto chciałby mieszkać w mieście i kto chciałby odwiedzać miasto, po którego ulicach włóczy się tyłu psychopatów? Sama byłam bliska myśli, żeby jeszcze dziś zadzwonić do pośrednika sprzedaży nieruchomości. Nie musiałybyśmy się wyprowadzać daleko. Może do Berkeley.

- Mam! - krzyknęła nagle Chow. - Drobne elementy wielkiego spisku wreszcie układają się w całość. Wszystkie cztery morderstwa coś łączy.

- Masz na myśli trzy morderstwa - poprawił ją Monk. - Allegra Doucet miała dwadzieścia siedem lat i nie urodziła się dwudziestego lutego.

- Ale to ona jest osią spisku - oznajmiła Chow.

- Zaczyna się - mruknął Jasper.

- Dwudziestego lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku astronauta John Glenn wszedł do historii jako pierwszy Amerykanin, który okrążył Ziemię w kosmosie. Tego samego dnia urodziła się ta trójka. Allegra Doucet była astrolożką, być może nawet dezzerterką projektu „Subzero” - mówiła Chow, a słowa tryskały jej z ust w nerwowym pośpiechu. - Pamiętacie, jak mówiłam, że zabójstwo Doucet może być następstwem tego, że przez przypadek odkryła dzień, czas i miejsce lądowania kosmitów? Ten dzień to właśnie był dwudziesty lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku.



Orbitowanie Johna Glenna miało odwrócić uwagę od prawdziwego, historycznego, międzygwiazdowego wydarzenia. Rozumiecie?

Monk, Jasper i Sparrow przytaknęli. Arnie, Porter, Wyatt i ja potrzęsaliśmy przecząco głowami.

- Pamiętacie, jak mówiłam, że Doucet spędziła pewien czas w Nowym Meksyku, gdzie istoty pozaziemskie mają bazę podziemną i prowadzą swoje eksperymenty dotyczące kontrolowania umysłów? Właśnie tu sprawa zaczyna być naprawdę interesująca. Jak tysiące innych kobiet zostałam kiedyś porwana i zapłodniona przez kosmitów.

- Może wreszcie zaczną się z tobą umawiać fa-ceci z Ziemi, skoro nie masz już radia przyklejonego do głowy - stwierdził Wyatt. - Choć wątpię.

- Jack, otwórz oczy, zobacz, co się dzieje. Agencja „Omega” czyni usilne starania, aby splodzić kosmito-ludzkie potomstwo, zdolne przetrwać nie tylko na Ziemi, ale również na rodzimej planecie przybyszów z kosmosu - tłumaczyła Chow. - Moim zdaniem Yamada, Truby i Eggers byli właśnie takim potomstwem. Byli pierwszym, jeszcze niedoskonałym, rezultatem eksperymentu krzyżowania gatunków istot żywych, które się rozpoczęło dwudziestego lutego sześćdziesiątego drugiego roku. Doucet ich przejrzała, więc całą czwórkę należało wyeliminować. - Chow rozparła się wygodnie na krześle, bardzo z siebie zadowolona. - Rzecz jasna znaczy to tyle, że wysłano naszym tropem agentów, którzy mają nas zabić - dodała. - Za dużo wiemy.

- Kiedy staną w progu, zastosuj wolkański ucisk ze *Star Treka* i będzie po krzyku - powiedział Wyatt.

Monk patrzył na Chow przez dłuższy moment,

a ja patrzyłam na niego. Doskonale wiedziałam, co znaczy ta iskra w jego oku, co znaczy ten uśmiezek zaczepiony w kąciку warg. Widziałam to, ale nie wierzyłam własnym oczom.

- Cindy - odezwał się w końcu Monk. - Jesteś geniuszem.

Stałam przed Monkiem.

- Niech mi pan spojrzy w oczy i szczerze powie, że Chow rzeczywiście ma rację.

- Właśnie rozwikłała zagadki morderstw Johna Yamady, Dianę Truby i Scotta Eggersa - oświadczył Monk.

Wiedziałaam, że to powie. Miał to wypisane na twarzy.

- Pan postradał zmysły, panie Monk - powiedziała Sparrow i stuknęła Jaspera łokciem pod żebro. - Jasper, daj mu swoją wizytówkę.

- Detektyw Chow się nie myli - powiedział Monk. - Wszystkie cztery morderstwa coś łączy. Allegra Doucet jest osią całej sprawy, a kluczem do rozwiązania zagadki jest dwudziesty lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku.

- Naprawdę pan uważa, że Yamada, Truby i Eggers urodzili się z eksperymentalnej próbki kosmitów, że Allegra Doucet została zamordowana przez facetów w czerni, a my jesteśmy następni na liście? - zapytał Wyatt.

- Tego nie powiedziałem - odpowiedział Monk.

Teraz byłam już pewna, że Monkowi wszystko się pomieszało.

- Panie Monk, przecież przed chwilą pan powiedział, że Cindy Chow rozwikłała zagadki tych morderstw.

- Istotnie tak powiedziałem - odparł Monk.
- Nic już nie rozumiem - westchnęłam zrezygnowana.
- Ja też nie - powiedział Frank Porter. - Czy ktoś byłby uprzejmy wskazać mi drogę do biurka?
- Nie wiem, dlaczego Allegra Doucet została zamordowana ani kto tego dokonał - stwierdził Monk. - Ale wiem, dlaczego zginęły pozostałe trzy ofiary, i jeśli się nie pośpieszymy, więcej ludzi straci życie.

## Monk sprząta

Oczywiście Monk nie powiedział nam, dlaczego ktoś postanowił zamordować trzy osoby urodzone tego samego dnia ani dlaczego kolejnym ludziom grozi śmierć. To nazbyt ułatwiłoby wszystkim życie.

Monk ma nieprawdopodobnie irytujący nawyk składania najpierw dramatycznych oświadczeń, a potem zatrzymywania dla siebie szczegółów, dopóki nie znajdzie wreszcie ostatniego brakującego elementu, który potwierdzi mu tylko to, o czym dobrze od dawna wie. Dlaczego więc w ogóle nie trzyma buzi zamkniętej na kłódkę, dopóki nie natknie się na ten jakiś niejasny element czy kluczowy dowód?

Być może po prostu dlatego, że olbrzymią przyjemność sprawia mu nasz widok, kiedy patrzymy na niego z rozdziawionymi buziami, a utrzymywanie nas w niewiedzy przenika go dreszczem prawdziwych emocji.

Ponad te chwile przedkłada jedynie moment ostatecznego podsumowania, w którym ze wszystkimi detalami może wreszcie opowiedzieć, kto popełnił zbrodnię i w jaki sposób do niej doszło. Satysfakcja, jakiej doznaje przy tej okazji, nie bierze się jednak z małego spektaklu czy udowodnienia, że jest mądrzejszy od całej reszty. To satysfakcja płynąca

z przekonania i absolutnej pewności, że udało mu się posprzątać potworny bałagan.

Wobec nalegań Monka natychmiast ruszyliśmy do domu Allegry Doucet. Chow i Jasper jechali za nami jej czarnym chevroletem suburban, zaopatrzonym w tuzin anten na dachu i szyby tak bardzo zaciemnione, że samochód musiał być chyba wyposażony w radar, żeby można go było prowadzić.

Dom Doucet zastaliśmy dokładnie w takim samym stanie, w jakim go opuściliśmy, jeśli nie brać pod uwagę żółtej taśmy przed frontowymi drzwiami i tablicy z ostrzeżeniem, że jest to miejsce przestępstwa.

Zerwaliśmy taśmę i weszliśmy do środka. Monk od razu podszedł do biurka Allegry Doucet, omijając ostrożnie dużą plamę krwi na środku podłogi, a potem poprosił Chow o włączenie komputera.

- Możesz otworzyć horoskop, który widzieliśmy na ekranie w dniu, kiedy zginęła Allegra Doucet?

- Jasne.

Chow usiadła przed komputerem, zaczęła stukać palcami w klawiaturę i klikać myszką. Monk tymczasem przeszedł wolno na tyły domu.

- Nie boisz się, że o n i mogą cię zobaczyć? - Miałam oczywiście na myśli monitor i ukryte w nim kamery.

- Ostatnim razem, kiedy tu byliśmy, rozkręciłam monitor - powiedziała. - Był czysty. Tajni agenci, zanim zniknęli, musieli usunąć kamery.

- Skąd wiesz, że nie wrócili i znowu ich nie zainstalowali? - zapytałam.

Chow zastygła, a Jasper obrzucił mnie wściekłym spojrzeniem. Wiedziałam, że się nasrożył, bo sprowokowałam paranoję Chow, ale doprawdy

nie potrafiłam się oprzeć. Małe psikusy czasem cieszą.

Po chwili Chow przestała się wahać, wzruszyła ramionami i wróciła do pisania.

- Po tym, co odkryliśmy, i tak już jesteśmy trupami - oświadczyła. - Nie ma takiego miejsca na ziemi, w którym moglibyśmy się ukryć.

Monk wrócił ubrany w kwiecisty fartuch, w złotych rękawiczkach gumowych do zmywania naczyń, dźwigając wiaderko pełne mydlin. Ukłękł przy zaschniętej plamie krwi, wyjął z wiaderka gąbkę i zaczął szorować podłogę.

Był kiedyś czas, gdy podałabym w wątpliwość to, co Monk robi. Mogłabym mu przypomnieć, że ani to jego dom, ani jego obowiązek, by robić tu porządku. Mogłabym mu wytknąć, że wyszorowanie plamy nie wystarczy, nawet jeśli jej ślady znikną nam z oczu, bo i tak trzeba będzie wynająć profesjonalną firmę porządkującą miejsca zbrodni, żeby usunęła resztki krwi i płynów organicznych, które wsiąkły w posadzkę.

Jednak Monk wszystko to wiedział, a ja znałam daremność trudu wyklócania się z nim o kwestię czyszczenia czegokolwiek, co rozlało się tam, gdzie akurat Monk się znalazł.

Tym razem Monk mógł ucztować podwójnie. Miał do uporządkowania dwie rzeczy — plamę oraz morderstwo, w wyniku którego plama powstała. Nie przesadzę, jeśli powiem, że aż pogwizdywał ze szczęścia.

Byłam zaskoczona, że Jasper nie wyczyścił pamięci palmtopa, żeby zacząć notować spostrzeżenia o obsesyjno-kompulsywnych zachowaniach Monka. Domyślałam się, że zawodowe zainteresowa-

nia Jaspera kierowały się teraz w stronę Charliego Herrina.

- Mam horoskop - powiedziała Chow.

Monk nawet się nie pofatygował, by podejść do komputera czy choćby odwrócić głowę. W dalszym ciągu szorował.

- Nie potrafię czytać horoskopów - powiedział.

-Ale jestem pewien, że był przygotowany dla kogoś, kto się urodził dwudziestego lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku.

- Rzeczywiście - powiedziała zdumiona Chow.

-Skąd pan wiedział?

Byłam wdzięczna, że Chow zadała za mnie to pytanie. Jeśli kiedykolwiek zamówię sobie koszulkę z wydrukowanymi na niej tymi wszystkimi pytaniami, to dam ją jej w prezencie.

- Ponieważ osoba, dla której Allegra Doucet sporządziła horoskop, była świadkiem jej zabójstwa - powiedział Monk.

- Nie ma tam nazwiska? - zapytałam.

Chow pokręciła głową.

- Doucet wpisała tylko datę urodzenia, a program komputerowy wygenerował horoskop. Przed śmiercią nie zdążyła nawet zapisać pliku. Ja go zapisałam i nadałam mu nazwę.

- Zaraz, zaraz — odezwał się Jasper. — Skąd pewność, że był jakiś świadek?

- Dowód mieliśmy na wyciągnięcie ręki już wtedy, kiedy pierwszy raz weszliśmy do tego domu - mówił Monk, nie przerywając pracy. - Oto, co zaszło.

Kiedy Monk wyjaśniał tok zdarzeń, niemal widziałam, jak rozgrywają się przede mną poszczególne sceny, a po pokoju poruszają się jak mary postacie, poza Allegra Doucet bez twarzy.

Doucet miała spotkanie z jakimś klientem i przygotowywała dla niego horoskop, kiedy klient zapytał, czy może skorzystać z łazienki. Parę chwil później do mieszkania wszedł zabójca. Był to ktoś, kogo Doucet знаła i się nie obawiała. Wstała, podeszła blisko niego i wtedy została ugodzona nożem. Całkowicie zaskoczona nie miała możliwości się bronić.

Tymczasem klient spuścił wodę, zaczął otwierać drzwi łazienki i przez szparę zobaczył, jak Doucet pada ofiarą morderstwa. Wystraszony uciekł przez okno w łazience, wyłamując po drodze ze ściany wieszak na ręczniki.

Zabójcy nie udało się przyjrzeć świadkowi zbrodni. Mógł jedynie kierować się datą urodzin, którą znalazł w jego komputerowym horoskopie.

- Tak więc zabójca Allegry Doucet morduje wszystkich urodzonych dwudziestego lutego sześćdziesiątego drugiego roku - zakończył Monk, wstając i podziwiając swoje dzieło; krwawa plama całkowicie zniknęła. - To również tłumaczy mocno improwizowane, jak się wydaje, metody zabójstw. Morderca nie ma czasu na przygotowania. Śpieszy się. Chodziło mu przede wszystkim o to, aby zabić tych ludzi, i nie przywiązywał wagi do tego, by zacierać za sobą ślady.

- Są chyba dziesiątki tysięcy ludzi urodzonych tego dnia - powiedział Jasper. - W jaki sposób morderca zawęży listę? Dlaczego z tysięcy wybrał właśnie Yamadę, Truby i Eggersa?

- Nie wiem - odpowiedział Monk i odniósł wiaderko z brudną wodą z powrotem do kuchni.

- To oczywiście - odezwała się Chow. - Biorą na muszkę tylko tych, którzy brali udział w tajnym programie krzyżowania gatunków. Tropili ich za



pomocą mikroczipow wszczepionych do mózgu tuż po urodzeniu.

Monk wrócił do pokoju. Nie miał już na sobie fartucha ani gumowych rękawiczek. Odwróciłam się do niego i zadałam pytanie, które najbardziej nie dawało mi spokoju.

- Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to dlaczego świadek się nie zgłosił na policję i nie ujawnił tego, co zobaczył?

- Może dlatego, że świadkiem była jedna z trzech zamordowanych osób — wyraził przypuszczenie Monk. - Morderca jednak nie może mieć pewności, więc musi zabijać dalej.

- Świadkiem było jedno z dzieci zrodzonych w nadzorowanym przez kosmitów programie krzyżowania gatunków — powiedziała Chow. - To jedyne wyjaśnienie, które ma jakiś sens.

Jeśli coś takiego wydawało się w jej oczach logiczne, to nie potrafiłam sobie wyobrazić, co w jej głowie może uchodzić za kompletne szaleństwo.

- Przypuśćmy, czysto teoretycznie, że zabójca nie tropi ofiar, korzystając z mikroczipow wszczepionych do głowy czy list kosmicznego potomstwa - odezwałam się.

- Strata czasu - burknęła Chow.

- Pociesz mnie - powiedziałam. - Jak inaczej można by zawęzić listę potencjalnych ofiar, aby zapobiec zamordowaniu następnej osoby?

Monk ciężko westchnął.

- Sam chciałbym to wiedzieć.

Chow stuknęła palcem w ekran.

- Przeanalizuję ten horoskop. To może być klucz, który otworzy drzwi do całej siatki konspiracyjnej kosmitów na Ziemi.

Może wystarczy, jeśli osobiście zapyta kosmitów, kiedy znowu zostanie porwana.

W tej chwili zadzwonił mój telefon komórkowy. Telefonowała Susan Curtis. Jeszcze się nie odezwała, a już wiedziałam, co powie. Znowu popełniono w mieście morderstwo i Monk musi pojechać obejrzeć ciało.

Nie myliłam się.

W szok wprawilo mnie dopiero to, co usłyszałam od niej w następnym zdaniu. Ofiarą był policjant. Ktoś, kogo z Monkiem osobiście znaleźliśmy.

Na nabrzeżu 70, na wschód od Potrero Hill, niszczały opuszczone magazyny, odlewnie, warsztaty, maszynownie i hale spawalnicze dawnej stalowni Bethlehem Steel. Wszędzie było widać pozbawione szyb okna i wykruszone przez wiatr i słońce cegły. Pordzewiałe metalowe panele odchodziły od ścian jak płatki wysuszonego naskórka.

Ciało Kenta Milnera leżało rozciągnięte na betonowej posadzce, tuż przed jego biało-czarnym radiowozem, zaparkowanym w środku przepastnego warsztatu mechanicznego, czy raczej tego, co z niego pozostało. Sufity były wysokie i skośne, zamknięte na bokach szczytami jak w kościele, światło wpadało do wnętrza przez tysiące pozbawionych szyb okienek i świetlików. Nad głowami, pomiędzy odsłoniętymi krokiewkami, latały ptaki.

Wydawało się, że jest tu dużo więcej policjantów, niż rzeczywiście trzeba w przypadku zabezpieczenia miejsca przestępstwa, ich obecność wydawała się jednak zrozumiąca. Zginął jeden z nich.

Monk przypiął do marynarki odznakę policyjną, na wypadek gdyby ktoś nie wiedział jeszcze o jego no-

wej funkcji kapitana wydziału zabójstw. Tłum policjantów i techników rozstąpił się, by nas przepuścić. Zobaczyliśmy kapitana Stottlemeyera pochylonego nad ciałem Kenta Milnera oraz stojącego za nim porucznika Dishera, który pilnie coś notował.

Kapitan rzucił na nas okiem, przyjął do wiadomości naszą obecność lekkim skinieniem głowy i wrócił do oględzin ofiary.

Monk przykucnął obok Stottlemeyera. Pomiędzy nimi, na betonowej posadzce, leżało ciało policjanta. Na samym środku czoła Milnera widniał otwór po kuli. W twarzy zastygłej w wyrazie zdziwienia tkwiły szeroko otwarte oczy.

Odwrociłam się. Nie potrafiłam patrzeć ze spokojem nawet na ciała obcych ludzi. Oglądanie zwłok kogoś, kogo znałam, nawet jeśli tylko przelotnie, było dla mnie prawie nie do zniesienia.

Po chwili jednak znowu na nie spojrzałam, a im dłużej patrzyłam na ciało, tym mniej przypominało mi ono Kenta Milnera. To nie był policjant, z którym wczoraj rozmawiałam; to była tylko jego woskowa podobizna ze szklanymi oczami i dziurą w głowie.

Przez chwilę poczułam, co znaczy ten zimny, zawodowy dystans, jaki zachowują w obliczu śmierci Monk, Stottlemeyer i Disher. Nie wiedziałam jednak, czy mam być z tego dumna, czy raczej nad sobą zapłakać.

- Kapitanie - odezwał się po chwili Monk. - Co pan tu robi?

- Pracuję.

- Co z grypą?

- Zginął policjant, Monk - odpowiedział Stottlemeyer. - Nie ma nic ważniejszego.

- Jak się pan dowiedział? - pytał dalej Monk.

- Powiedzmy, że będąc na zwolnieniu lekarskim, w pewnym sensie monitoruję wszystko, co się dzieje w policji - powiedział z nutą wstydu w głosie, jakby się spodziewał bury.

Od nas jej nie usłyszał.

- Znam go - powiedział Monk, kiwając głową w kierunku ciała.

- Posterunkowy Kent Milner. Potrero Hill to jego rewir - powiedział Stottlemeyer. — Był w parku, kiedy zabezpieczaliśmy miejsce zbrodni. Pożyczał ci lornetkę.

- Wczoraj widzieliśmy go w okolicy portu na miejscu innego zabójstwa - dodałam. - Powiedział, że pracuje w całym mieście i stara się brać wszystkie możliwe nadgodziny.

- Miał żonę i dwoje dzieci - powiedział Disher, nie podnosząc oczu znad notatek. - W wieku czterech i sześciu lat.

Monk wskazał na kaburę z pistoletem Milnera.

- Nie sięgnął po broń. Kabura nie jest nawet odpięta. Nie spodziewał się kłopotów.

- Doki patroluje prywatna firma ochroniarska - mówił Stottlemeyer. - Milner nie miał powodu, żeby się tu pojawiać, chyba że zaobserwował coś podejrzanego albo przeganiał jakichś włóczęgów. Chociaż powinien to zameldować przez radio oficerowi dyżurnemu. Skoro jednak nie zameldował i nikogo nie uprzedzał, że tutaj przyjedzie, to myślę, że miał spotkanie ze swoim informatorem. Albo to on go zastrzelił, albo zastawiono na niego pułapkę.

- Ten, kto strzelał, na pewno wrzucił broń do zatoki - powiedział Disher. - Może warto, żeby paru nurków popływało pod dokami przez parę godzin i sprawdziło dno?

- Dobry pomysł - orzekł Stottlemeyer. - Ściągnij ekipę nurków.

- Milner był młodym policjantem. - Monk wstał i przeszedł wolno do radiowozu. - Byłoby dziwne, gdyby miał się spotykać z informatorami.

Stottlemeyer wzruszył ramionami.

- Może był lepszym gliną, niż wszyscy myśleli? Może wpadł na trop czegoś większego i niemądrze próbował działać na własną rękę, zamiast zawiadomić przełożonego?

- Może odkrył coś, w czym dostrzegł szybką drogę do awansu? - powiedział Disher.

- To bardzo dużo „może” - stwierdził Monk, otwierając drzwi od strony kierowcy w radiowozie.

Na siedzeniu pasażera leżały broszury biur podróży i katalogi salonów samochodowych.

- Nieustanna pogoń za rozlicznymi „może”, cóż, na tym polega praca detektywa, w każdym razie dla większości z nas - powiedział Stottlemeyer. - Nie wiemy, co spotkało Milnera. Ale się dowiemy. Będziemy pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, dopóki zabójca nie znajdzie się za kratkami albo w kostnicy.

Coraz bardziej mnie irytowało, że Disher nie chciał na nas spojrzeć. Podeszłam do niego i pochyliłam głowę nad jego notatkami.

- Coś nie tak, Randy?

- Przestajecie z nieprzyjacielem - odpowiedział Disher.

- Od dawna z nikim nie przestawałam. Gdybym chciała do tego wrócić, musiałabym chyba przedtem wziąć jakieś korepetycje.

- Monk się zaprzędał za garść brudnych srebrników - nie ustępował Disher.

- Po pierwsze pan Monk nigdy nie dotknąłby niczego brudnego - odpowiedziałam. - A po drugie, jakich srebrników?

- Za policyjną odznakę - parsknął lekceważąco Disher. - Czyż to nie gorzka ironia losu? Zdradził odznakę, żeby dostać odznakę.

Przestajecie? Zaprzedał się? Srebrniki? Gorzka ironia losu? Hm...

Zmrużyłam oczy, patrząc na Dishera.

- Czy ty może chodzisz ostatnio na lekcje angielskiego?

Disher zamrugał gwałtownie, kompletnie zaskoczony.

- Skąd wiesz?

Boże jedyny, udało mi się coś wydedukować. Czy Monk to widział? Nie. Był zajęty oglądaniem wnętrza radiowozu Milnera. Stottlemeyer dreptał za nim krok w krok, udając, że zagląda do środka ponad głową Monka.

- Tak podejrzewałam... - odparłam.

Moje słowa zabrzmiały jak kwestia w tysiącach telewizyjnych kryminałów. Przecież bohaterowie tylko takich filmów cedzą krótko: „Tak podejrzewałam...”; skorzystałam więc ze sposobności, by wypowiedzieć tę kwestię w odpowiednim, detektywistycznym kontekście.

- Mam obecnie więcej wolnego czasu, więc pomyślałam, że czas popracować nad powieścią, którą od dawna w sobie noszę - powiedział Disher. - Zapisalem się więc na uniwersytecie na wieczorowe wykłady Iana Ludlowa, Tolstoja ulic nędzy.

- Nie wiedziałam, że nosisz w sobie powieść - powiedziałam.

- Noszę w sobie różne rzeczy - odparł Disher. - Mam bardzo złożoną osobowość.

Monk usiadł tymczasem w radiowozie Milnera, wziął do ręki leżące na siedzeniu czasopismo „Moda motoryzacyjna” i zaczął je przeglądać.

Stottlemeyer przestał udawać, że się zajmuje czymś innym, i czekał, co Monk będzie miał do powiedzenia. Disher spoglądał na Stottlemeyera w oczekiwaniu na polecenie, ale nie otrzymawszy go, poszedł w ślady szefa. Także czekał.

- Tak na marginesie, przyznasz, że „Dusiciel Golden Gate” to marny pseudonim dla Charliego Herrina - powiedział do mnie Disher. — O wiele lepiej brzmiałoby „Bies butów”. Krócej i mielibyśmy aliterację.

- Podpowiedział ci to Tolstoj ulic nędzy? - zapytałam.

- Jest nad wyraz wyczulony na barbarzyńskie serce miejskiej dziczy - stwierdził Disher. - Podobnie jak ja.

- Dziwne - odezwał się Monk. - Milner zagiał narożnik strony, na której znajduje się artykuł na temat niemieckich samochodów luksusowych.

- Wiem, że zaginanie narożników w gazetach jest dla ciebie czymś odrażającym — powiedział Stottlemeyer. - Ale robi tak mnóstwo ludzi, kiedy chce sobie coś zaznaczyć lub dokończyć artykuł później.

- Ale jego nie było stać na zakup bmw. - Monk wyprostował narożnik i ostrożnie wyglądził stronę. - Przeglądał też broszury reklamujące podróże na Hawaje i katalog z domami na sprzedaż w hrabstwie Marin.

- W takim razie lubił marzyć - odpowiedział

Stottlemeyer. - Ja u siebie w łazience trzymam broszurę promującą rejsy po Morzu Karaibskim. Lubię sobie wyobrażać, jak na pokładzie któregoś z tych okrętów sączę tropikalnego drinka. Ostatnio nawet często to robię.

- Milner zachowywał się jak człowiek, który ma do wydania *góré* pieniędzy. - Monk nie ustępował. - To się wydaje dziwne u kogoś z najniższego szczebla listy płac i kogoś, kto bierze nadgodziny, choć się tym naraża na szyderstwa strajkujących kolegów.

- Czy mam rozumieć, że twoim zdaniem Milner był umoczony w łapówkach?

- Moim zdaniem nie wszystko do siebie pasuje  
- odpowiedział Monk.

Poruszyłam niezdarnie ramionami, czym o sekundę wyprzedziłam niezdarne poruszenie ramionami Monka. Nie jestem pewna, czy zrobiłam to, bo zeszytniały mi ramiona, czy dlatego, że podświadomie naśladowałam ruch, który Monk miał za chwilę wykonać.

Przylapałam się na tym, zanim jeszcze równocześnie z Monkiem przekręciłam głowę to w jedną, to w drugą stronę. Jeszcze wcześniej nasze ruchy zauważył Stottlemeyer.

- Sprawdzimy jego konto bankowe - powiedział w końcu kapitan. - Choć nie sądzę, abyśmy znaleźli tam coś ciekawego.

- W porządku. - Monk wysiadł z samochodu i skinał na mnie, bym podała mu chusteczkę higieniczną; podałam mu ją, a Monk dokładnie wytarł sobie ręce. - Cóż, chyba pojedę do domu. Dajcie mi znać, jeśli wam będę potrzebny.

- Nie możesz jechać do domu, Monk - powie-



dział Stottlemeyer. - Twoja zmiana jeszcze się nie skończyła.

- Ale ty wróciłeś - zauważył Monk.

- Ty jesteś wciąż kapitanem wydziału - podkreślił Stottlemeyer.

- Ja?

- Dopóki burmistrz nie zdecyduje inaczej - wyjaśniał Stottlemeyer. - Masz do zamknięcia cztery sprawy o zabójstwo, a na twoje polecenia czeka zespół detektywów. Tę sprawę, ponieważ tutaj dotarłem wcześniej, chciałbym natomiast wziąć na siebie. Ty mógłbyś się zająć pozostałymi.

- Jak pan woli, kapitanie - odpowiedział Monk. - Pan jest szefem.

- Ty też jesteś kapitanem, Monk. Mamy tę samą rangę. Nie pracujesz pod moją komendą. To koleżeńska prośba.

- To bez sensu - powiedział Disher.

- Nie masz racji, Randy - powiedział dosadnie Stottlemeyer. - Więc jak będzie, Monk?

- Jak pan chce, kapitanie.

- Dziękuję, kapitanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, kapitanie.

- Może jednak przestaniemy się zwracać do siebie per kapitanie?

- Oczywiście - odpowiedział Monk. - Kapitanie.

## Monk i pomocny horoskop

Horoskop wydrukowany z komputera Allegry Doucet został przypięty do tablicy w pokoju detektywów obok wszystkich innych informacji związanych z czterema zabójstwami.

Cindy Chow i Sparrow rozmawiały o czymś, stojąc przed tablicą, a Porter, Wyatt, Jasper i Arnie siedzieli na swoich miejscach, czekając na rozwój wydarzeń. Myślę, że tym rozwojem miało być nasze przybycie.

Kiedy weszliśmy, głowy wszystkich odwróciły się w naszą stronę. Wyatt wstał.

- Doszły nas słuchy, że zginął policjant- powiedział Wyatt. - Proszę mnie wysłać na ulice, już ja dorwę gnoja, który to zrobił.

- Nie prowadzę tego śledztwa - powiedział Monk.

- To zabójstwo - zdziwił się Wyatt. - Pan jest kapitanem. Kto inny miałby prowadzić śledztwo? Ci, co wlepiają mandaty za parkowanie w niedozwolonym miejscu?

- Kapitan Stottlemeyer wrócił na służbę - powiedział Monk.

- Jakżeby inaczej, parę godzin po ujawnieniu spisku kosmitów - powiedziała Chow. - Zbieg okoliczności? Nie sądzę. Zaczęła się operacja utajnie-

nia naszego sukcesu. Niebawem wszyscy zginiemy przypadkową lub naturalną śmiercią. Nie będzie śladu ani po nas, ani po naszej robocie.

- Nie powiem, było fajowo - stwierdził ciężkim głosem Wyatt. - Komu powinniśmy zwrócić odznaki?

- Nikomu nie zwracacie odznak - odpowiedział Monk. - Kapitan Stottlemeyer przejął tylko śledztwo w sprawie Milnera. My dalej prowadzimy nasze sprawy.

- Naprawdę? - zapytała Chow z niedowierzaniem.

- Naprawdę - odpowiedział Monk.

- Macie łeb na karku - powiedziała Chow do najbliższego monitora komputerowego. - Intrygi w intrygach. Machinacje w machinacjach. Pudełka w pudełkach. Bardzo mnie ciekawi, do czego zmierzacie w tej rozgrywce.

- Do kogo ona mówi? - Porter zapytał Jaspera.

- Do nich - odpowiedział Jasper.

- Och! - Porter spojrzał w swój monitor i pomachał ręką. - Hej tam, cześć, jak leci?

Monk podszedł do tablicy i chyląc głowę, spojrzał z ukosa na wydrukowany horoskop. Nie mam pojęcia, co go skłoniło do myślenia, że patrzenie z ukosa na horoskop pozwoli mu zrozumieć wszystko, co ma przed oczami, niemniej jednak również spróbowałam. Ale to nie wyjaśniło mi tego galimatiasu.

Horoskop wyglądał jak koło jakiegoś pojazdu. Po obwodzie zewnętrznego kręgu biegło wąskie pasmo z numerami zapisanymi tak, jakby miały to być stopnie kątów, i z tuzinem symboli, których znaczeń nie rozumiałam. Domyślałam się, że mogły to być znaki zapisane w sanskrycie. Krąg wewnętrzny

podzielony był jak pizza na dwanaście trójkątów. Każdy z nich też był wypełniony jakimiś znakami i symbolami. W samym środku tego wszystkiego znajdowało się jeszcze jedno koło, pokreślone wielokolorowymi, przecinającymi się liniami, które wywołały we mnie przerażające wspomnienie geometrii oraz pani Ross, nauczycielki matematyki z liceum, która wciąż gra główną rolę w niejednym z moich sennych koszmarów.

- Udało się czegoś dowiedzieć o naszym świadku z jego horoskopu? - Monk zapytał Chow.

- Wszystkiego co najważniejsze, z wyjątkiem nazwiska, adresu i numeru telefonu - wtrąciła Sparrow. - Ponieważ Merkury jest w konstelacji Wodnika, a Wenus w konstelacji Ryb, szukamy osoby sympatycznej i twórczej, ale prawdopodobnie również tajemniczej, chciwej, z przerośniętym ego. Z kolei Uran jest w konstelacji Lwa, zatem nasz świadek to człowiek, który kocha wolność, przeciwstawia się władzy i ma bardzo mało samodyscypliny. Martwi mnie ten Neptun w konstelacji Skorpiona; oznacza, że to człowiek zdolny do okrucieństw.

Monk odwrócił się do niej zaskoczony.

- Ty też się znasz na astrologii?

- Mam na imię Sparrow, czyli wróbel - odparła.

- Nic to panu nie mówi?

Monk wpatrywał się w Sparrow z zakłopotaną miną. Nie miał pojęcia, co dziewczyna mogła mieć na myśli.

- Jacy rodzice dają swojemu dziecku takie imię? -

zapytała znów po chwili.

Monk wciąż nie rozumiał. Sparrow westchnęła ciężko, wkładając w to westchnienie tyle rozgory-

czenia przepojonego beznadzieją, że dziw brał, iż mogła jeszcze oddychać.

- Moi rodzice są zagorzałymi zwolennikami New Age. Uważają, że człowiek jest włączony w cykle natury - powiedziała. - Te cykle natomiast są związane z ruchem Ziemi wokół Słońca, najważniejszym cyklem ze wszystkich.

Jednym z rodziców Sparrow było dziecko Franka Portera. Trudno było mi sobie wyobrazić jego dziecko jako człowieka tak dalece liberalnego i oddanego prawom Matki Natury. Chyba że był to akt buntu przeciwko Frankowi, z którego dzieciak nigdy nie wyrósł.

Któregoś dnia Julie zacznie się buntować przeciwko mnie, tak jak ja się buntowałam przeciwko moim rodzicom. Mimowolnie zaczęłam się zastanawiać, jaką formę buntu przybierze zachowanie mojej córki. Na szczęście doszłam do wniosku, że mam jeszcze parę lat na poczynienie przygotowań.

- Czy horoskop pomoże nam zatem zlokalizować w jakiś sposób następną ofiarę zabójcy? - zapytał Monk.

- To mapa - odpowiedziała Sparrow. - Jeśli umie pan czytać mapę.

- Długość i szerokość geograficzna zaznaczone na horoskopie wskazują, że klient Allegry Doucet urodził się w San Francisco - powiedziała Chow. - Te znaki tutaj, biegnące dookoła horoskopu, to tranzyty, które obrazują codzienne ruchy planet. Tranzyty ustala się na podstawie miejsca, w którym aktualnie się znajduje nasz osobnik.

- Zatem San Francisco - stwierdził Monk.

W jego oku dostrzegłam błysk. Chow jeszcze nie skończyła wywodu, a już wiedziałam, że w głowie

Monka wszystkie elementy z wolna zaczynają się układać w całość.

- Słusznie - przytaknęła Chow. - Tranzyty wskazują, że nasz świadek mieszka w San Francisco. Dołączony solariusz, obliczony na podstawie urodzeniowej pozycji Słońca, opisany jest na okres następnych urodzin. Posiada te same tranzyty, a to oznacza, że do następnych urodzin świadek nie miał zamiaru się stąd ruszać, w każdym razie dopóki nie stał się świadkiem zamordowania Allegrы Doucet.

Teraz wszystko wydawało się logiczne, nawet dla kogoś takiego jak ja, pozbawionego jakichkolwiek talentów detektywistycznych.

- Tak więc zabójca zawęził listę potencjalnych świadków - powiedział. - Zdawał sobie sprawę, że ten, kto znalazł się tamtego wieczoru w łazience Allegrы Doucet, urodził się dwudziestego lutego sześćdziesiątego drugiego roku w San Francisco i nadal tu mieszka. Jednak w jaki sposób mógł zdobyć listę osób odpowiadających tym kryteriom?

- W wielu dostępnych bazach danych - powiedział Porter. - Wystarczy porównać nazwiska zebrane z aktów urodzenia sporządzonych w San Francisco dwudziestego lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku z danymi osobowymi dostępnymi dzisiaj w wydziale komunikacji, na spisach podatników, listach wyborców i tak dalej.

- Czy to jest trudne do zrobienia? - zapytał Monk.

- Zrobi to każdy dwunastolatek z dostępem do Internetu - wtrącił się Arnie. - Znam pewnego niesforneгo młokosa, który wykorzystał takie informacje do wykradzenia danych osobowych swoich

nauczycieli, wyrobienia na ich nazwisko kart kredytowych i pohulania w sklepach.

- Potrafiłby pan stworzyć taką samą listę osób, którą dysponował zabójca? - zapytał Monk Portera.

- Proszę mi dać parę godzin - odparł Porter. - Choć poszłoby jednak szybciej, gdyby mógł pan ściągnąć do pomocy tego niesfornego młokosa.

- Nie ma problemu - odparł Arnie. - Wyciągnę syna z lekcji. Na pewno skorzysta z okazji, żeby znowu się dorwać do klawiatury. Od czasu, gdy sąd zakazał mu dostępu do jakiegokolwiek komputera z łączem internetowym, chłopak jest nie do wytrzymania. Jestem pewien, że w tym wypadku sędzia będzie wyrozumiała i zrobi wyjątek. Dla dobra sprawy.

Monk odwrócił się do Wyatta.

- Kiedy Frank sporządzi listę, chciałbym, żebyście z detektyw Chow zaczęli szukać wytypowanych ludzi dopóty, dopóki nie znajdziecie klienta Allegra Doucet.

- Zakładając, że nie leży już w kostnicy - stwierdził Wyatt.

- Nie powinien pan im przyznać ochrony policyjnej? - zapytałam.

Monk potrząsnął głową.

- Za wszelką ochronę powinno im wystarczyć polecenie, aby przez następną godzinę, dwie nie wychodzili na ulicę i nie otwierali drzwi nieznanym.

Uśmiechnęłam się. Nie mówiąc tego głośno, Monk właśnie się zdradził, że rozwikłał zagadkę. Wiedział, kto jest zabójcą.

- Uważa pan, że wystarczy zatrzaskać drzwi, żeby byli bezpieczni? - zapytał Wyatt.

Źle postawione pytanie. Wyatt powinien był zapytać, dlaczego Monk uważa, że ci ludzie powinni siedzieć w domu tylko przez następne dwie godziny.

- Wyłącznie jeśli morderca czeka w tej chwili przed ich domem czy biurem - odparł Monk. - A o tym już niebawem się przekonamy.

- Jak? - zapytała Chow.

Chwycałam torebkę i kurtkę.

- Ponieważ właśnie jedziemy aresztować zabójcę, prawda, panie Monk?

- Taki mam istotnie plan - odpowiedział Monk. Jeśli o mnie chodzi, plan znakomity.

Max Collins wychodził właśnie z domu Madam Frost, kiedy zatrzymaliśmy się przy jego srebrnym maserati quattroporte, która to nazwa o wiele seksowniej oddaje styl i cenę auta niż określenie „czterodrzwiowy sedan włoskiej produkcji”. Collins miał na sobie garnitur od Armaniego, prawdopodobnie dodawany w standardowym wyposażeniu do samochodu - a może odwrotnie.

Zaparkowałam. Wysiedliśmy z Monkiem z mojego jeepa. Założyłam, że Susan Curtis i jej kolega w czarno-białym policyjnym „quattroporte” nie wypiszą mi mandatu i nie odholują samochodu.

- Kapitan Monk, jaka zaskakująca niespodzianka - powiedział Collins.

- Madam Frost nie powiedziała panu, że przyjedziemy? - zapytał Monk.

- Wiedziała? - zdziwił się Collins.

- Jeśli nie, to chyba nie najlepiej potrafi przewidywać przyszłość, prawda? - stwierdził Monk

- Niestety, astrologia nie jest aż tak precyzyjna.



Jednak Madam Frost zapowiedziała, że w niedalekiej przyszłości czeka mnie coś bardzo fascynującego.

- Myślałam, że przestał pan już ufać astrologii - powiedziałam.

- W kwestiach biznesowych, jak wcześniej mówiłem, owszem - odparł Collins. - Jednak w innych dziedzinach życia astrologia się okazuje przydatna. Madam Frost od lata doradza nie tylko mnie, ale też mojej rodzinie.

- Aż w końcu na horyzoncie pojawiła się Allegra Doucet - wtrącił Monk.

- Madam Frost jest jak kochana ciotka. Allegra Doucet to był raczej króliczek z „Playboya”. - Collins wzruszył ramionami. - Zresztą to ona mnie uwiodła. To dlatego pan przyjechał? Żeby zadać mi jeszcze parę pytań na temat Allegry?

- Przyjechaliśmy, żeby aresztować jej mordercę - oświadczył Monk.

- Czy powinienem zadzwonić po swojego adwokata?

- Może powinien pan zapytać o to Madam Frost? - odpowiedział Monk.

Jakby na zawołanie Madam Frost wyszła z domu i przykuśtykała do nas, wspierając się na swoim ciężkim, sękatym kosturze, który wydawał się tak stary, że musiał chyba być własnością samego Merlina. Skórę miała wysuszoną, a włosy siwe, oczy Madam Frost błyszczały jednak z uderzającą intensywnością. W tej chwili uwierzyłam, że ta kobieta potrafi przejrzeć nie tylko przyszłość, ale również moją duszę.

- Może pani wie, czemu zawdzięczamy tę wizytę? - zapytał ją Max Collins.

Madam Frost pokiwała mądrze głową. Była to

umiejętność, której nie posiadałam. Nie potrafiłabym pokiwać mądrze głową, nawet gdyby zależało od tego moje życie. Gdybym spróbowała, wyglądałabym pewnie tak, jakbym przelykała coś bardzo kwaśnego.

- Przewidziałam tę chwilę wiele dni temu - powiedziała.

- Zanim zabiła pani Allegrę Doucet? - zapytał Monk. - Czy może po tym, jak zabiła pani Johna Yamadę, Dianę Truby i Scotta Eggersa?

Collins wytrzeszczył na Monka oczy.

- Pan uważa, że Madam Frost zabiła Allegrę Doucet i trzy inne osoby?

- Ja wiem, że to zrobiła - stwierdził Monk. - Nie mam cienia wątpliwości.

- On w tych sprawach nie uważa - wtrąciłam, choć byłam nie mniej zdumiona jego oświadczeniem.

- Pan chyba nie mówi poważnie - powiedział Collins. - Madam Frost to słabowita pani po sześćdziesiątce, a Allegra była młoda, w doskonałej kondycji fizycznej. Naprawdę pan sądzi, że Madam Frost byłaby w stanie ją załatwić?

- Nie docenia pan Madam Frost - powiedział Monk. - Allegra Doucet popełniła ten sam fatalny błąd.

Madam Frost nie odezwała się słowem; wpatrywała się tylko w Monka świdrującym spojrzeniem. Monk jednak nie uciekał wzrokiem i patrzył jej w oczy, nie mrugnawszy nawet powieką. Kiedy Monk wykrywa zabójcę i staje z nim oko w oko, nigdy nie zadrży. To chwila, w której zdaje się nie przejmować ani sobą, ani otaczającym go światem. Przebywa w swojej strefie.

- Allegra była oszustką, która podkradła Madam Frost klientów i wypychała ją z rynku - ciągnął Monk. - Madam Frost nie była w stanie konkurować z Allegra, więc ją zabiła. Oto, jak do tego doszło.

Monk wyłożył karty na stół, czerpiąc przyjemność z każdego słowa swojego opowiadania. Nie musiał urządzać tego przedstawienia - mógł po prostu aresztować Frost, a całą opowieść zachować dla prokuratora okręgowego. Ale nie miałby z tego uciechy. To była chwila, na którą czekał w każdym śledztwie.

Jak powiedział Monk, Madam Frost weszła w piątek wieczorem do domu Allegrы przez frontowe drzwi, najprawdopodobniej pod jakimś sąsiedzkim pretekstem. Kiedy Allegra podniosła się z krzesła, Frost ugodziła ją nożem w pierś, a potem zadała jeszcze kilka ciosów. Allegra nie miała żadnej możliwości obrony. Kiedy padała na podłogę, już nie żyła.

W tym momencie Madam Frost usłyszała, jak ktoś splukuje wodę, i zorientowała się, że nie jest w domu sama. Zanim jednak zdołała dojść do łazienki, osoba, która była w środku, zdążyła uciec przez okno. Oczywiście Madam Frost ma swoje lata i jest zbyt słaba, by gonić za nią aż do samochodu, dokładnie obejrzała więc horoskop na ekranie monitora Allegrы, aby znaleźć tropy, które naprowadziłyby ją na świadka.

- Madam Frost wcale nie czuje takiego wstrętu do komputerów, jakbyśmy według jej życzenia myśleli - mówił Monk. - Wykorzystała Internet, aby na podstawie informacji uzyskanych z horoskopu sporządzić listę potencjalnych świadków zbrodni.

Monk wyjaśniał, że Madam Frost śpieszyła się, by zamordować wszystkich, zanim domniemany świadek dotrze na policję. Morderstwa wyglądały na zaimprovizowane, ponieważ w rzeczy samej były improwizowane. Podobnie jak Allegra Doucet, ofiary zostały zaatakowane z zaskoczenia od tyłu. Zabójczynie nie mogła podjąć tego ryzyka, by któraś z ofiar stawiała opór, ponieważ nie była fizycznie zdolna sobie z takim oporem poradzić.

- Kiedy przyszedliśmy do pani w sobotę rano, szła pani akurat do domu - mówił Monk. — Swoją samochód, ten, którym śmiertelnie potrąciła pani Johna Yamadę, musiała pani zaparkować na bocznej ulicy, ponieważ policja zatarasowała wjazd na pani posesję.

- Otwórzmy garaż i spójrzmy na pani samochód - powiedziałam. - Założę się, że na przednim zderzaku ma wgniecenie.

- Wiele osób w moim wieku ma w swoich samochodach wgniecenia - odparła Frost. - Niestety, nie jestem już tak dobrym kierowcą jak niegdyś. Parę tygodni temu wjechałam w latarnię.

- Latarnia nie krwawi - powiedziałam. - Na karoserii na pewno znajdziemy ślady krwi Yama-dy i inne dowody, nawet jeśli po morderstwie myła pani auto.

Nie miałam pojęcia, czy to jest prawda. Cała moja wiedza na temat medycyny sądowej brała się wyłącznie z powtarzanych w nieskończoność w telewizji *Kryminalnych zagadek Las Vegas*. Powiedziałam to z bezczelnym przekonaniem wynikającym z absolutnej nieznajomości rzeczy, ale ona nie potrafiła zaprzeczyć. Zrobiłam się więc pewna siebie.

- Poza tym na miejscu przestępstwa znaleziono błoto, które opadło z pani samochodu - powiedzia-  
łam. - Technicy w laboratorium bez kłopotu stwier-  
dzą, że pochodzi ono z okolic pani domu.

Znowu strzelałam w ciemno, ale tak mnie to  
bawiło, że w ogóle się tym nie przejmowałam. Nigdy  
dotąd nie odgrywałam roli detektywa; nigdy bym  
się na to nie poważyła, mając obok siebie kapitana  
Stottlemeyera, Dishera i policyjnych techników  
pracujących na miejscu zbrodni. Skoro jednak tym  
razem obok stał tylko Monk i dwóch mundurowych,  
pomyślałam, że mogę sobie pofolgować.

- To szaleństwo - powiedział Collins. - Spójrzcie  
tylko na nią. Czy ta kobieta rzeczywiście wygląda  
jak seryjny morderca?

- A niby jak powinni wyglądać seryjni morder-  
cy? - zapytałam, choć właściwie nie mogłam się z  
nim nie zgodzić.

Madam Frost nie wyglądała na osobnika budzą-  
cego jakiś szczególny strach.

- Cóż, przede wszystkim nie mają schorowanych  
kolan i nie człapią wszędzie o lasce - odpowiedział  
Collins.

- Właśnie dlatego kiedy szła zamordować Dianę  
Truby, Madam Frost zabrała po drodze spod jakie-  
goś sklepu pustą skrzynkę na warzywa — powiedział  
Monk, przenosząc znowu wzrok na Madam Frost. -  
Musiała pani usiąść w oczekiwaniu na ofiarę.

- To zupełnie nie ma sensu - stwierdził Collins.

Potrafiłam zrozumieć, że w oczach Maksa Col-  
linsa uwagi Monka wydają się kompletną bzdurą,  
ale dla mnie były jak najbardziej sensowne. Dosko-

nale poczułam w sobie to ostatnie, dające wielką satysfakcję, dociśnięcie ostatniego elementu, który dopełnia całość układanki. Zdałam sobie sprawę, że to samo musi odczuwać Monk, kiedy zamyka śledztwo, tyle tylko, że tysiąc razy silniej.

Sprawa skrzynki na warzywa intrygowała Monka. Pamiętam, że długo rozmyślał nad tym, dlaczego zabójcy chciało się nieść skrzynkę ze sobą. Frank Porter sugerował, że być może drętwiały mu nogi lub miał bóle w krzyżu. Choć ani Monk, ani Porter nie zdawali sobie wówczas z tego sprawy, to Frank miał całkowitą słuszność.

- Wepchnęła pani pod rozpędzony autobus Dianę, a potem, w piekielnym zamieszaniu na ulicy, spokojnie odeszła w swoją stronę - mówił Monk. - Jednak zostawiła pani skrzynkę. I to był błąd.

- Ciekawi mnie, czy są na niej odciski pani palców - dodałam po to tylko, by miała jeszcze jedno zmartwienie na głowie.

- Czekala też pani w alejce na Scotta Eggersa - ciągnął Monk. - Uderzyła go pani od tyłu, a potem owinęła jego głowę plastikowym workiem, który wyjęła pani z kubła na śmieci.

- Domyślam się, że uderzyła go pani tym kosturem, prawda? - powiedziałam.

- Też tak sądzę - stwierdził Monk.

Co za ulga, bo z mojej strony, prawdę mówiąc, była to absolutna zgaduj-zgadula.

- Jak pan myśli - odezwałam się do Monka - czy znalezienie śladów krwi Eggersa na kosturze będzie stanowiło trudność dla laboratorium policyjnego?

- Żadnej - odparł Monk, patrząc wcięż w oczy Madam Frost; intensywność jej spojrzenia słabła

niczym światło latarki, której rozładowują się baterie.

Wpadła i dobrze o tym wiedziała.

- Te oskarżenia są śmieszne - zapewnił Collins Madam Frost. - Skontaktuję panią z najlepszym adwokatem do spraw kryminalnych, choć przyznam, że nawet kiepski prawnik byłby w stanie rozerwać takie marne zarzuty na strzępy.

- Nie sędzę - powiedziała Madam Frost.

- Niech się pani nie martwi - rzucił Collins. - Tych dwoje wygaduje jakies totalne bzdury.

- Nawet bez świadka dowody są przytłaczające - powiedziała Madam Frost. - Zabiłam ich, mówią prawdę.

Collins spojrział na Madam Frost takim wzrokiem, jakby kobieta zamieniła się nagle w wilkoka. Szczeka mu opadła, oczy się rozszerzyły gwałtownie i chyba nie skłamię, jeśli powiem, że w końcu nawet włosy stanęły mu dęba, choć tego nie mogę być pewna. Powiedzmy po prostu, że był ciężko zszokowany, i tyle.

- Nie jestem policjantką, panie Monk - powiedziałam - ale myślę, że to odpowiedni moment, aby odczytać Madam Frost jej prawa.

- Czy mam to zrobić? - zapytał Monk.

- Pan jest kapitanem - odparłam.

Monk wyjął z kieszeni karteczkę, odchrząknął i zaczął głośno czytać to, co było na niej napisane. Uroczyście oznajmił Madam Frost, że ma prawo zachować milczenie, ma prawo do adwokata przed przesłuchaniem i tak dalej, wszystkie te dobrodziejstwa. Tak bardzo mu się to spodobało, że zaproponował odczytanie ich raz jeszcze, aby Madam

Frost była absolutnie świadoma, do czego ma teraz prawo.

- Znam swoje prawa, dziękuję panu - odpowie działa Madam Frost.

Monk jednak bardzo długo czekał na chwilę, w której mógłby odczytać komuś jego prawa, i chciał ją smakować jak najdłużej. Jak sądzę, taka chwila wzmacniała w nim poczucie, że rzeczywiście znowu jest policjantem.

- Fragment dotyczący adwokata może być niezrozumiały - zasugerował. - Prawdopodobnie powinniśmy odczytać tę część jeszcze raz.

- Zrzekam się tych praw — powiedziała Madam Frost. - Ich powtórne odczytywanie nie ma sensu. To ja zabiłam Allegrę Doucet i pozostałe ofiary.

Monk spojrział na Maksa Collinsa.

- Może pan chciałby posłuchać tych praw?

- Jestem aresztowany? - zaniepokoił się Collins.

- Nie - zapewnił Monk. - Po prostu każdy powinien wiedzieć, co mu wolno w świetle obowiązującego prawa.

- Jakoś dam sobie radę - stwierdził Collins.

Rozczarowany Monk wsunął karteczkę z powrotem do kieszeni.

Miałam do Madam Frost jeszcze jedno pytanie, na które Monk dotychczas nie odpowiedział.

- Allegrę Doucet zabiła pani w piątek wieczór - zaczęłam. - Dlaczego zabijała pani dalej, skoro przez całą sobotę, już po tym jak przejechała pani Johna Yamadę i wepchnęła pod autobus Dianę Truby, światła dek nie zgłaszał się na policję? Dlaczego nie założyła pani, że zabiła właściwą osobę lub że świadek po stanowił siedzieć cicho?



- Kierowały mną gwiazdy - odparła ponurym głosem. - Powiedziały mi, że policja mnie złapie. Usiłowałam odmienić swój los.

Gwiazdy miały rację. Nawet Max Collins otrzymał swoją dawkę emocji, którą mu obiecały w nie-dalekiej przyszłości. Stwierdziłam, że może jednak jest jakaś doza prawdy w astrologii. Będę musiała uważniej czytać swoje horoskopy.

## Monk idzie na obiad

Aby uczcić zamknięcie przez Monka ostatnich śledstw w sprawie zabójstw, zaprosiliśmy go z Julie do restauracji na obiad. Oznaczało to oczywiście, że po drodze musiałyśmy się zatrzymać w jego mieszkaniu, by zabrać ze sobą komplet talerzy i sztućców, które Monk zabierze do restauracji w specjalnym, wyściełanym, piknikowym koszyczku.

Poszliśmy do Mario&Maria, czy też M&M, jak mówi Julie, niewielkiej, rodzinnej restauracji przy Dwudziestej Ulicy, do której można było dojść pieszo z naszego domu w Noe Valley, jednej z nielicznych dzielnic, gdzie zachował się prawdziwy małomiasteczkowy klimat. Monk kilkakrotnie był już z nami w M&M, więc tamtejsza obsługa wiedziała, że należy zdjąć ze stołu jedno nakrycie i pozwolić mu rozłożyć własne talerze.

Monk zamówił dziesięć idealnie kwadratowych ravioli z sosem mięsnym, a my z Julie zadowoliliśmy się jedną pizzą z serem. Monk się uparł, że pokroi nam pizzę na osiem równych kawałków, do czego użył kompasu i linijki, które przyniósł specjalnie na tę okazję. Co prawda wołałybyśmy zamówić pizzę pepperoni, ale oznaczałoby to dla nas drogę przez mękę. Monk domagałby się, żeby na każdym kawałku pizzy była taka sama liczba plasterków

pepperoni i żeby wszystkie były ułożone w symetrycznych kręgach na całym cieście.

Podczas obiadu Julie opowiadała o swoim dniu w szkole, sprzeczkach z koleżankami i planach na resztę tygodnia. To była typowa, zwykła, rodzinna rozmowa o doczesnych sprawach, ale Monk zdawał się nią delectować. Podobnie zresztą Julie, która często się skarży, jaki to dziwak z pana Monka, a jednocześnie, gdy tylko jest w pobliżu, zabiega o jego zainteresowanie.

Monk wrzucił nawet plasterek cytryny do swojej szklanki z wodą Sierra Springs i czuł się, jakby pijał martini. Na całe szczęście nie musiał prowadzić samochodu.

Po obiedzie Monk wyszedł do restauracyjnej kuchni, aby samemu zmyć swoje talerze; w gumowych rękawicach, z własnym płynem do mycia naczyń i gąbką, które zabrał ze sobą specjalnie na tę okoliczność. Julie zachwycona poszła razem z nim. Nawet pomagała mu przy zmywaniu, choć w domu uznawała to zajęcie za niezwykle okrutną karę.

Właściciele restauracji nie mieli nic przeciwko temu dziwacznemu zachowaniu Monka. Zjednywał ich sobie tym, że przy okazji zmywał inne brudne naczynia, a nawet urządzenia kuchennego wyposażenia. Właściwie Mario&Maria była ostatnią restauracją w San Francisco, gdzie jeszcze tolerowano Monka, jeżeli oczywiście przebywał w moim towarzystwie.

- Ta restauracja ma klasę - powiedział Monk, kiedy wracaliśmy pieszo do domu. - Nie znajdziesz dziś wielu restauracji z tak idealnie kwadratowymi ravioli.

- Nie ma wielu ludzi, którzy by je mierzyli - skwitowałam.

- Tak. Tylko prawdziwi smakosze.  
- Pan jest smakoszem? - zapytała Julie.  
- Przecież mam stołową miarkę i kompas, prawda? - powiedział Monk. - Jak miło mieć sposobność, by odpocząć przy dobrym posiłku. Musiałem po tym wszystkim nabrać trochę oddechu.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić nikogo, kto wyjście na obiad, zmywanie naczyń i czyszczenie kuchni uznałby za relaks. Większość ludzi wychodzi do restauracji po to, żeby uciec od takich rzeczy, jak zmywanie garnków i patelni. Ale nie miałam zamiaru się z nim kłócić.

- Dziękuję wam za zaproszenie - powiedział Monk.

- Cała przyjemność po naszej stronie - odpowiedziałam.

- Ostatnie parę dni było pełne stresu - powiedział Monk. - Ale wydaje mi się, że to mógł być dla mnie punkt zwrotny.

- Mam taką nadzieję, panie Monk - odpowiedziałam.

- Bez ciebie jednak nie dałbym sobie rady - dodał.

- Nie jestem panu potrzebna do rozwikływania morderstw.

- Ale potrzebuję cię do całej reszty - stwierdził Monk. - Bez ciebie byłbym zgubiony.

- Kiedy nie będzie już panu potrzebna pomoc mamy, to będzie nas pan odwiedzał? - zapytała Julie.

- Pomoc zawsze będzie mi potrzebna - powiedział Monk.

- Jeśli jednak zostanie pan detektywem w wydziale zabójstw, to przez cały dzień będzie pan miał

wokół siebie mnóstwo policjantów służących panu pomocą - stwierdziła Julie. - To po co panu wtedy mama?

Miała rację. Ostatnie dni tak głęboko wciągnęły mnie w nowe, szalone życie Monka, że nie myślałam o dalszych konsekwencjach odzyskania przez niego odznaki policyjnej. Wątpię, aby się zgodzono na całodniową obecność osoby cywilnej przy Monku, Jednak w tej chwili bardziej od zabezpieczenia sobie w przyszłości pracy martwiło mnie pytanie Julie i uczucia, które tym pytaniem odsłoniła.

Odkąd jej ojciec zginął w Kosowie, Monk był jedynym mężczyzną, który istniał w jej życiu. I moim. Był kimś, na kim Julie mogła polegać. Jednego na pewno nie można mu odmówić; Monk jest konsekwentny. Obsesyjnie. Dzieci lubią rutynę, zapewnia im poczucie bezpieczeństwa - w przypadku Monka podwójne, a może nawet potrójne. Monk dawał jej poczucie bezpieczeństwa, a w efekcie Julie zdążyła się do niego mocno przywiązać.

Prawda zresztą była taka, że ja również.

Nie tak dawno każdy z nas trojga stracił bliską osobę w wyniku tragicznej śmierci. Nie potrafiliśmy znaleźć sobie wszyscy miejsca, dopóki Monk nie natrafił na nas, a my na niego. Nie łączyła nas miłość, ale coś bardzo bliskiego temu uczuciu, coś, czego warto się trzymać.

Podobnie jak Julie, mnie również interesowała odpowiedź Monka na jej pytanie.

Monk pochylił głowę w jedną i w drugą stronę i poprawił lekko kołnierz, który zupełnie nie wymagał poprawienia.

- Bez względu na to, co będę robił, będę po-

trzebował w życiu ciebie i twojej mamy - odpowiedział. - Jestem bezradny. Ale ty nie.

- Nie rozumiem - powiedziała Julie.

- Jestem osobą, która wymaga nieustannej troski, jak supermodel - mówił Monk. - Ludzie w końcu się mną męczą. Mój ojciec. Sharon. Lista jest długa.

- Ja się nigdy panem nie zmęcę, panie Monk - zapewniła Julie, wciskając mu rękę pod ramię. - Jeśli pan obieca, że pan nigdy się nie zmęczy mną.

- Umowa stoi - obiecał.

Ja również ujęłam go pod rękę.

- Umowa stoi - powiedziałam i pocałowałam go delikatnie w policzek.

To mu się nie podobało, ale przynajmniej był na tyle mądry, że nie poprosił mnie o chusteczkę.

Potem odwiozłam Monka do domu, a kiedy wróciłam do siebie, Julie już zasnęła. Byłam skonana i spodziewałam się, że w parę sekund po złożeniu głowy na poduszce będę spała jak suseł. Tak się jednak nie stało.

Nie mogłam przestać myśleć o naszej krótkiej rozmowie po obiedzie. Co bym zrobiła, gdyby Monk przestał mnie potrzebować?

Choć pensja była marna, godziny pracy obłąkane, a pakiet socjalny po prostu nie istniał, to praca, którą dostałam raczej przez przypadek niż w sposób zaplanowany, zaczęła mi bardzo odpowiadać.

W pewnym sensie zazdrościłam Monkowi. Jego życie miało swój kierunek. Wiedział, kim jest, jakie posiada talenty i co ma do zrobienia na ziemskim padole. Wiedział od dziecka. Monk to urodzony detektyw. Jest w tym po prostu genialny.

Ja tymczasem nie miałam pojęcia, z czym przyszedłam na świat, w czym byłam dobra ani w jakim kierunku zmierza moje życie. Zakładam, że są gdzieś ludzie, którzy jak ja też nie znają swojego celu w życiu, ale mimo to czuję się jak ta jedna jedyna, która się nie narodziła z zainstalowanym odpowiednim oprogramowaniem.

Nigdy mnie nie ciągnęło do tego czy innego zawodu. Nigdy nie przejawiałam jakiegoś rzucającego się w oczy, artystycznego czy sportowego talentu. Za każdym razem, kiedy spotykam kogoś, kto zawsze w życiu wiedział, kim chciał w przyszłości zostać, czuję po prostu głęboką zazdrość.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak to jest rosnąć z poczuciem pewności, że natura obdarzyła cię talentem do malowania, śpiewania, dyskusowania czy ciskania piłką baseballową. Zastanawiałam się, jak to jest rosnąć z poczuciem palącego pragnienia zdobycia jakiegoś określonego zawodu; weterynarza, astronauty, prawnika, kucharza, ogrodnika czy inżyniera. To musi być wspaniałe. (Przez pewien czas chciałam zostać jednym z Aniołków Charliego, ale to się chyba nie liczy. Chciałam też kiedyś zostać gwiazdą rocka, ale głównie ze względu na szafę pełną ciuchów i nieustanne komplementy.)

Wielu ludzi odnajduje swoje powołanie na studiach, odkrywając raptem na jakichś zajęciach lub praktykach, kim chcą być lub co chcą robić. Albo znajduje je po pierwszej albo drugiej pracy, jakie podejmują po studiach. Czasem powołanie odnajduje ich.

Zapewne jest też tak, że nikt nie dorasta, marząc, by zostać na przykład sprzedawcą ubezpieczeń samochodowych, ale są ludzie, którzy to robią i od-

noszą w tym zawodzie sukcesy. Dzieje się po prostu tak, że zaczynają pracę w świecie ubezpieczeń i nagle odkrywają, że, hej, to jest coś dla mnie, jestem do tego urodzony i, kurczę pieczone, jestem w tym naprawdę dobry.

Ja wciąż czekam na taką chwilę spełnienia.

Mój mąż, Mitch, zawsze wiedział, że chce latać samolotami. Był nieszczęśliwy, gdy przychodziło mu zbyt długo chodzić po ziemi. Musiał być w powietrzu. Ale samo latanie też mu nie wystarczało; musiał się za tym kryć cel większy niż przewiezienie podręcznych czy paczek pocztowych z jednego miasta do drugiego. Mitch miał przemożną potrzebę służenia krajowi. Podziwiałam jego pasję do latania i poświęcenie służbie wojskowej, ale chyba tylko udawałam, że je rozumiem, bo we mnie nigdy się taki zew nie odezwał.

Tłukłam się w życiu tu i tam, mając się tych czy innych dziwacznych zajęć. Poniosło mnie nawet w małżeństwo i macierzyństwo, choć nie planowałam tego świadomie ani nawet tego nie pragnęłam.

Praca u Monka jest dla mnie najbardziej interesującym i najbardziej satysfakcjonującym zajęciem, jakie kiedykolwiek miałam - a jednocześnie najbardziej denerwującym, czasochłonnym, frustrującym i niepewnym finansowo. Wpadłam jednak na tę posadę tak samo przypadkowo jak na wszystko inne w swoim życiu.

Czy bycie asystentką wielkiego detektywa było moim powołaniem?

Nie wiem.

Może żyje gdzieś inny nieprzystosowany detektyw, któremu mogłabym pomagać. Ale jakie są moje



kwalifikacje zawodowe? Czy Monk, kapitan Stottlemeyer albo doktor Kroger daliby mi listy polecające? Jeśli tak, to co by w nich napisali?

Zresztą nawet gdyby wsparli mnie w zawodowej karierze „pomocnika detektywów”, to jakoś trudno mi było wyobrazić sobie siebie samą u boku Franka Portera, Cindy Chow, „Szalonego” Jacka Wyatta czy innego Holmesa z problemami.

Moja relacja z Monkiem była wyjątkowa. W jego temperamencie, łagodnej duszy, w naszym wspólnym bólu było coś, co sprawiało, że nadzwyczaj dobrze pasowaliśmy do siebie.

Pozostawało mi mieć nadzieję, że znowu na coś w życiu wpadnę, oby na coś, co przyniesie wielkie pieniądze. Tak więc zamartwiałam się i fantazjowałam do białego świtu, aż wreszcie powoli ogarnął mnie litościwy sen.

## Monk i koty pod biurkiem

We wtorki Monk regularnie spotyka się z doktorem Krogerem, swoim psychiatrą. Terapeuta działa mi trochę na nerwy. Obawiam się, że analizuje moje słowa, mój język ciała, a nawet stopień rozszerzenia źrenic, żeby ocenić, jak bardzo jestem naprawdę stuknięta.

Poza tym przez cały czas jest za bardzo odprężony. To nienaturalne. Mogłabym wejść do gabinetu doktora Krogera z maczetą w piersi i małpą na głowie, a on by nawet nie drgnął. Prawdę mówiąc, mam ochotę coś takiego zrobić tylko po to, żeby zobaczyć, co się stanie.

Doktor Kroger powitał nas w swojej nieskazitelnie czystej poczekalni. Nie wiem, czy panował w niej taki porządek, ponieważ bałagan irytowałby pacjentów podobnych Monkowi czy też doktor sam przejawiał już symptomy zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych.

- Gratuluję, Adrianie - powiedział doktor Kroger.

- Czego? - zapytał Monk.

- Przywrócenia do służby i awansu na stopień kapitana. Bardzo mnie to cieszy.

- Widział mnie pan w telewizji?

- Widziałem.

- Zatem przyzna pan, że było to prawdziwe polityczne starcie, dorównujące wagą debacie Nixona z Kennedym - powiedział Monk.

- Z całą pewnością było to coś, czego się nie zapomina - odpowiedział doktor Kroger, wprowadzając Monka do gabinetu. - Rozgość się, Adrianie. Zaraz wrócę.

Doktor zamknął za sobą drzwi i spojrzał na mnie.

- Jak sobie radzi?  
- Nie powinien pan jemu zadać tego pytania?  
- Jest pewna różnica między jego odbiorem nowej sytuacji a twoim.  
- Dobrze sobie radzi - odpowiedziałam. - Jest trochę oszołomiony.  
- Jak sobie radzi z dodatkową odpowiedzialnością w pracy?

- Jest na ostrym zakręcie pobierania nauk - odparłam. - Ale jak na razie wykrył sprawców wszystkich morderstw, którymi się zajmował.

Doktor Kroger pokiwał mądrze głową. Zastanawiałam się, czy on i Madam Frost ćwiczyli ten gest przed lustrem, aby opanować go do perfekcji, czy też pojawiał się u nich w sposób naturalny, ze świadomości głębi wiedzy, której mi po prostu nie było dane osiągnąć.

- Czy nie przejawia lęków przed swoją sprawnością?

- Czyż nie jest tak, że każdy mężczyzna przejawia lęki przed własną sprawnością?

Doktor Kroger się uśmiechnął, ale ten uśmiech wydawał mi się wymuszony. Jak na człowieka nieustannie odprężonego, Kroger nie grzeszył wielkim poczuciem humoru.

- Nikt z wydziału nie konsultował ze mną de-

cyzji, czy Monk może wrócić na służbę - powiedział doktor Kroger.

- Czuje się pan lekceważony?

W pytaniu zagrał trochę podtekst psychoterapeutyczny, więc się nie zdziwiłam, że Kroger pominął je milczeniem. Zaskoczyła mnie natomiast następna uwaga doktora.

- Nikt też nie konsultował ze mną sprawy Franka, Cindy i Jacka - powiedział.

- To również pańscy pacjenci?

- Wszystkich kierował do mnie departament - wyjaśnił doktor Kroger. - Nie sądzę, aby w normalnych okolicznościach wrócili do pracy bez mojej pozytywnej opinii i bez przesłuchań przed komisją rewizyjną.

- To nie są normalne okoliczności - odparłam.

- Jednak wszystko wróci do normy, panno Tee-ger. Związkowcy i przedstawiciele władz miasta wrócili do rozmów. Martwię się, co będzie z Adrianem i pozostałymi detektywami, kiedy miasto dojdzie ze związkiem do porozumienia.

- Dowiedli chyba, że można na nich liczyć - powiedziałam. - Sprawiedliwość nakazywałaby pozostawienie ich na służbie.

- Życie rzadko bywa sprawiedliwe - odpowiedział doktor Kroger. - Polityka tym bardziej.

Po tej krzepiącej uwadze Kroger wyszedł do gabinetu, a ja usiadłam w fotelu z najnowszym numerem „Cosmo” w ręku. Jednak trudno było mi się skoncentrować na artykule z obiecującym tytułem: *Dziesięć tajemnic, które sprawią, że twój mężczyzna oszaleje w sypialni*, i to wcale nie dlatego, że brakowało mi mężczyzny, na którym mogłabym te tajemnice wypróbować.

W pokoju detektywów od progu wyczuwało się ogromne napięcie. Wielu „chorych” policjantów wróciło do pracy, aby uczestniczyć w śledztwie w sprawie zabójstwa kolegi. Tłoczyli się teraz w jednym końcu pokoju, rzucając złowrogie spojrzenia na siedzących w drugim końcu Wyatta, Chow i Portera.

Stottlemeyer siedział w gabinecie, zagrzebany w stosie papierków, lekceważąc narastające za drzwiami, widoczne jak na dłoni animozje.

Jasper, Arnie i Sparrow stali w strefie zdemilitaryzowanej, przy ekspresie do kawy.

Disher usiadł przy swoim biurku i próbował przysunąć sobie pojemnik na ołówki. Ten jednak nie ruszył się ani o milimetr.

- Kto przykleił mój pojemnik na ołówki do biurka? - zapytał głośno Disher. - Komuś się wydaje, że to dobry dowcip?

Kiedy pozostali policjanci zaczęli zauważać, że ich notesy, telefony i inne biurkowe akcesoria także są przyklejone do blatu, Jasper podniósł wysoko kołnierz, jakby chciał się stać niewidzialny.

Zespół Monka zebrał się wokół biurka Franka Portera.

- Frank dał nam listę piętnastu ewentualnych świadków morderstwa Allegry Doucet - meldował Wyatt. — Naszego bohatera znaleźliśmy w trzecim ze sprawdzanych mieszkań. Nazywa się Tono Busok.

- Dlaczego nie zgłosił się na policję? - zapytał Monk.

- Zajmuje się sprzedażą ściąganych przez Internet filmów - wyjaśnił Wyatt. - W mieszkaniu znaleźliśmy arsenał pięćdziesięciu kopiarek DVD. Bał się, że jego działalność wyjdzie na jaw, jeśli

pójdzie na policję, i aresztujemy go za nielegalne skopiowanie *Nagiego Instynktu 2*.

- Dla takiego błahego przestępstwa pozwolił działać mordercy - powiedział Monk. - Co za człowiek.

- Mówiłem już, że Busok mieszka w piwnicy domu swojej matki? - mówił dalej Wyatt. - Wystarczyło, że postraszyłem go FBI, a facet pękł. Złożył szczegółowe zeznanie na temat tego, co widział w domu Doucet. Zabójstwo zostało dokonane dokładnie tak, jak pan mówił.

- Wcale nie - wtrąciła Chow i odwróciła się do Monka. - Madam Frost mówiła podczas pierwszego spotkania, że знаła najważniejsze postacie hippisowskiego „lata miłości”, prawda?

- Twierdziła, że smakowała LSD z Timothyem Learym i spotykała się z Janis Joplin - powiedziałam.

- Super - zachwycił się Jasper.

- Wreszcie jest jasne, co tu się naprawdę stało - ciągnęła Chow. - W latach sześćdziesiątych Madam Frost była agentem operacyjnym wydziału „MK-Ultra”. Zaopatrywała kontrkulturę w LSD, przemieniając młodzież w szczyry doświadczalne na użytek eksperymentów prowadzonych przez „MK-Ultra”. To nie przypadek, że Allgera Doucet wprowadziła się do domu po drugiej stronie ulicy. Wiedziała, kim i czym jest Madam Frost. Kiedy jednak zaczęła wiedzieć zbyt wiele na temat spisku przybyszów z kosmosu, agencja „Omega” nakazała Madam Frost wyeliminowanie Allegry i ludzkiego potomstwa zrodzonego z krzyżowania gatunków.

- Uważa pani, że każdy z listy urodzonych w San Francisco dwudziestego lutego sześćdziesiątego dru-

giego roku jest dzieckiem z próbki kosmitów? - zapytała Sparrow.

- Niektórzy tak - wyjaśniła Chow. - Niektórzy jednak nie. Zobaczymy za rok, kto z tej listy będzie jeszcze żył.

- Co z nami? - zapytał Parker. - Czy my również mamy być wyeliminowani?

Chow potrząsnęła głową.

- Już nie. Nieświadomie Monk pomógł kosmitom przesłonić całą operację. Wszyscy teraz wierzą w opowieść Madam Frost, bo jest logiczna. Nikt nie zada sobie trudu, by wnikać głębiej w sprawę. Jeszcze jedno zwycięstwo gabinetu cieni kosmitów.

- Uff... - powiedział Wyatt. - Nie ma co, dobrze wiedzieć, że nie muszę się oglądać za siebie w obawie przed E.T.

Monk poprosił, aby wszyscy spisali raporty dotyczące zamkniętych śledztw, i poszedł do kapitana Stottlemeyera. Po cichu wsadził głowę do jego gabinetu.

- Jak leci, kapitanie? - zapytał.

- Nie najlepiej, Monk - odpowiedział Stottlemeyer. - Ale słyszałem, że wczoraj wieczorem udało ci się zamknąć cztery śledztwa w sprawie morderstw.

- Łuty szczęścia - stwierdził Monk. - Jak bieg sprawy Milnera?

- Przysiadł - odpowiedział Stottlemeyer. Monk przysiadł. Zaskoczony Stottlemeyer podniósł się wolno zza biurka i spojrzał w dół na Monka.

- Co ty, do diabła, robisz, Monk? - zapytał.

- Przysiadam.

- To tylko takie powiedzenie - tłumaczył Stottlemeyer. - Sprawa siadła, znaczy nic nie mam, zero, kicha.

- Jestem jednak pewien, że to znaczy tyle, co przysiąc na piętach - mówił Monk. - Właśnie tak.  
Do gabinetu wszedł Disher z jakimiś aktami.  
- Co pan robi, Monk? — zapytał.  
- Kapitan prosił, żebyśmy przysiedli.  
Disher przysiadł obok Monka.  
- Dlaczego? Zgubił szkło kontaktowe?  
- Wstańcie! - nie wytrzymał Stottlemeyer. -  
Obaj.  
Wstali.  
- Ma pan koty pod biurkiem - oznajmił Monk. -  
Był pan tego świadom?  
- Nie, nie byłem - odparł Stottlemeyer, siadając znowu na krześle.  
- Jeśli się przysiadzie w tym miejscu - Monk znowu przysiadł - doskonale widać kłębki kurzu.  
- Więc nie przysiadaj - stwierdził Stottlemeyer.  
- Mimo to będę wiedział, że tam są koty - powiedział Monk. - Pan też będzie wiedział.  
- Jakoś to przeżyję. - Stottlemeyer zerknął ukradkiem przez szybę na pokój detektywów. - Wstań, Monk.  
- Przyniosę zmiotkę i szufelkę - powiedział Monk, kierując się do drzwi. - Potem mi podziękujesz.  
- Nie - zaproponował stanowczo Stottlemeyer, zatrzymując Monka. - Nie możesz iść po miotłę ani zamieść mojego gabinetu.  
- Dlaczego nie?  
- Ponieważ jesteś kapitanem i będzie to źle odczytane przez podwładnych. - Stottlemeyer skinął głową na detektywów za szybą, którzy robili wszystko, by pokazać, że nie interesuje ich, co się dzieje w gabinecie Stottlemeyera, choć oczywiście bardzo ich interesowało.



- Co będzie źle odczytane? To, że koty pod biurkiem są czymś niedobrym? - zapytał Monk.

- To, że zachowujesz się, jakbyś mi służył - odparł Stottlemeyer. - Mamy przecież ten sam stopień.

- Ludzie stracą do pana szacunek - dodał Disher.

- Właśnie - przytaknął Stottlemeyer. - Randy, skocz po zmiotkę i szufelkę.

- Ale panie kapitanie - powiedział Disher. - To będzie źle odczytane.

- Co? - zapytał zdziwiony Stottlemeyer.

Disher zniżył głos.

- To, że panu służę...

- Powinieneś mi służyć, poruczniku - odparł sucho Stottlemeyer.

- Czy te koty nie mogą poczekać? - zapytał Disher błagalnym głosem.

- Nie bez powodu nazywają się kotami - powiedział posępnie Monk. - One się kocą w zatrwającym tempie. Wkrótce w całym budynku będziecie mieli roje kotów. Potem będzie tylko gorzej. Bardzo, bardzo źle. To nie jest widok, który chcielibyście ujrzeć. Możecie mi wierzyć.

Stottlemeyer westchnął.

- Randy, Monk nie potrafi myśleć, wiedząc, że mam pod biurkiem kłęby kurzu, a chciałbym, żeby teraz intensywnie pomyślał.

- Tak jest! - Disher rzucił akta na biurko i obruszony wymaszerował z gabinetu.

- O czym mam intensywnie pomyśleć? - zapytał Monk Stottlemeyera.

Zobaczyłam, jak Disher podchodzi do któregoś

z detektywów i wydaje mu polecenie - zapewne, by przyniósł zmiotkę i szufelkę.

- O zastrzeleniu Milnera - powiedział Stottlemeyer. - Widziałem się z jego żoną. Mieszka w ciasnym mieszkanku w San Mateo. Jeździ ośmioletnim nissanem. Jeśli mają jakieś pieniądze, to dobrze je zakopali. Mój dzieciak ma więcej forsy w skarbnicy niż Milnerowie na koncie bankowym. Kobieta nie ma pojęcia, co zamierzał Milner poza tym, żeby pracować za dwóch i utrzymać rodzinę.

Zobaczyłam, jak detektyw, z którym rozmawiał Dishar, podszedł do jakiejś policjantki i wydał jej jakieś polecenie. Byłam dziwnie pewna, co miał jej do powiedzenia.

- Czy Milner miał wrogów? - Monk się pochylił, by mieć koty na oku; na wypadek gdyby chciały dać drapak. - Może ktoś, kogo aresztował, chciał się zemścić?

- Był złotodziobem. - Stottlemeyer wziął do ręki jakąś kartkę i wręczył ją Monkowi. - To jego karta zatrzymań. Tylko tyle. Jedna kartka. Sam zobacz. Nic wielkiego, rutynowe wykroczenia drogowe, jakieś łajzy, pijacy, parę zatrzymań za uliczny, groszowy handel narkotykami. W grę wchodziły najwyżej jednodobowe areszty, nic, za co ktoś w odwecie byłby zdolny zabić.

Zobaczyłam, jak policjantka wraca ze zmiotką i szufelką, podaje je detektywowi, ten przynosi je Disharowi, a ten z kolei wchodzi z nimi do gabinetu Stottlemeyera. Byłam tak pochłonięta obserwowaniem tej małej gry o władzę, że o mały włos uszłoby mojej uwagi, jak Monk, niemal niezauważalnie, dziwnie prostuje plecy. To był znak. Wpadł na trop.

- Co? - Stottlemeyer też to zauważył.

- Tu jest napisane, że osiem miesięcy temu Milner aresztował Bertruma Grubera za zakup porcji narkotyków w parku Potrero.

- Co z tego? - zapytał Stottlemeyer.

Monk podniósł oczy znad kartki i zobaczył Dishera.

- Są tam, koło nogi biurka - powiedział. Poirytowany Disher machnął pod biurkiem zmiotką.

- Ostrożnie! - zawołał Monk. - Jeden niewłaściwy ruch i koty się rozproszą, a wtedy, kolego, szukaj wiatru w polu.

- Monk - odezwał się Stottlemeyer, próbując powściągnąć złość w swoim głosie. - Czy możemy się skoncentrować na tym, co jest naprawdę ważne?

- Nic bardziej słusznego. - Monk odebrał Disherowi zmiotkę i szufelkę. - Odsuń się. Muszę mieć więcej miejsca. To delikatna i złożona czynność.

Monk ukląkł, ostrożnie wsunął zmiotkę pod biurko i zmiotł kłębki kurzu na szufelkę w taki sposób, jakby miał do czynienia z nitrogliceryną. Nad jego brwiami pojawiły się kropelki potu. Zagryzł dolną wargę. Wszystko to trwało chyba z pięć minut.

Stottlemeyer rozparł się na krześle i zaczął sobie masować skronie.

Kiedy Monk zebrał kurz na szufelkę, wstał bardzo powoli, trzymając szufelkę w idealnej równowadze i uważając, aby nie przechylić jej w żadną stronę. Ostrożnie przeszedł do kubła na śmieci, przesunął szufelkę nad jego otwór i powolutku zaczął ją przechylać, aż w końcu kurz wpadł do środka. Misja zakończona.

Jego ciało się rozluźniło. Monk odetchnął i opadł ciężko na jedno z krzeseł kompletnie wyczerpany.

- Mało brakowało... - szepnął.  
Stottlemeyer westchnął.  
- Uważasz, że moglibyśmy już wrócić do sprawy zabójstwa Kenta Milnera?

- Wody - powiedział do mnie Monk.

Sięgnęłam do swojej głębokiej torby po butelkę wody Sierra Springs. Była to ta sama torba, której używałam, gdy Julie była jeszcze mała, i przez cały dzień nosiłam przy sobie pieluszki, mleko dla niemowląt i chusteczki. Teraz taszcze w niej chusteczki, gumowe rękawiczki, woreczki foliowe Ziploc i butelki wody Sierra Springs, jedynej, jaką Monk pije.

Podalam mu butelkę, Monk ja otworzył i pociągnął długi łyk.

- Jakie znaczenie ma fakt, że osiem miesięcy temu Milner zatrzymał Bertruma Grubera? - zapytał Stottlemeyer.

- Gruber był świadkiem, który zgłosił się na policję z informacją, że rozpoznał „Dusiciela Golden Gate” - powiedział Monk.

- Alias „Bies butów” - dodał Disher.

- Dziękuję - rzucił Stottlemeyer.

- Gruber twierdzi, że w dniu popełnienia morderstwa wyszedł rano do osiedlowego ogródka, żeby podlać truskawki - tłumaczył Monk. - Powiedział, że widział, jak Charlie Herrin wychodzi z parku z butem ofiary w ręku. Zdążył nawet zapamiętać fragment numeru rejestracyjnego samochodu Her-rina.

- Znowu trafił ci się łut szczęścia - powiedział Stottlemeyer. - Zagarniasz tych łutów więcej, niż wynosi twój przydział.

- Jednak Gruber kłamał - mówił dalej Monk. -

- Tak, już to powiedziałaś - zauważył Stottlemeyer.

- Jest to zapisane na karcie zatrzymań - dodał Monk.

- Wiem - odparł Stottlemeyer. - Umiem czytać.

- Więc wszystko jasne - stwierdził Monk.

- Jasne?

- Czy ten zbieg okoliczności nie daje do myślenia?

- Jaki zbieg okoliczności? - zapytał Stottlemeyer.

- Wszyscy troje, w pewnych odstępach czasowych, znajdowali się w tym samym parku.

- Dzielnica Potrero Hill była rewirem Milnera - powiedział Stottlemeyer. - Bertrum Gruber tam mieszka, a Charlie Herrin porzucił ciało w parku Potrero, gdzie pracował Kent Milner i gdzie Gruber kręcił się w poszukiwaniu narkotyków. Nie widzę tu żadnego zbiegu okoliczności. Widzę logiczne wytłumaczenie tego, jak krzyżowały się ścieżki ich życia. Z całą pewnością nie widzę motywu, dla którego Gruber miałby zamordować Kenta Milnera.

- Ja też nie - odezwał się Disher. - Całkowicie podzielam w tej kwestii zdanie kapitana. To znaczy kapitana Stottlemeyera, nie pańskie.

Ja również podzielałam zdanie Stottlemeyera i Dishera, ale jednocześnie doskonale wiedziałam, że Monk w tych sprawach nigdy się nie mylił. Uważałam, że powinni natychmiast jechać zatrzymać Bertruma Grubera, a dopiero potem się martwić, jak Monk to uzasadni. Próba nadążania za myśleniem Monka przyprawiała mnie tylko o monstualny ból głowy. Wydaje mi się, że jeśli ktoś nie ma tak pokręconego mózgu jak Monk - a kto ma? - to próba myślenia na sposób Monka prowadzi do kata-

pultowania się wszystkich neuronów w przeciwnym kierunku. To naprawdę może być niebezpieczne dla zdrowia psychicznego.

- Milner był jednym z policjantów, którzy po znalezieniu ciała zabezpieczali w parku miejsce zbrodni - zaczął tłumaczyć Monk. - Dwa dni później na policję zgłosił się Bertrum Gruber i skłamał, że nad ranem w dniu morderstwa widział, jak Char-lie Herrin wychodzi z parku, dzięki czemu wygrał nagrodę w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów za informację prowadzącą do ujęcia „Dusiciela Golden Gate”.

- Uważasz, że to nie Charlie Herrin udusił te kobiety? - zapytał Stottlemeyer.

- Och, to o zrobił zdecydowanie Herrin - odpowiedział Monk. - Jest winny.

- Nic już nie rozumiem - zrezygnowany Disher usiadł na krześle.

- W takim razie, w którym momencie Gruber kłamał? - zapytał Stottlemeyer.

- Twierdząc, że był rano w parku - odparł Monk. - Nie był w parku, nic nie widział. Oszukał nas.

Czułam, jak moja głowa rozpada się na dwa kawałki.

- W takim razie skąd miał informacje dotyczące Herrina?

- Milner wszystko mu powiedział - odpowiedział Monk.

Stottlemeyer, Disher i ja wykonaliśmy jeszcze jedną karuzelę osłupiających spojrzeń. Jednak ani trochę nie pomogła na mój ból głowy. Zaczęłam szukać w swojej głębokiej torebce tabletek na ból głowy albo tłuczka, żeby się walnąć w łeb.

- A Milner skąd wiedział? - zapytał Disher.

- O bucie wiedział, bo był na miejscu zbrodni - odpowiedział Monk. - Skąd się dowiedział reszty, tego nie wiem.

- Zakładając, że masz rację, a jest to założenie o skali iście biblijnej - powiedział Stottlemeyer - dlaczego Milner nie zatrzymał „Dusiciela”? Po takim zatrzymaniu kariera stałaby przed nim otworem. Cała chwała przypadłaby wyłącznie jemu.

- Chwała tak, ale z dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów nagrody ani jeden cent - tłumaczył Monk. - Będąc zatrudnionym przez miasto, nie kwalifikował się do nagrody. Sam pan mówił, kapitanie, że w domu Milnerów się nie przelewało. Nagroda przyniosłaby rodzinie więcej pożytku niż zatrzymanie Herrina.

- Zatem podstawił Grubera, przekazał mu informacje, a nagrodą mieli się podzielić, czy tak? - mówił Stottlemeyer. - Tyle tylko, że Gruber okazał się pazernym jegomościem i postanowił całość zatrzymać dla siebie.

- Tak właśnie myślę - odparł Monk. - Tak też rzeczywiście było.

- Skąd pan wie? - zapytał Disher.

- Te katalogi i broszury reklamowe w radiowozie Milnera - powiedział Monk. - Interesował się samochodami, domami i podróżami, na które nie stać zwykłego policjanta.

- To wszystko? - powątpiewał Stottlemeyer. - To cały fundament twojej hipotezy?

- Mniej więcej - odpowiedział Monk. - Jest jeszcze ta sprawa truskawek.

- Jaka sprawa truskawek? - zapytał Stottlemeyer.

- Lepiej, żeby pan nie wiedział - wtrąciłam

szybko, przełykając bez popicia dwie tabletki przeciwbólowe.

- Poza tym Gruber nie znał daty urodzenia własnej matki - dodał Monk.

- Słucham? - zapytał zdziwiony znowu Stottlemeyer.

- Gruber twierdził, że zapamiętał numery rejestracyjne samochodu Herrina, bo odpowiadały cyframi z daty urodzin jego matki; „M, pięć, sześć, siedem”, czyli maj, piątego, sześćdziesiątego siódmego roku. Aby jednak była to prawda, matka musiałaby go urodzić w wieku dziesięciu lat, co wydaje mi się nadzwyczaj mało prawdopodobne.

- Może go adoptowała? - rzucił Disher.

Stottlemeyer spojrzał na mnie.

- To tabletki na ból głowy?

Przytaknęłam.

- Nawet jeśli, to arytmetyka i tak się nie zgadza - stwierdził Monk. - Jeśli jego matka się urodziła w sześćdziesiątym siódmym roku, to ma dzisiaj czterdzieści lat, a Gruber ma trzydzieści.

- Może go adoptowała, gdy miała dwadzieścia lat, a on dziesięć? - wyraził przypuszczenie Disher.

- Możesz mi rzucić te pigułki? - poprosił Stottlemeyer, a ja rzuciłam mu fiolkę.

- To nadal nijak się nie sumuje - upierał się Monk.

- Nie jestem pewien - stwierdził Disher. - Ma ktoś kalkulator?

Stottlemeyer wrzucił sobie do ust parę tabletek, popił długim łykiem kawy i odrzucił mi z powrotem fiolkę.

- Dobrze, Monk, oto moje zdanie na ten temat - oświadczył w końcu Stottlemeyer. - Nie masz ab-



solutnie nic, co łączyłoby osobę Bertruma Grubera z morderstwem Milnera.

- Jak możesz tak mówić po tym wszystkim, *co* powiedziałem? - zachnął się Monk.

- Bo nie ma w tym żadnej logiki - odparł Stottle-meyer.

- Nic nie jest bardziej logiczne - skonstatował Monk.

- Może jesteśmy świadkami historycznej chwili. Oto pierwszy przypadek, kiedy się mylisz w sprawie zabójstwa.

- Nie myślę się - zapewnił Monk.

- Mnie nie musisz przekonywać — powiedział Stottlemeyer. - Już nie podpisuję ci wypłaty. Ty jesteś szefem wydziału. Jeśli uważasz, że coś masz, pokaż dowody.

- Nie chcę ci przeszkadzać w twoim śledztwie - powiedział Monk.

- Uwierz, nie będziesz przeszkadzał - zapewnił go Stottlemeyer.

- Na pewno?

- Gwarantuję, Monk.

- Kwestia Bertruma Grubera należy do ciebie - oświadczył Monk.

- Biegaj wokół tego, ile chcesz, masz moje błogosławieństwo.

- W porządku. - Monk się odwrócił do wyjścia. -Będę wokół niej biegał.

Monk wszedł do swojego gabinetu w pokoju przesłuchań. Wszłam tam za nim i zamknęłam drzwi. Monk chodził wolnym krokiem przed biurkiem.

- Trudno uwierzyć, prawda? - zapytał.

- To rzeczywiście szokujące - przyznałam.

- Gdybym przyprowadził Grubera i kazał mu zeznać prawdę, nie byłbym bardziej przekonujący.

Nic nie powiedziałam. Monk nadal się przecha-  
dzał.

- Fakty są niezaprzeczalne, a wnioski logiczne  
i narzucają się same.

Monk chodził w tę i we w tę. Ja stałam z za-  
mkniętą buzią.

- Jak po wysłuchaniu tego, co powiedziałem,  
można wątpić, że mam rację? - Po chwili się za-  
trzymał i spojrzał na mnie. - Ty chyba nie masz  
wątpliwości, prawda?

Miałam nadzieję, że nie zada mi tego pytania.

- Szczerze mówiąc, panie Monk, mam.

- Jak to możliwe? - powiedział. - W którym  
fragmentcie czegoś nie rozumiesz?

- Wszystkiego od chwili, kiedy powiedział pan,  
że Gruber zabił Milnera.

- Dobrze - westchnął Monk. - Zacznę od po-  
czątku.

Podniosłam ręce w geście poddania.

- Proszę, tylko nie to, tabletki jeszcze nie  
zaczęły  
działać, boję się, że głowa mi pęknie.

Monk przytaknął i znowu zaczął chodzić po po-  
koju, licząc głośno.

- Co pan liczy? - zapytałam.

- Liczbę przejść w jedną stronę - odpowiedział.

- Po co?

- Chcę być pewny, że kiedy będę gotów, by  
prześć chodząc, zatrzymam się na parzystej  
liczbie.

- Dlaczego z góry pan nie postanowi, ile razy  
prześć po pokoju, i wtedy się nie zatrzyma?

- Bo musiałbym założyć, że z góry wiem, kiedy  
będę chciał przestać chodzić.

- A nie wie pan?
  - Myślę w tej chwili - odparł Monk. - Przeszanę chodźć, kiedy przesanę myśleć, a przesanę chodźć na parzystej liczbie nawrotów.
  - W ten sposób może pan jeszcze chodźć, kiedy skończy pan myśleć.
  - Zwykle potrafię zgrać obie czynności tak, by doszło do nich w tym samym momencie - odpowiedział Monk. - Po prostu zaczynam wolniej myśleć lub szybciej chodźć.
  - Jasne... - powiedziała i zaczęła się zastanawiać, czy dwie tabletki, które zażyła, wystarczą na to wszystko. - Potrafi pan liczyć nawroty i jednocześnie ze mną rozmawiać?
  - Teraz liczę w głowie - odparł.
  - W czasie rozmowy?
  - Oczywiście - powiedział Monk. - Nie potrafisz tego?
  - Nie - odpowiedziała szczerze.
- W ogóle nie była w stanie myśleć. Miała wrażenie, że mój mózg wystrzeliłada chwila spod czaszki.
- To tłumaczy, dlaczego nie potrafiłaś zrozumieć prostego wyjaśnienia zagadki zamordowania Kenta Milnera.
  - Prosteo? - pisałem.
  - Tak, pisałem. Wcale nie była z tego dumna.
  - Prosteo.
  - To w jaki sposób Milner doszedł do tego, że Charles Herrin i „Dusiciel Golden Gate” to jedna i ta sama osoba?
  - Nie wiem - przyznał Monk.
  - Jaki pan ma dowód na to, że Kent Milner

i Bertrum Gruber w ogóle się spotkali w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy?

- Gdyby się nie spotkali, Gruber nie wiedziałby tego, co wiedział - stwierdził Monk.

- To jeszcze nie dowód - powiedziałam. - To przypuszczenie. Jak pan w ogóle ustali, że Milner się domyślił, kto zabił kobiety, a potem się podzielił tą informacją z Gruberem?

- To tylko drobny szczegół.

- Bez urazy, panie Monk, ale wydaje mi się, że to olbrzymi szczegół. Jak bez tego szczegółu zamierza pan ustalić motyw, który pchnął Grubera do zamordowania Kenta Milnera?

- Jak? A jak myślisz, po co się przechadzam po pokoju?

- Jedynymi osobami, które mogą panu coś powiedzieć, są Kent Milner i Bertrum Gruber - stwierdziłam. - Milner nie żyje, a Gruber będzie milczał. Więc gdzie znajdzie pan dowód?

Monk chodził wciąż to w jedną, to w drugą stronę. Tam i z powrotem.

- Potrzebne mi zdjęcie Milnera. Możesz się o nie postarać?

- Prawdopodobnie tak - odpowiedziałam. - Po co?

Monk zrobił tylko jeszcze nawrót i stanął.

- Dwadzieścia osiem — oświadczył.

- Skończył pan myśleć?

- Skończyłem - odpowiedział z uśmiechem. - Nadszedł czas, by działać.

## Monk idzie do więzienia

W dzisiejszych czasach wizyta w więzieniu przypomina wyjazd na lotnisko, tyle tylko, że nie wolno ze sobą wносить żadnych rzeczy osobistych. Też trzeba przejść przez bramkę z wykrywaczem metalu i nawet jeśli się nie uruchomią alarmy, i tak strażnik sprawdzi cię ręcznym skanerem i jeszcze obszuka dłońmi od stóp do głów.

Chyba że chodzi o Adriana Monka.

Strażnicy w areszcie naszego hrabstwa dobrze go znali i wiedzieli, że Monk ma awersję do dotykania. Zdobyli się więc na coś absolutnie nadzwyczajnego. Pozwolili, aby Monk sam się obszukał.

Tak, naprawdę! Monk zatem skrupulatnie sam się obszukał, od góry do dołu, na oczach dyżurnych strażników. Wierzcie mi, było na co popatrzeć. Wykrzywił ciało w każdą stronę, klepiąc się wszędzie centymetr po centymetrze, jakby obeszły go czerwone mrówki, a strażnicy przyglądali mu się z kamiennymi twarzami.

Monk był nadzwyczaj drobiazgowy.

- O! Och... - Poklepał się nagle po kieszeni.

Powolutku włożył do kieszeni rękę, jakby mogła się w niej znajdować pułapka na myszy, o której nic nie wiedział, i ostrożnie wyciągnął z niej jedną lśniącą ćwierćdolarówkę.

- Co też mi przyszło do głowy, żeby coś takiego przynosić do więzienia?!

- Co komu szkodzi zwykła moneta? - zapytałam.

Monk potrząsnął głową i spojrział na strażników.

- To nowicjuszka — powiedział do nich, patrząc na mnie kątem oka. - Z takiej monety można wytoczyć malutki, ale śmiertelnie niebezpieczny grot strzały.

- Wiem, że więźniowie robią w celi nożyki, ale nigdy nie słyszałam o grotach strzały.

- Tylko dlatego, że zapobiega temu niestrudzona gorliwość tych znakomitych strażników. - Monk wrzucił ćwierćdolarówkę do koszyczka z portfelem i innymi drobiazgami osobistymi.

Jeden z barczystych strażników wystąpił krok do przodu, by obszukać mnie.

- Czy nie mogę się sama obszukać? - zapytałam.

Strażnik pokręcił głową.

- Ale Monkowi było wolno - powiedziałam ze skargą w głosie.

- Pan Monk to szczególny przypadek - odparł strażnik.

Trudno było zaprzeczyć. Dałam się obszukać.

Następnie poprowadzono nas do pokoju widzeń, o jednolitych szarych ścianach i bez okien, na którego środku stał metalowy stół i cztery dopasowane do niego krzesła; meble były przykręcone do podłogi.

- Bardzo mi się podoba, jak urządzili ten pokój - powiedział Monk.

Wcale nie żartował. Naprawdę mu się podobało. Stół stał na środku pokoju, a cztery krzesła były

od siebie równo oddalone - wszystko było idealnie symetryczne.

Monk obszedł stół dookoła kilka razy, podziwiając go, dotykając delikatnie końcem palca cztery narożniki.

- Jest piękny - westchnął. - Jak rzeźba. Ciekawe, czy mógłbym zainstalować taki u siebie w domu.

- Chciałby pan umeblować sobie dom więziennymi meblami?

- Przypomnij mi, żebym przed wyjściem zapytał o nazwisko artysty.

Otworzyły się drzwi i strażnicy wprowadzili Charliego Herrina skutego łańcuchami, ubranego w pomarańczowy kombinezon więzienny. Podprowadzili go do krzesła i przykuli łańcuch u jego nóg do metalowego oczka zamocowanego w podłodze.

- Czy to konieczne? - zapytał Monk.

- Ten człowiek zamordował gołymi rękami trzy kobiety - powiedziałam.

- W razie potrzeby proszę pukać w drzwi - powiedział jeden ze strażników. - Zaczekamy na zewnątrz.

Strażnicy wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Sie-dzieliśmy naprzeciwko Charliego Herrina. Pożerał mnie wzrokiem, jakbym była lodem czekoladowym.

- Cześć - powiedział Monk. - Jestem tym facetem, którego wzięłeś niedawno za zakładnika. Możliwe, że nie potrafisz mnie rozpoznać, bo stałeś za moimi plecami i przykładałeś mi do skroni pistolet.

- Pamiętam - odpowiedział Herrin, lustrując moje ciało od dołu do góry. - Kim ona jest?

- Niech pan mu nie mówi, jak się nazywam -

wtrąciłam szybko. - Nie chcę, żeby to monstrum cokolwiek wiedziało na mój temat.

Jeszcze tego brakowało, żebym miała dostawać listy, e-maile albo telefony od Charliego Herrina i jego koleśki z celi.

- To osoba, którą dobrze znam i która zawsze mi towarzyszy - odparł Monk. - Chciałbym ci zadać parę pytań.

- Może mnie pan pytać, o co się panu żywnie podoba - powiedział Herrin. - Ale bez odpowiedniej motywacji nie odpowiem na żadne pytanie.

- Na przykład jakiej? Herrin uśmiechnął się do mnie.

- Chcę mieć jej lewy but.

- Możesz sobie pomarzyć - odpowiedziałam.

- W tym mój problem - powiedział Herrin. - Zo stały mi już tylko marzenia. Odebrali mi całą ko lekcję pamiętek. Mam potrzeby, które tutaj nikogo nie obchodzą.

- Taka jest idea tego miejsca - zauważyłam. Herrin wzruszył ramionami.

- Nie ma buta, nie ma odpowiedzi.

Monk spojrział na mnie z błaganiem w oczach,

- Daj mu ten but - powiedział.

- Nie - odparłam.

- To stary but - powiedział Monk.

- Co z tego.

- Jest podarty i brudny - naciskał Monk.

- Nie o to chodzi - powiedziałam. - Dobrze pan wie, dlaczego chcę mieć mój but. Wie pan, co dla niego taki but znaczy. Naprawdę chcę pan pozwolić, by dawał upust swoim chorym, nienormalnym żądom?



- Naprawdę chcesz, żebyśmy nie wykryli sprawy cy morderstwa?

Oczywiście, musiał to ująć w ten sposób, prawda? Sięgnęłam ręką do stopy, zdjęłam but i rzuciłam go na stół.

- Zadowolony? - zapytałam.

Herrin wziął go do ręki, ostrożnie, jakby był z porcelany, i podniósł do nosa. Wciągnął głęboko powietrze i zamknął oczy w ekstazie.

Monk skrzywił się z obrzydzeniem. Ja również.

- Boże drogi - powiedział Monk. - Pan jest tak bardzo, bardzo, bardzo chory...

- Może upłynąć mnóstwo czasu, zanim znowu będę tak blisko buta - stwierdził Herrin. - Chcę się podelektować tą słodką chwilą.

- Szybciej, niech pan już pyta - ponagliłam Monka. — Chcę stąd wyjść jak najszybciej.

- Ja też - odpowiedział Monk. - Daj mu drugi but.

- Co?

- Daj mu swój drugi but - powtórzył Monk.

- Nie chcę jej drugiego buta - zaprotestował Herrin.

- Daj mu mimo wszystko - nalegał Monk.

- Nie mam zamiaru dawać mu jeszcze jednego buta - powiedziałam.

- Może go sobie zatrzymać. - Herrin machnął ręką.

- Nie możesz chodzić w jednym bucie - przekonywał Monk. — Myśl rozsądnie. Nie możesz stąd wyjść w jednym bucie na nodze.

- Właśnie, że mogę - uparłam się.

- Nie możesz - odparł Monk.

- Nie dam mu drugiego buta - powiedziałam.

- Co zrobisz z jednym butem? - pytał Monk.

- Ja go będę miała, nie on.
- Nie chcę drugiego buta — powtórzył Herrin.
- Drugi but będzie ci tylko przypominał o tym, że pierwszy oddałaś Herrinowi - stwierdził Monk. - Chcesz, żeby nieustannie ci o tym przypominał?

Spojrzałam na Herrina, który w upojeniu wahał i pieścił mój lewy but. Nie, nie chcę o tym pamiętać.

- W porządku. - Zdjęłam prawy but i rzuciłam go z trzaskiem na stół. - Masz, udław się, gnoju.

- Po co mi prawy but? - Herrin odsunął go w moją stronę. - W ogóle się nie umywa do lewego.

- Weź. - Monk czubeczką palca wskazującego przesunął but na stronę Herrina.

- Nie. - Herrin odsunął but.

- Tak. - Monk znowu go przesunął.

- Nie. - Herrin odsunął.

- Albo bierzesz prawy, albo zabieram ci lewy - zagroził Monk.

- Nie zrobisz tego - powiedział Herrin.

- Zrobię - zapewnił Monk.

- To nie odpowiem na twoje pytania - oznajmił Herrin.

- Buty są zawsze w parach! - Monk walnął nagle pięścią w stół, zerwał się z krzesła i spojrzał na Herrina wściekłym wzrokiem, jakiego nigdy u niego nie widziałam. — To naturalny porządek wszechświata. Wystarczy, że zamordowałaś trzy kobiety. Nie będziesz zadzierał z naturalnym porządkiem wszechświata! Czy wyraziłem się jasno?

Herrin przełknął ślinę, przycisnął ręką do piersi mój lewy but, a drugą ręką, ociągając się trochę, przysunął do siebie prawy.

- Teraz już lepiej. - Monk usiadł z powrotem na krześle i wziął głęboki oddech. Pokręcił głową, po-

prawił sobie kołnierzyk, a potem sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej zdjęcie. - Widziałeś kiedyś tego człowieka? - zapytał.

Było to zdjęcie Kenta Milnera.

Herrin zerknął na zdjęcie i pokiwał głową.

- Uhm... widziałem.

Monk miał rację. Jednak coś łączy Milnera, Grubera i Herrina.

- Wiesz, kto to jest?

- To gliniarz, który mnie kiedyś zatrzymał - powiedział Herrin. - To był ten drugi raz, kiedy myślałem, że wpadłem. Ale szczęście wciąż się do mnie uśmiechało.

- Co masz na myśli?

- W sobotę jechałem samochodem do domu. Wisiała mgła, powinienem był uważać, jak jadę, ale moją uwagę rozpraszał ten but. Nie mogłem się powstrzymać, by na niego nie patrzeć, nie dotykać go i wąchać - mówił Herrin, robiąc w tej chwili to samo z moim butem. - Nie można mnie winić. Jestem tylko człowiekiem.

- Tego nie jestem pewna - powiedziałam zdegustowana.

- Na sekundę odwróciłem wzrok od jezdni i przypadkowo przejechałem czerwone światło - mówił Herrin. - Na skrzyżowaniu pacnął mnie jakiś Meksykanin. Właściwie zahaczył tylko o tylną lampę, ale gdyby chciał wezwać gliny, byłby to mój koniec. Na szczęście facet nie miał prawa pobytu w Stanach. Po angielsku ledwie dukał. Równie mocno zależało mu na uniknięciu kłopotów. Odjechaliśmy więc, jak gdyby nic się nie stało.

- Gdzie w tej historii ma wystąpić Kent Milner? - zapytał Monk.

- Zatrzymał mnie następnego dnia, w niedzielę, kiedy jechałem do pracy. Znowu trzymałem na kolanach ten cudowny but. Rzuciłem go szybko na tylne siedzenie, ale wiedziałem, że wpadłem. Wiedziałem, że to koniec. Milner podszedł do samochodu, oparł się o okno i zapytał, czy wiem, z jaką jechałem prędkością. Nie wiedziałem. Powiedział, że przekroczyłem dozwoloną prędkość, że jechałem prawie pięćdziesiątką w strefie ograniczenia prędkości do czterdziestu kilometrów na godzinę i że wypisze mi mandat - opowiadał Herrin. - Zabrał mi prawo jazdy i wrócił do stojącego z tyłu radiowozu, gdzie siedział i patrzył na mnie w nieskończoność.

Potrafiłam sobie wyobrazić, co się działo w głowie Milnera, kiedy usiadł w samochodzie i rozmyślał o tym, co mu zesłał figiel losu.

Gdy tylko dostrzegł na tylnym siedzeniu samochodu but, wiedział, że przez przypadek, za wykroczenie drogowe, zatrzymał „Dusiciela Golden Gate”.

Jakie było prawdopodobieństwo, że coś takiego może się zdarzyć?

Ale co ważniejsze, co zamierza dalej z tym zrobić?

Milner oczywiście wiedział, że jego obowiązkiem jest aresztowanie mordercy. Ta akcja otworzyłaby przed nim drzwi do kariery, trafiłaby na czołówki gazet i uczyniła go bohaterem narodowym.

Do końca życia Kent Milner byłby powszechnie znany jako młody, dzielny policjant, który samodzielnie schwytał groźnego „Dusiciela Golden Gate”.

Co zatem go powstrzymało?

Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów nagrody. Należała mu się nie mniej niż sława i chwała.

Ale jej nie dostanie.

Może się tylko spodziewać gorącego uścisku ręki burmistrza i okazji do fotografii na pierwszej stronie gazet. Czek pozostanie w burmistrzowskiej kieszeni.

Burmistrz był gotów oddać pieniądze byle złobowi z ulicy, ale nie policjantowi. Nie komuś, kto codziennie ryzykuje życie, ciężko pracuje i bierze nadgodziny, żeby uciuć na spokojne zakupy w sklepie spożywczym.

Gdzie tu sprawiedliwość?

Z pewnością dobrze rozumiałam moralne rozterki Milnera.

Był rozdarty w wyborze między aureolą sławy a sporą gotówką. Oba wyjścia wydawały się równie kuszące.

Zatem gdy Charlie Herrin pocił się z nerwów w swoim samochodzie, Milner siedział w radiowozie, bił się z myślami i podejmował decyzję, która nieodwracalnie miała zmienić jego życie.

Ostatecznie chciwość zwyciężyła nad poczuciem obowiązku.

Czy też, patrząc bardziej wielkodusznym okiem, Kent Milner nie potrafił się oprzeć nadarzającej się sposobności zapewnienia rodzinie lepszego życia, co przemawiało do niego silniej niż jakieś mało uchwytnie, odległe i niepewne korzyści z aresztowania Herrina.

- Byłem przekonany, że koleś czeka na wsparcie - mówił dalej Herrin. — Ale nie, wysiadł z samochodu, oddał mi prawo jazdy, udzielił ostrzeżenia i puścił wolno. Trudno uwierzyć, hm? Co za ulga. Nie zauważył buta. Nie miał pojęcia, kim jestem.

- Wiedział bardzo dobrze - powiedział Monk.

- Dlaczego mnie nie aresztował?

- Miał ku temu dwieście pięćdziesiąt tysięcy powodów - stwierdził Monk.

## 23 Monk ma mdłości

Strażnicy nie pozwolili Herrinowi wyjść z moimi butami z pokoju widzeń, ale nie było mowy, bym w ogóle wzięła je jeszcze do ręki. Powiedziałam strażnikom, żeby wyrzucili buty do kosza na śmieci. Wysłałam z więzienia i przeszłam do samochodu w rajstopach.

W samochodzie oboje z Monkiem dokładnie wytarliśmy ręce chusteczkami dezynfekującymi, ale trzeba było czegoś więcej, by każde z nas znowu się poczuło czyste.

Po drodze do komendy zatrzymaliśmy się w sklepie sieci Shoes for Less, gdzie za jedyne dwadzieścia dolarów kupiłam parę butów do biegania. Chodziło mi tylko o to, żeby mieć w czym przechodzić resztę dnia, choć zważywszy na to, jak marnie były zrobione, miałam wątpliwości, czy wytrzymają aż tak długo.

Stamtąd udaliśmy się już prosto do gabinetu Stottlemeyera, gdzie w obecności Dishera opowiedzieliśmy wszystko, co usłyszeliśmy od Charliego Herrina.

Stottlemeyer wysłuchał Monka do końca, nie przerywając mu słowem, a potem poprosił Dishera, by przyniósł rzeczy osobiste Kenta Milnera.

Disher wyszedł z gabinetu, by przenieść te rzeczy z pokoju, gdzie przechowywano dowody rzeczowe.

- Chcesz wiedzieć, czego nie rozumiem? - zapytał Stottlemeyer.

- Czego? - zapytał Monk.

- Wszystkiego - odparł Stottlemeyer. - Powiedz, jak to jest? Patrzę na te same dowody co ty i nie widzę w nich nic, a ty widzisz w nich osobę zabójcy i jeszcze wiesz, co zjadł na śniadanie.

- To dar i przekleństwo - odpowiedział Monk.

- Dzięki, bardzo mnie pocieszyłeś - rzucił Stottlemeyer.

- Mówiłem o sobie - dodał Monk. - Widzę zbyt wiele. Ty możesz wyjść na ulicę i cieszyć się dniem. Ja zauważam wszystko, co do siebie nie pasuje, i nie mogę wobec tego przejść obojętnie.

- Dzięki temu jesteś diabelsko dobrym detektywem, Monk.

- Ale nie potrafię się cieszyć dniem.

Do gabinetu wszedł Disher, niosąc kartonowe pudełko wypełnione foliowymi woreczkami z rzeczami, które Kent Milner miał przy sobie w chwili, kiedy stracił życie.

Stottlemeyer przerzucił parę woreczków i wyciągnął jeden, w którym znajdował się bloczek z mandatami wypisanymi przez Milnera. Otworzył woreczek, wyjął bloczek i zaczął wertować kartki. Nie zajęło mu wiele czasu, by znaleźć interesujący nas mandat.

- Jest - powiedział Stottlemeyer. - Nawet nie skończył go wypisywać, nie zgłosił go również po powrocie z patrolu. Ale są tu wszystkie informacje. Dzień i godzina zatrzymania za wykroczenie drogowe. Marka, model i opis samochodu, numer rejestracyjny, a nawet nazwisko Charliego Herrina i adres.

Stottlemeyer wręczył bloczek Monkowi, który spojrzał na mandat.

- Jednak wciąż nie mamy nic, co z morderstwem Milnera łączyłoby Bertruma Grubera - powiedział Disher. - To wszystko dowodzi tylko tego, że Milner zetknął się z „Biesem butów”.

- Kto to jest „Bies butów”? - zapytał zdziwiony Stottlemeyer.

- Charles Herrin.

- To „Dusiciel Golden Gate” - stwierdził Stottlemeyer. - Nie żaden „Bies”.

- Dla mnie „Bies butów”, kapitanie. Jestem przekonany, że tak właśnie zostanie zapamiętany w kryminalnych annałach.

- W jakich kryminalnych annałach? - zdziwił się znowu Stottlemeyer.

- Tych, które wszyscy czytają - odparł Disher.

- Podaj jakiś tytuł - powiedział Stottlemeyer.

- Ee... - zastanawiał się Disher. - Na przykład „Annał kryminalny”.

- Nigdy czegoś takiego nie miałem w rękach - powiedział Stottlemeyer.

- Och, leży we wszystkich kioskach. Po prostu trzeba go dobrze, naprawdę dobrze poszukać, najlepiej gdzieś za „Zwierzakami” albo „Młodym filatelistą”.

- Jasne, spróbuję go poszukać - powiedział Stottlemeyer i odwrócił się do Monka. - Randy w jednym ma rację. Brakuje ostatniego ogniwa. Nie potrafisz udowodnić, że Milner wyposażył Grubera w informacje o Herrinie, a bez tego nie ma motywu zabójstwa.

- Wręcz przeciwnie. - Monk podniósł bloczek z mandatami. - Dowód znajduje się tutaj.



Zadzwoiłam do Bertruma Grubera i powiedziałam, że Monk chciałby zadać mu jeszcze parę pytań, by móc zamknąć śledztwo. Gruber wykręcał się, jak mógł, dopóki mu nie przypomniałam, że jednym z warunków otrzymania nagrody był wymóg pełnej współpracy z organami ścigania i jeśli tego nie zrobi, to grozi mu nakaz natychmiastowego zwrotu wszystkich pieniędzy, jakie otrzymał od miasta. Kłamałam jak z nut, ale Gruber zaprosił nas do złożenia mu wizyty na przystani jachtowej w Marinie. Oglądał tam jacht sportowy, którego kupnem był zainteresowany. Na spotkanie zabraliśmy Stottlemeyera.

Nie bywam za często w Marinie, a szkoda, bo to jeden z najbardziej malowniczych zakątków miasta. Domy, przypominające kolorami torty urodzinowe, ze sztukaterią jasną i delikatną niczym dekoracje z lukru, ciągną się tam wzdłuż bulwaru przy wiecznie zielonym parku Marina Green, który łagodnym łukiem okala port jachtowy i las białych masztów, chyboczących się na tle bajkowego mostu Golden Gate. Ludzie przez okrągły rok, niezależnie od pogody, puszczają w parku latawce, biegają, jeżdżą na rowerach, wylegają się na trawie, dając temu miejscu klimat nieustającego festynu, którego nie mogła zaburzyć nawet perspektywa spotkania z Gruberem.

Do portu jachtowego przechodziliśmy z parku przez zawieszony nad wodą szeroki trap. Monk trzymał się kurczowo drewnianej poręczy, jakby wiał porywisty wiatr. Jednak trap w ogóle się nie ruszał. To Monk się chwiał w rytmie rozhuśtanych masztów.

- Spokojnie, Monk — powiedział Stottlemeyer. - Nawet nie weszliśmy na łódkę.

- Od samego patrzenia na maszty dostają cho roby morskiej - jęknął Monk.

- To nie patrz - poradził Stottlemeyer.

Szliśmy pomostem wzdłuż brzegu, aż wreszcie zauważyliśmy Bertruma Grubera pod spoilerem dziesięciometrowego, białego, sportowego jachtu. Łódka miała nowoczesną, agresywną linię, wydawało się, że ostrym dziobem pruje wodę przed sobą, choć stała zacumowana przy pomoście.

Gruber miał na sobie białą czapkę żeglarską ze złotym liściem na czarnym daszku, koszulę marynarską w niebiesko-białe pasy, czerwony fular ze spinką, sztormiak, białe spodnie, a na gołych stopach brązowe skórzane buty żeglarskie. Wyglądał przekomicznie, jakby się przebrał na maskaradę.

- Ahoj, załogo! - powitał nas wesoło. - Czy nie cudowna ta dziecina? Musicie ją zobaczyć w środku, telewizja satelitarna z płaskim ekranem, granitowe blaty, szafki ręcznej roboty, skórzana tapicerka. Słodziutka. Zapraszam na pokład.

- Doprawdy, raczej nie. - Wydawało się, że Monk dostał mdłości na samą myśl o wejściu na jacht. - To kapitan Stottlemeyer. Uczestniczy obecnie w śledztwie.

Gruber zszedł z pokładu i dołączył do nas na pomoście.

- Widzę w takim razie, że jest nas trzech kapitanów.

- Trzech? - zdziwił się Stottlemeyer.

- Kapitan Bertrum Gruber, do usług, a to moja fajba. - Gruber popieścił delikatnie gładką burkę, patrząc cały czas na mnie. - To moja pani. Nazwałem ją *Statek Namiętności*.

- Ile takie cacko może kosztować? - zapytał Stottlemeyer.
- Błagam - wystękał Monk. - Czy możemy się z tym pośpieszyć?
- Niecałe dwieście kawałków - powiedział od niechcienia Gruber.
- To spory kawałek pańskiej nagrody.
- Zrobiłem tylko przedpłatę - wyjaśnił Gruber. - Ale wiedzą, że jestem wypłacalny. Sprzedałem telewizji NBC-Universal prawa do nakręcenia historii mojego życia.
- Gratuluję - powiedział Stottlemeyer.
- Monk zachwiał się i przełknął głośno ślinę.
- Musimy jeszcze raz sprawdzić parę punktów pańskiego zeznania. Byłby pan łaskaw szybciotko je przypomnieć?
- Poszedłem do ogródka pielęgnować truskawki. Zobaczyłem, jak z parku wychodzi facet z butem w rękę. Wsiadł do forda taurusa ze stłuczonym tylnym światłem i wgnieceniem na zderzaku. Zapamiętałem część jego numeru rejestracyjnego; „M, pięć, sześć, siedem”.
- Jest jeden problem - powiedział Monk, przezywając na chwilę, by złapać się za brzuch i wziąć głęboki oddech. - Charlie Herrin zbił w samochodzie tylną lampę i wgniół w nim zderzak dopiero po tym, jak opuścił park.
- To niemożliwe - odpowiedział Gruber, wsuwając dłonie do kieszeni marynarki i kręcąc głową.
- Przecież wiem, co widziałem.
- Nic nie widziałeś - wtrącił się Stottlemeyer. - Powtarzałeś tylko szczegóły, które przekazał ci policjant Kent Milner, kiedy uknuliście plan, by zgarnąć

nagrodę. Tyle tylko, że ty postanowiłeś go sprzątnąć i wziąć wszystko dla siebie, prawda, Bert?

- Czy nie moglibyśmy kontynuować rozmowy na ulicy? - zapytał Monk. - Gdzie fale nie są tak wzburzone?

Pomost był równie stabilny i mocny jak chodnik. Jedyną rzeczą, która się poruszała, był sam Monk.

- W tej chwili policja przeszukuje twoje mieszkanie i przekaże laboratorium twoje ubranie, na którym technicy będą szukać śladów prochu - mówił Stottlemeyer. — Niewykluczone, że w czasie rewizji znajdziemy broń, którą zamordowałeś Milnera.

- Nie znajdziecie - powiedział Gruber.

Wszystko stało się tak nagle, że nawet nie zauważyłam, jak w jego ręku pojawiła się broń. W jednej chwili Gruber spokojnie stał, a w następnej przyciągał do siebie Monka i przystawiał mu do głowy lufę pistoletu. Zapewne cały czas miał go w kieszeni marynarki. Może zamierzał wyrzucić go do morza.

Stottlemeyer wyciągnął broń niemal równie szybko i natychmiast wymierzył ją w Grubera. Dla mnie nie było tu już nic do roboty. Stałam się częścią widowni. Mogłam tylko patrzeć.

To wydawało się surrealistyczne. Prawdopodobnie zwłaszcza dla Monka.

- O Boże - jęknął. - Znowu? Tylko nie to.

- Cofnąć się albo on zginie - krzyknął Gruber do Stottlemeyera.

- Nie czuję się dobrze - jęczał Monk.

- To nie jest zbyt mądre, Bert - ostrzegł Stottlemeyer.

- Wejdzimy we dwójkę na jacht i odpłyniemy - powiedział Gruber. - Jeśli ktoś się ruszy, rzucę go rekinom na pożarcie.

- Niech nikt się nie rusza - powiedział Monk, którego coraz wyraźniej zdawały się ogarniać mdłości. - Potwornie trzęsiecie pomostem.

- Chcesz Monka? - powiedział Stottlemeyer. - Proszę, możesz go sobie brać.

Spojrzałam na Stottlemeyera.

- Pan chyba nie mówi poważnie?

- Co mogę zrobić? - Stottlemeyer włożył pistolet z powrotem do kabury. - Pokonał nas. Zresztą przebywanie na jednym jachcie z Monkiem może być dotkliwszą karą niż oczekiwanie na egzekucję w celi śmierci.

Gruber zaczął się cofać w kierunku jachtu, ciągnąc za sobą Monka.

- Wchodzimy na pokład - powiedział.

- Nie mogę - stęknął Monk.

- Chcesz zginąć? - warknął Gruber.

- Tak - odparł płacząco Monk. - Proszę. Skończ moją udrekę.

Stottlemeyer uklęknął i zaczął zawiązywać sobie but. Nie mogłam uwierzyć, z jaką obojętnością kapitan traktuje całą sytuację.

- Zamknij gębę i ruszaj! - zakomenderował Gruber.

- Proszę, nie wypowiadaj słowa „ruszaj” - jęczał Monk. - W tej chwili nie potrafię nawet myśleć o ruchu.

Gruber siłą pociągnął Monka.

- Włazisz na łódkę i koniec - warknął Gruber.

- Błagam, niech mnie ktoś zastrzeli - kwękał wleczony Monk.

- Zamknij się! - rozkazał mu Gruber.

Nagle Monk rzucił się naprzód i gwałtownie wymiotował na pomost. Gruber, zaskoczony i zdeglustowany, puścił go na moment, a w tej samej sekundzie Stottlemeyer wyszarpnął z ukrytej nad kostką kabury malutki pistolet, strzelił i trafił Grubera w ramię. Siła uderzenia rzuciła Grubera na burtę jachtu i wytrąciła mu broń z ręki. Po chwili osunął się na pomost, jęcząc i ściskając z bólu ramię.

Nie on jeden jęczał na pomoście. Robił to także Monk, który klęczał na krawędzi pomostu nad wodą, dławiony wymiotnymi skurczami. Wyglądał żałośnie.

Stottlemeyer chwycił szybko pistolet Grubera, a potem przez telefon komórkowy wezwał wsparcie i karetkę pogotowia, choć nie było to konieczne. Odgłos strzału ściągnął tłum gapiów, a z daleka dało się już słyszeć wycie policyjnych syren.

- To koniec, panie Monk - powiedziałam.

- Wiem - stęknął chrapliwie Monk. - Mój testament znajdziesz w górnej szufladzie nocnego stoliczka.

- Nic panu nie będzie.

- Nie rozśmieszaj mnie — odpowiedział, cały się trzęsąc. - Nie widzisz, że jestem w agonii?

- Byłeś fantastyczny, Monk - odezwał się Stottlemeyer, nie spuszczać Grubera z oka. - Wiedziałem, że zrobisz jakiś ruch, wystarczyło tylko czekać.

- Szkoda, że nie ma Wyatta - powiedział Monk. - Miałby tyle przyzwoitości, aby mnie zastrzelić.

## Monk i lekcja życia

Monk nie chciał, aby zajęli się nim sanitariusze. W ogóle nie chciał się ruszyć z miejsca, w obawie że jakikolwiek ruch znowu wywoła torsje. zaproponował natomiast, abyśmy wezwali lekarza sądowego i zakład pogrzebowy, którzy mieliby czekać na pobliskim parkingu, aż on wyzionie ducha.

- To nie będzie trwało długo - powiedział.

Nawet jak na Monka takie zachowanie wydawało się skrajne. Zachowywał się jak wielkie dziecko. Gdyby Julie poczuła choć lekkie nudności, zwymiotowałaby po prostu, tak jak większość ludzi kicha, i od razu poczułaby się lepiej. Jeśli chodzi o mnie, to pewnie nudności męczyłyby mnie przez parę godzin, zanimbym w końcu zwymiotowała. Niemniej jednak nie robiłabym z tego problemu. Każdy w życiu wymiotuje. Z pewnością u Monka również nie było to pierwszy raz.

- Panie Monk, czy pan nie przesadza? - zapytałam. - Nigdy pan nie wymiotował?

Monk zmiażdżył mnie długim, ciężkim spojrzeniem.

- Gdybym kiedykolwiek wcześniej wymiotował, toczylibyśmy tę rozmowę nad moim grobem.

Zrozumiałam z tej wypowiedzi, co Monk czuje, nawet jeśli jej logika pozostawiała wiele do życzenia.

Wbrew protestom Monka Stottlemeyer polecił sanitariuszom, by mimo wszystko zawieźli go do szpitala. Na noszach i w karetce w drodze do szpitala Monk jeszcze kilka razy się krztusił z powodu nudności.

Kiedy dotarliśmy do ambulatorium, był więcej niż pewny, że od śmierci dzieli go sekundy. Natychmiast zażądał, aby, dopóki jest przytomny, mógł podpisać zgodę na niepodejmowanie resuscytacji.

Lekarze zaczęli od kroplówki, by uzupełnić płyny, które Monk utracił, i dali mu zastrzyk z jakimś lekarstwem przeciwwymiotnym. Jak wyjaśnił doktor, nie jest wykluczone, że Monk rzeczywiście zapadł na chorobę morską, może nawet jest to jakieś zatrucie żołądkowe po zjedzeniu czegoś niezdrowego, ale jest o wiele bardziej prawdopodobne, że sam u siebie wywołał objawy choroby w wyniku ataku lękowego. Lekarz dodał, że gdy tylko pacjent poczuje się lepiej, będę mogła zabrać go do domu.

Nie minęło wiele czasu, a Monk poczuł się lepiej. Nie wiem, czy to dzięki lekom czy dzięki temu, że nie stał już na pomoście, czy po prostu zmęczenie zrobiło swoje, w każdym razie w niecałą godzinę Monk doszedł do siebie. Usiadł na kozetce w gabinecie lekarskim i rozprawiał o ciężkich przejściach, które miał już za sobą.

- Tylko raz jeden byłem tak bliski śmierci - powiedział. - Kiedy pogrzebano mnie żywcem w trumnie.

- Tak, pamiętam.

- Kiedy leżałem w trumnie, miałem przed oczami Trudy - mówił Monk. - Miałem wrażenie, jakby była tam ze mną, przygotowując mnie do podróży na drugą stronę. Dzisiejsze przeżycie było jednak inne.

- Przede wszystkim dlatego, że wcale pan nie



umierał — stwierdziłam. — Miał pan problemy żołądkowe.

- Widziałem długi tunel z jasnym światłem na samym końcu - powiedział Monk. - To mógł być Bóg.

- To mógł być pociąg - stwierdziłam.

- Sądzę, że to po prostu nie był jeszcze mój czas.

- Chyba ma pan rację.

- To była dla mnie ważna lekcja życia - powiedział Monk. - Następnym razem, zanim wypłynę w morze, zażyję Aviomarin.

- Znajdował się pan kilka metrów od lądu, panie Monk.

- Znajdowałem się na wodzie - odparł.

- Pomost jest przymocowany do pali wbitych głęboko w dno zatoki - stwierdziłam. - Trudno powiedzieć, by był pan na wodzie.

- Byłem na Pacyfiku - podkreślił Monk. - Na pomoście szalał sztorm, to był *Gniew oceanu*.

Do gabinetu wszedł Stottlemeyer.

- Jak się czujesz, Monk?

- To prawdziwe szczęście, że żyję - odpowiedział Monk.

Ta uwaga nie była daleka od prawdy, tyle tylko, że Monkowi nie groziła śmierć wskutek choroby morskiej, lecz przez jakiś czas było prawdopodobne, że dostanie kulkę w głowę.

- Jest mnóstwo policjantów, którzy chcieliby uściśnić ci dłoń - mówił Stottlemeyer. - Ale bez obaw, Monk, powiedziałem im, żeby tego nie robili.

- Dziękuję.

- Co z Gruberem? - zapytałam.

- Przeżyje. Musi przecież odsiedzieć sobie miłe, długie dożywanie - powiedział Stottlemeyer. - Bada-

nia balistyczne wykazały, że kulę wydobytą z ciała Milnera wystrzelono z pistoletu, który Gruber przyłożył Monkowi do głowy.

- Sprawę można zamknąć - stwierdziłam.

- Czy była co do tego jakaś wątpliwość? - zapytał Monk.

- Jedno nie daje mi spokoju - zadumał się Stottlemeyer. - Czy pani Milner rzeczywiście nie miała pojęcia o tym, co robi jej mąż, czy też nas okłamywała?

- To bez znaczenia. Jej mąż został zabity. Dość wycierpiała.

- Ale załóżmy, że Monk nie miałby tej burzy mózgow — mówił Stottlemeyer. - Jeśli знаła prawdę i nic nam nie powiedziała, to Gruberowi morderstwo uszłoby na sucho i dosłownie odpłynąłby nam w siną dal, ku zachodowi słońca.

- Tym większe szczęście, że pan Monk wszystkim się domyślił - stwierdziłam.

W tym momencie wizytę złożył nam całkowicie niespodziewany gość. Do pokoju wpadł jak burza burmistrz Smitrovich, zatraskując za sobą z hukiem drzwi. Na jego czole znowu zobaczyłam wielkie, nabrzmiałe żyły, czym przypominał mi tych dziwnych ludzi z filmu *Telepaci*, którzy myślami potrafili spowodować eksplozję czyjejś głowy.

- Niech mi pan nie mówi, że strzelał pan do człowieka, którego nazwałem w telewizji wspaniałym obywatelem, świecącym przykładem i symbolem tego, co znaczy być mieszkańcem Sah Francisco - powiedział burmistrz do Stottlemeyera.

- Strzelałem - odpowiedział dumnie Stottlemeyer.

- Do człowieka, któremu wręczyłem dwieście

pięćdziesiąt tysięcy dolarów z kieszeni podatnika, wynagradzając go za wielką odwagę?

- Właśnie do tego - przyznał Stottlemeyer.

- Co pana opętało?!

- Zamordował policjanta - odpowiedział spokojnie Stottlemeyer. - Poza tym przyłożył pistolet do głowy Monka.

Burmistrz skierował teraz całą swoją wściekłość na Monka.

- Jak pan mógł do tego dopuścić?

- Wolałby pan, żebym nie rozwiązał zagadki morderstwa? - zapytał Monk.

- Jest pan absolutnie pewny, że ten człowiek jest winny? Nie dopuszcza pan możliwości, że popełnił pan horrendalnie głupi błąd?

- Nie - odparł krótko Monk.

- Ależ to po prostu nie jest możliwe - powiedział burmistrz niemal błagalnym tonem. - Jakim cudem człowiek, który oddał w ręce policji seryjnego mordercę, sam miałby się okazać mordercą? To n i e może być prawda.

- Los lubi płać zabawne figle - wtrąciłam.

- Wcale mi nie do śmiechu! - warknął burmistrz.

- Mnie trochę tak - powiedział Stottlemeyer. - Ale tylko troszkę. Nieco więcej niż lekki chichot.

- Zdjęcie, na którym ściskam dłoń zabójcy i wręczam mu czek, obiegnie teraz cały kraj, wszystkie gazety, dzienniki telewizyjne, Internet.

- Może nawet cały świat - powiedziałam.

Burmistrz Smitrovich wycelował w Monka oskarżycielski palec.

- Pan wiedział o Gruberze i Milnerze jeszcze przed konferencją prasową. Pan mnie wrobił!

- Nie, to nieprawda - odparł Monk.

- Nie będzie pan robił ze mnie głupca! Od początku z pewnością pan manipulował wydarzeniami. - Burmistrz zerknął na Stottlemeyera. - Przez cały czas rączka w rączkę współpracował pan z koleżkami ze związków. Ależ się dałem nabrać!

Burmistrz przejawiał większą paranoję niż Cindy Chow. W każdym razie wcale jej nie ustępował pod względem umiejętności wymyślania zawyłych teorii spiskowych. Sama nie wiedziałam, która z tych paranoicznych teorii była bardziej obłąkana: przekonanie Chow, że kosmici prowadzą wspólnie z CIA eksperymenty na niczego niepodejrzewających ludziach w kwestii kontroli umysłów, czy też pomysł, że Monk może być politycznym geniuszem, który z rozmysłem, po mistrzowsku wpłatał burmistrza w uroczystość wręczenia ćwierć miliona dolarów nagrody pospolitemu mordercy. Jedno było pewne: zarówno burmistrz, jak i Chow powinni się poddać bardzo poważnej kuracji medycznej.

- Nie zapomnę ci tego, Monk - obiecał burmistrz z wyraźną pogroźką w głosie.

- Wątpię, by zapomnieli również wyborcy - powiedział Stottlemeyer.

Burmistrz rzucił nam wszystkim groźne spojrzenie i wyszedł chyba jeszcze bardziej wściekły, niż kiedy tu wchodził. Jeśliby jego głowa miała eksplodować, to miałam nadzieję, że, dla jego dobra, stanie się to jeszcze na terenie szpitala.

Monk westchnął ciężko.

- Jakie to smutne.

- Niby dlaczego? - zapytał Stottlemeyer.

- Burmistrz wciąż nie zdaje sobie sprawy, że jego porażce winna była mównica - powiedział Monk.

Tego wieczoru i jeszcze następnego dnia rano policja miasta San Francisco dominowała we wszystkich wiadomościach.

We wtorek wieczorem wszystkie wydania rozpoczynały się od informacji, że Bertrum Gruber, bohater, który naprowadził policję na trop „Dusiciela Golden Gate”, zamordował policjanta, Kenta Milnera; jak przewidywał burmistrz Smitrovich, informację ilustrowały zdjęcia z konferencji prasowej. W wiadomościach podano również, że przez cały najbliższy wieczór negocjatorzy związków zawodowych policji i urzędu miasta będą rozmawiać w jakimś nieujawnionym hotelu, aby osiągnąć porozumienie w trwającym konflikcie na tle płacowym.

Następnego dnia, w środę, na tytułowej stronie wydania „San Francisco Chronicle” znalazła się rozciągnięta na dwie kolumny duża fotografia burmistrza Smitrovicha i Bertruma Grubera, którzy ściskają sobie dłonie na tle wielkiego czeku na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jednak ton informacji brzmiał tym razem inaczej. Burmistrzowi Smitrovichowi udało się odwrócić kota ogonem i przedstawić całą historię w dobrym dla siebie, choć całkowicie fałszywym świetle.

### BURMISTRZ POMAGA UJAĆ ZABÓJCĘ POLICJANTA

*Kiedy Barry Smitrovich wręczał dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów nagrody Bertrumowi Gruberowi za przekazanie informacji prowadzącej do aresztowania „Dusiciela Golden Gate”, burmistrz grał rolę w koronkowej prowokacji policji San Fran-*

*cisco, której celem było schwywanie w sidła jednego z własnych funkcjonariuszy.*

*„Było w tym ryzyko, jestem jednak szczęśliwy, że mogłem zrobić wszystko, by pomóc policji w zaprowadzaniu prawa”, mówił burmistrz w oświadczeniu wydanym przez biuro prasowe ratusza. „Niestety, zdarzenia miały tragiczny finał”.*

*Burmistrz odnosił się w ten sposób do zastrzeżenia funkcjonariusza policji, Kenta Milnera, który wszedł w zмовę z Gruberem, by okraść budżet miasta na ćwierć miliona dolarów.*

*Źródła policji ujawniły, że w sobotę, w czasie rutynowej kontroli za wykroczenie drogowe, Kent Milner zatrzymał Charlesa Herrina, poszukiwanego „Dusiciela Golden Gate”. Milner zorientował się, że przez przypadek trafił na seryjnego zabójcę, zamiast aresztować podejrzanego jednak, przekazał Gruberowi informację, niezbędną do odebrania nagrody, którą mieli się po połowie podzielić. Ponieważ Milner był zatrudniony przez departament miasta, sam nie mógł liczyć na nagrodę.*

*Policja rozgryzła tę zмовę, brakowało jej jednak dowodów, by dokonać aresztowań.*

*„Wręczenie nagrody Gruberowi było częścią złożonej gry, koniecznej, aby zebrać potrzebne dowody”, głosiło dalej oświadczenie burmistrza. „Bardzo ściśle współpracowałem z policją przy tej delikatnej operacji organów ścigania. Uczestniczyłem w niej, nie bacząc na konsekwencje, osobiste czy polityczne, które mogły bezpośrednio z niej wynikać. Uznałem bowiem, że stać na straży sprawiedliwości jest moim najwyższym obowiązkiem, tak wówczas, jak i dzisiaj”.*

*Jedyną rzeczą, której policja nie przewidziała, była głębia chciwości tropionych przestępców. Zanim*

*policja zdążyła przedstawić stan rzeczy, Gruber zabił Milnera, aby zagarnąć dla siebie całą nagrodę.*

Przebiegłam oczami resztę artykułu, szukając wypowiedzi kogoś z departamentu policji, kto sprostowałby kłamstwa burmistrza. Ale niczego nie znalazłam.

Nie jestem politykiem ani teoretykiem konspiracji, ale czułam, że musiał istnieć ważny powód, dla którego policja postanowiła nie dementować wersji Smitrovicba. Kłopoty burmistrza mogły przecież dać policji silny argument w toczących się negocjacjach.

Wszystkie te myśli wirowały mi po głowie, kiedy w środę rano wiozłam Monka na komendę. Rozpoczął się kolejny dzień jego pracy. Pierwsze, co na komendzie rzuciło mi się w oczy, to sala pełna policjantów. Odniosłam wrażenie, że zdecydowana większość funkcjonariuszy odzyskała siły po ataku epidemii „błękitnej grypy”.

Pokój detektywów w wydziale zabójstw był tak przepełniony, że nie starczyło miejsca dla zespołu Monka, zepchniętego w daleki kąt. Jednak Portera, Wyatta i Chow bynajmniej nie spotkał ostracyzm. Rozmawiali żywo z kolegami ze służby i śmiali się wspólnie z nimi.

Disher dostrzegł z daleka Monka i przekrzykując gwar rozmów, dzwonki telefonów i ogólny biurowy harmider, zawołał głośno:

- Jest!

Nagle wszyscy wstali, odwrócili się do nas przodem i zaczęli klaskać. Monk znalazł się w centrum uwagi, co go wystraszyło i zbiło z tropu.

Z gabinetu wyszedł Stottlemeyer. Oklaski natychmiast ucichły, by mógł przemówić.

- Chcielibyśmy ci podziękować za to, co zrobiłeś dla Kenta Milnera - powiedział Stottlemeyer. - Może błędził w życiu, ale jednak był jednym z nas.

- Zrobiłbym to samo w przypadku każdego innego - odpowiedział Monk. - Żadne morderstwo nie może pozostać bezkarne.

Batman nie powiedziałałby tego lepiej. Ale Monk nie skończył.

- Wszystko, co udało mi się osiągnąć, zawdzięczać mojemu zespołowi, Cindy Chow, Frankowi Porterowi i Jackowi Wyattowi - mówił Monk. - Możecie mi podziękować, składając im wyrazy szacunku i wdzięczności, na które z pewnością zasłużyli.

Zgromadzeni w pokoju detektywi odwrócili się i zgotowali detektywom Monka entuzjastyczną owację.

- Wspaniałe przemówienie, panie Monk - szepnęłam mu do ucha. - Nawet nie potrzebował pan notatek. Przemawianie przed publicznością wcale nie jest trudne.

- To nie jest publiczność - odparł Monk, wyraźnie dotknięty. - To rodzina.

Stottlemeyer zaprosił nas gestem do gabinetu, a kiedy weszliśmy oboje, zamknął za nami drzwi. Nie zaprosił Dishera. Porucznik też nie próbował się wślizgnąć za nami do środka.

To nie był dobry znak.



## Monk i status quo

Wydawało się, że Monk nie podziela moich obaw. Wciąż był poruszony owacją na stojąco.

- To było naprawdę coś wielkiego - powiedział Monk.

- Tak, prawda - zgodził się Stottlemeyer. - Schwytnie zabójcy policjanta pomogło wymazać wiele resentymentów wobec ciebie i twojego zespołu.

- Miło mi to słyszeć — ucieszył się Monk. — Teraz możemy wszyscy pracować w pełnej harmonii.

- Niezupełnie - powiedział Stottlemeyer i przysiadł na krawędzi biurka. - W przypadku Grubera burmistrz był przyciśnięty do ściany, więc nasi związkowcy wykorzystali to w negocjacjach na swoją korzyść. Wczoraj wieczorem udało im się zawrzeć porozumienie, które jest bardzo bliskie naszym pierwotnym żądaniom.

Wiedziałałam. To wyjaśniało, dlaczego wszyscy wrócili do pracy i tryskali takim dobrym humorem. Ale nie wyjaśniało jeszcze, dlaczego mamy odbywać tę rozmowę.

- To wspaniale - ucieszył się Monk.

- Dla kadr policyjnych tak - powiedział Stottlemeyer. - Ale dla ciebie nie bardzo, Monk. Częścią kompromisu jest porozumienie, aby w razie wol-

nych etatów departament awansował wyłącznie własnych ludzi.

Monk pokiwał głową.

- Zatem już nie jestem kapitanem. Jakoś to przeżyję.

Stottlemeyer westchnął i spojrzał na mnie. Wyczułam, że prosi mnie o wsparcie. Może o przebaczenie? Zanim jednak zdążyłam go rozgryźć, Stottlemeyer przeniósł wzrok z powrotem na Monka.

- Przykro mi to mówić, Monk, ale nie jesteś już także policjantem.

Monk nic nie powiedział. Nie musiał. Ból miał wypisany na twarzy i w ruchu, w jakim bezradnie zwiesił ramiona.

Stottlemeyer znowu na mnie spojrzał, ale nie znalazł u mnie tego, na co z nadzieją liczył. Mógł zobaczyć jedynie niesmak. Jak mogli zrobić coś takiego Monkowi? Po tym, co dla nich zrobił? Jeśli w negocjacjach ze związkiem burmistrz był przyciśnięty do ściany, to wyłącznie dzięki Monkowi. Tak mu teraz odpłacają? Też mi rodzina.

Z drugiej strony, może to jednak robota burmistrza? Być może odbierając Monkowi odznakę i niszcząc jego wielkie marzenia, burmistrz chciał się odegrać za upokorzenie, które zgotował mu Monk w oczach opinii publicznej?

Nawet jeśli tak, to policjanci też na to przystali.

- Musiałbyś przejść testy psychologiczne i wykazać się kwalifikacjami niezbędnymi przy wróceniu do służby, na które w twoim przypadku burmistrz przymknął oko - tłumaczył Stottlemeyer. - Jednak wobec obecnego zamrożenia etatów, nawet jeśli zdasz testy, nie będziesz miał szans

na zatrudnienie. Przykro mi, Monk. Naprawdę mi przykro.

- Czy chociaż walczył pan o niego? - zapytałam.

- Z kim miałem niby walczyć, Natalie? Nie było mnie nawet przy negocjacjach. To nie ja dobijałem targu i z pewnością nie mam władzy, aby cokolwiek zmieniać w porozumieniu związkowym. Nie mam na to żadnego wpływu.

- Do licha, serdeczne dzięki!

- To niesprawiedliwe - stwierdził Stottlemeyer. - Nie miałem z tym nic do czynienia.

- To nawet gorzej, bo powinien był pan coś uczynić. Wstydzicie się!

Spojrzałam przez szybę w kierunku Dishera. Wyczuwał chyba moją złość, bo szybko odwrócił oczy. Nie było powodu, aby Disherowi się nie dostało. Wszyscy powinni się czuć winni.

Monk chrząknął i skinął głową w kierunku detektywów.

- Co z moim zespołem? - zapytał.

- Też odchodzą.

- Czy już wiedzą?

Stottlemeyer przytaknął.

- Powiedziałem im, zanim się pojawiłeś. Już zwrócili odznaki.

Monk sięgnął do kieszeni, wyjął swoją odznakę i nawet na nią nie patrząc, podał ją Stottlemeyerowi.

- Czuję się z tym naprawdę okropnie, Monk.

- Ja też.

Monk wyszedł z gabinetu, powłócząc nogami. Stałam przed Stottlemeyerem.

- Tak nie powinno być, kapitanie. I pan to do skonale wie.

- Myśl rozsądnie, Natalie. Ci ludzie za szybko mogą mu wiele wybaczyć, bo schwytał mordercę policjanta, ale Monk i inni wciąż są dla nich łami-strajkami. Nikt nie ma zamiaru wynagradzać im tego, że wyszli z pikiety. Tak już w życiu jest.

- To mi się bardzo nie podoba - powiedziałam.

- Mnie też nie - stwierdził Stottlemeyer. - Ale bądźmy szczerzy, od początku wiedzieliśmy, że tak to się skończy.

Miał rację. Wiedzieliśmy, Stottlemeyer, doktor Kroger i ja. Jednak ta świadomość nie sprawiała, że rzeczywistość była łatwiejsza do zaakceptowania, i nie usprawiedliwiała tego, co zrobili Monkowi. Wcale nie musiało się stać tak, jak wiedzieliśmy, że się stanie.

Monk wykonał zadanie, sprawdził się jako policjant i jako dowódca, a przy okazji ocalił prawdopodobnie parę istnień ludzkich. Ale nikogo to nie obchodziło. Policja go wykorzystwała, politycy go wykorzystali i nikt mu nie dał nic w zamian. Ba, oczekiwano nawet z jego strony wdzięczności, że nikt nie żywi do niego urazy.

W głowie się nie mieści. Co z jego uczuciami? Dla nikogo już nie miały znaczenia?

Widocznie nie miały.

Wyszłam z gabinetu i zobaczyłam, jak Monk rozmawia z Chow, Porterem i Wyattem.

- Nie spodziewałem się, że będę mógł zatrzymać odznakę - mówił Porter. - Ale poczucie zwycięstwa to wspinała sprawa. Dziękuję ci za to, Mort.

- Monk, dziadku - poprawiła go Sparrow.

- Gdzie? - zapytał Porter, rozglądając się dookoła.

- Stoi przed tobą, dziadku - powiedziała Sparrow.

Porter spojrział na Monka, jakby dopiero teraz go zobaczył.

- O, to pan, wciąż się pan boi mleka? - zapytał.

- Panicznie - odpowiedział Monk z uśmiechem na twarzy.

Teraz odezwała się Chow:

- Dzięki panu, Monk, odnieśliśmy zwycięstwo nad gabinetem cieni przybyszów z kosmosu. Będą próbowali ukryć to, co udało nam się odkryć, ale prawda zawsze wyjdzie na jaw. Dopilnuję, żeby tak się stało.

Wręczyła Monkowi drobne urządzenie elektroniczne, który przypominało coś w rodzaju skrzyżowania iPod'a z latarką.

- Co to jest? - zapytał Monk.

- Wykrywacz podsłuchów - wyjaśnił Jasper. — Działa jak radar, wykrywa urządzenia audio i wideo służące do inwigilacji.

- Też masz coś takiego? - zapytałam.

- Oczywiście - odparł z przekonaniem Jasper. - Ty nie?

Zaczynałam się już zastanawiać, czy odbiło mu równie solidnie jak Chow, ale Jasper mrugnął do mnie i od razu się poczułam lepiej.

- Teraz przez resztę życia będzie pan inwigilowany przez agencję „Omega” - powiedziała Monkowi Chow. - Niech pan to potraktuje jako honorową odznakę policyjną.

- Z przyjemnością - odpowiedział Monk.

Przed Monkiem stanął Wyatt, patrząc na niego spođe łba.

- Mięczak - powiedział krótko.

- Wiem - odpowiedział Monk.

- Ale w pewnym sensie jest pan też najodważniejszym człowiekiem, jakiego znam.

Wyatt wręczył Monkowi nabój do pistoletu.

- Po co to? - zapytał Monk.

- To kula, której nie dał mi pan wystrzelić - wyjaśnił Wyatt. - Choć nigdy nie przeszyla pańskiego ciała, jakoś czuję, że należy do pana.

- Dziękuję - odpowiedział Monk.

- Niech nas pan kiedyś odwiedzi - dodał Wyatt.

- Nas? - zdziwił się Monk.

- Otwieramy w trójkę agencję detektywistyczną - wyjaśniła Chow. - Zawsze będzie w niej miejsce dla pana, jeśli pan zechce.

- Jestem samotnym wilkiem - stwierdził Monk. - Buntownikiem. Hultajem. Człowiekiem niebezpiecznym i nieprzewidywalnym.

- Kiedyś też tak o sobie myślałem - powiedział Wyatt. - Ale człowiek się zmienia.

- Ja nie. Nie jestem wielkim fanem zmian - odparł Monk.

- To się dobrze stało - orzekł Wyatt.

- Co?

- Że zwrócił pan odznakę - powiedział Wyatt. - Niech pan tylko pomyśli, ile by się wokół pana zmieniło.

Monk zamyślił się przez dłuższą chwilę, a potem nagle całkowicie się odmienił. Podniósł głowę. Wyprostował się. Otworzył szeroko oczy. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Zawód, który tak przeżywał, zdawał się całkowicie ulotnić.

- Masz rację - powiedział Monk. - Uff, co za ulga.

„Szalony" Jack Wyatt posłańcem szczęścia i świątłości. Bez jednego strzału. Kto by pomyślał?

Troje detektywów ruszyło do wyjścia. Złapałam Jaspera za rękaw i dałam Arniemu i Sparrow znak, by zatrzymali się jeszcze na chwilę.

- Bądźmy w kontakcie, dobrze? - zaproponowałam.

- Jasne - rzucił Jasper.

- Świetnie - odpowiedział Arnie.

- Możemy iść kiedyś na lunch - powiedziała Sparrow.

Ich odpowiedzi oznaczały mniej więcej tyle: „Już nigdy się nie zobaczymy”.

- Mówię poważnie. Mam robotę, której, jak mi się zdawało, nikt nie rozumie. Tymczasem poznałam was. Wszyscy robimy to samo. Mamy naturalny system wzajemnego wsparcia. Byłoby grzechem z niego nie skorzystać. Naprawdę możemy sobie pomagać.

- Jasper już mi pomaga. - Na twarzy Sparrow pojawił się zmysłowy uśmiech.

Jasper się zarumienił. Arnie przesłał mi niedwuznaczne spojrzenie.

- Nie o taką pomoc mi chodzi, Arnie - wyjaśniłam.

- Jestem szczęśliwym mężem - odparł szybko Arnie z oburzeniem.

- To bardzo dobrze - powiedziałam. - Niech tak zostanie.

- Jasne, będziemy w kontakcie - obiecał w końcu Jasper i tym razem poczułam, że mówi szczerze.

Miałam nawet ochotę powiedzieć im o swoim pomysśle, abyśmy założyli związek zawodowy, „Międzynarodowe Stowarzyszenie Piętaszków Detektywów”, ale nie chciałam ich wystraszyć.

Cała trójka opuściła komendę. Arnie i Sparrow za rękę z Jasperem ruszyli w ślad za detektywami, dla których pracowali. Wiedziałam jednak, że związek, których ich z nimi łączył, był czymś więcej niż związek między pracodawcą a pracownikiem czy asystentem, podobnie jak było w przypadku Monka i mnie czy Stottlemeyera i Dishera.

Wszystkim nam potrzebni są asystenci, nawet asystentom.

Nie wiedziałam, czy jeszcze kiedykolwiek ich zobaczę, ale pocieszające było choćby to, że wiedziałam o ich istnieniu; na wypadek gdybym ich potrzebowała.



## Monk idzie do szkółki nauki jazdy

Są w życiu rzeczy, jestem tego pewna, których nikt nie lubi robić, niezależnie od płci, rasy, wyznania czy narodowości — na przykład czyszczenie zębów nitką dentystyczną, sprzątanie łazienki czy przymusowe uczęszczanie do szkółki nauki jazdy. Możecie w ciemno zapytać byle przechodnia na ulicy, a każdy wam powie, że takie obowiązki to diabelstwo.

Każdy, z wyjątkiem Monka.

Godzinami czyści sobie zęby nitką dentystyczną. Łazienkę myje kilka razy dziennie. I chociaż nie prowadzi samochodu, to uparł się, że pójdzie ze mną do szkółki nauki jazdy — a ja nie miałam nic przeciwko temu. I tak zmusiałabym go, żeby poszedł.

Oczywiście jedynym powodem, dla którego musiałam iść na zajęcia, było anulowanie wydumanego mandatu za przekroczenie szybkości, który dostałam, wożąc Monka podczas „błękitnej grypy”. To jego wina, że policja mnie wtedy zatrzymała, niech więc przynajmniej odpokutuje ze mną te osiem godzin tortur.

Zajęcia odbywały się niedaleko mojego domu, w małym lokalu przy ulicy, który wcześniej był niewielkim, rodzinnym biurem podróży, dopóki nie wypchnęły go z rynku biura internetowe. Na ścianach, które niegdyś dekorowały postery z od-

ległych, egzotycznych miejsc całego świata, dzisiaj wisiały gęsto znaki drogowe i plakaty apelujące do kierowców, by nie pili napojów w czasie prowadzenia samochodu. W środku salki stały trzy rzędy składanych krzesel, a naprzeciwko nich proste, szare, metalowe biurko, dwie szafki z szufladami na akta i tablica z kredą i gąbką.

Gdy tylko weszliśmy do salki, Monk zaczął ustawiać krzesła w cztery rzędy, dbając, by w każdym rzędzie znalazła się parzysta liczba krzesel. Niemyim wzruszeniem ramion przeprosiłam pozostałych uczestników szkółki, którzy stali dookoła i niecierpliwie czekali na wolne miejsca.

Chciałam usiąść z tyłu w nadziei, że będę mogła uciąć sobie drzemkę, ale Monk nalegał, abyśmy zajęli miejsca w pierwszym rzędzie.

- Nic chciałbym, żeby coś umknęło mojej uwagi - tłumaczył.

- Wolałabym, żeby wszystko mi umknęło - stwierdziłam.

- W takim razie niczego się nie nauczysz na swoich błędach - powiedział Monk.

- Ludzie nie przychodzą tutaj się uczyć, panie Monk. Przychodzą, żeby odbyć karę - powiedziałam.

- Karę? - zdziwił się Monk. - To przecież przywilej.

- Pan raczy żartować, prawda?

- Podwójne linie żółte, zebry, pasy skreću w lewo, ograniczenia prędkości, światła na skrzyżowaniu, jasno określone strefy parkowania. Nie ma nic piękniejszego. Niewykluczone, że to najszlachetniejszy wyraz naszego człowieczeństwa.

Patrzyłam na niego osłupiała.

- Pasy na drodze i znaki stopu najlepiej pana zdaniem wyrażają istotę rodzaju ludzkiego?

- Jest tu pokój, porządek i równość - tłumaczył z zapalem Monk. - Gdyby jeszcze pasy mogły być pomalowane na chodnikach i korytarzach, oznaczałoby to koniec chaosu.

- Jakiego chaosu?

- Nie widziałaś, jak ludzie chodzą?

Monk skinął głową w kierunku idących słoneczną ulicą za oknem szczęśliwych przechodniów. Tak bardzo pragnęłam się tam znaleźć, a zajęcia nawet się jeszcze nie zaczęły. Wcale mi się nie wydawało, że panuje tam chaos. Wydawało mi się, że tam panuje wolność.

- Idą raz tak, raz siak, każdy jak mu się podoba, okropne, nikt już nie chodzi dzisiaj w prostej linii - narzekał Monk. - Każdy robi nagle zwroty i uniki, żeby się z kimś nie zderzyć, jedni biegają, inni się wloką, to absolutna anarchia. Gdybyśmy musieli chodzić po chodniku wyznaczonymi pasami, z ustaloną prędkością, i gdybyśmy musieli sygnalizować nasze zamiary, to zrewolucjonizowałoby całe społeczeństwo. Ośmieliłbym się stwierdzić, że byłaby to droga do światowego pokoju.

Spojrzałam mu w oczy. Miałam wrażenie, że widzę w nich łzy.

Zapowiadało się, że dla nas obojga zajęcia będą wielkim przeżyciem. To jednak niesprawiedliwe, że dla mnie cały dzień ma być bolesną agonią, a dla Monka czystą rozkoszą. Miałam ochotę zrobić mu coś naprawdę złośliwego, na przykład zdjąć pasek od spodni i założyć go ponownie, pomijając jedną albo dwie szlufki, tylko po to, żeby przez następne osiem godzin doprowadzać Monka do szału. Ale

w ten sposób sama będę siebie tortuować, bo to ja będę musiała wysłuchiwać całodziennych utyskiwań Monka.

Wciąż się zastanawiałam, co zrobić, żeby pobyt w szkółce okazał się dla Monka równie piekielnym doświadczeniem jak dla mnie, kiedy nagle z tyłu pokoju otworzyły się drzwi i wszedł instruktor, który wyniosłą postawą, srogoscią i powagą przypominał sędziego Sądu Najwyższego. Mężczyzna, mocno po pięćdziesiątce, miał na sobie tweedową marynarkę i muszkę i niósł egzemplarz *Kodeksu drogowego stanu Kalifornia* tak uroczyście, jakby były to święte księgi.

Monk wstał. Pociągnęłam go z powrotem na krzesło.

Instruktor położył *Kodeks drogowy* na biurku i odwrócił się do zebranych.

- Nazywam się Barnaby Merriman, będę dzisiaj waszym nauczycielem. W świetle przepisów ruchu drogowego wszyscy jesteście przestępcami. Siedzicie tu, gdyż nie przestrzegaliście zasad zachowania w ruchu ulicznym. Gdyby to ode mnie zależało, siedzielibyście w więzieniu. Jednak dzięki wspaniałomyślności sądu jesteście tutaj, w mojej klasie. I nie wyjdziecie stąd, dopóki się nie upewnię, że nie tylko znacie prawo, ale że je ucieleśniacie.

Monk zaczął klaskać. Merriman obrzucił go złośliwym spojrzeniem.

- Czy pan próbuje sobie żartować? - zapytał.
- Nie, proszę pana - zapewnił Monk. - Zgadzam się z panem w każdym zdaniu.
- Dlaczego zatem złamał pan prawo?
- Ja nie złamałem. - Monk wskazał na mnie. - To ona.

- Przekroczyłam dozwoloną prędkość - powie  
działam. - Czterdzieści cztery kilometry na godzinę  
w strefie ograniczenia prędkości do czterdziestu.  
Proszę, niech mnie pan zamknie w celi i wyrzuci  
klucze.

Merriman powoli przeniósł wzrok z powrotem  
na Monka.

- W takim razie co pan tu robi?

- Chciałbym wzbogacić własną wiedzę — wyja-  
śnił Monk. - Upłynęło wiele czasu, odkąd miałem  
możność przestudiowania przepisów *Kodeksu dro-  
gowego stanu Kalifornia*.

Pomyślałam, że Merriman weźmie Monka za  
cwaniaczkę i wyrzuci go z klasy. Ale nie. Musiał  
dostrzec w oczach Monka szczerą entuzjazm.

- Dobrze - orzekł Merriman. - Tylko bez żar-  
tów.

- Absolutnie - zapewnił uroczyście Monk, jakby  
składał ślubowanie.

Monk nie znosił żartów.

Zaczęliśmy zajęcia od ogólnego testu dotyczą-  
cego prawa ruchu drogowego, a potem przeszliśmy  
z instruktorem do pytań szczegółowych. Pierwsze  
brzmiało następująco:

Jeśli pieszy przechodzi przez ulicę daleko od  
skrzyżowania, powinieneś zatrzymać pojazd:

A. Tylko wtedy, jeśli pieszy idzie po pasach.

B. Tylko wtedy, jeśli idzie z białą laską.

C. Zawsze, jeśli nakazują to względy  
bezpieczeństwa pieszego.

- Jaka jest prawidłowa odpowiedź? - zapytał  
Merriman.

Jedynie Monk natychmiast podniósł do góry rękę. Merriman westchnął i wskazała na niego.

- Odpowiedź „D” - odpowiedział Monk.
- Nie ma „D” - zauważył Merriman.
- Ale powinna być.
- Ale nie ma.
- Bo to jest pytanie podchwytliwe - stwierdził

Monk.

- To nie jest pytanie podchwytliwe - zniecierpliwiał się Merriman. - Prawidłowa odpowiedź to „C”, gdy nakazują to względy bezpieczeństwa pieszego.

- Prawidłowa odpowiedź to „D”, należy doprowadzić do aresztowania pieszego - powiedział Monk.

- Dlaczego chciałby go pan aresztować? - zapytałam.

- Przechodzi przez jezdnię w niedozwolonym miejscu - tłumaczył mi Monk. - To przestępstwo.

- Rozmawiamy o kodeksie drogowym, a nie karnym - wtrącił Merriman.

- Prawo jest prawem - upierał się Monk. - Przez siedem lat pracowałem, przeprowadzając dzieci przez jezdnię. Niech pan mi wierzy. Dobrze znam nikczemność ulic.

- Przechodzimy do następnego pytania - powiedział zrezygnowany Merriman. - Jeśli twój samochód wpadnie w poślizg tylnymi kołami, powinienes: „A” skrócić kierownicą w kierunku zgodnym z kierunkiem poślizgu, „B” trzymać kierownicę absolutnie prosto, „C” skrócić kierownicą w kierunku przeciwnym do kierunku poślizgu.

Monk znowu podniósł rękę. Znowu jako jedyny w klasie. Merriman wskazał jednak nastolatkę w drugim rzędzie, która robiła, co mogła, by nikt nie zwrócił na nią uwagi.

- Prawidłowa odpowiedź to „A” - odpowiedziała nieśmiało dziewczyna.

—Źle - odezwał się Monk. - Prawidłowa odpowiedź to „D”: módl się!

Tego już Merriman nie wytrzymał. Wyrzucił Monka z klasy na ulicę, zamknął za nim drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Och, jakżeż zazdrościłam Monkowi. Był wolny, a ja nadal byłam uwięziona w żywym piekle szkoły nauki jazdy. Mógł pójść, dokąd mu się podobało, i robić, co tylko zechciał. Mógł sobie iść na spacer. Do muzeum. Poczytać dobrą książkę. Zjeść loda w wafelku. Zakochać się.

Ale Monk pozostał na ulicy. Stanął tuż za szybą i ze szczęśliwą miną zaczął kierować ruchem na chodniku, rozdzielając pieszych na niewidzialne pasy i dokładając swoją małą cegielkę do budowy pokoju na świecie.

Spoglądał na mnie co pewien czas, szczyrzył zęby w uśmiechu i machał ręką. To był bardzo, bardzo długi dzień. Ale kara poskutkowała. Przyrzekłam sobie, że już nigdy nie będę przekraczać dozwolonej prędkości.

## Podziękowania

Pragnę podziękować dr. D. P. LyleWi, Williamowi Rabinowi, T. J. MacGregorowi, Janet Markham, Patowi Tierneyowi, Davidowi Maćkowi, Tony'emy Fennelly'emu, Sheili Lowe, Halowi Glatzerowi, Karen Tannert, Michaelowi Siverlingowi, Eve Simson, Aubrey Nye Hamilton, Jimowi Doherty'emu, Paulowi Bishopowi, Lee Loflindowi i Barbarze Fahinger za ich nieocenioną pomoc w dziedzinie astrologii, medycyny, geografii, procedur policyjnych, plomb dentystycznych i w wielu innych ważnych kwestiach. Jakiegokolwiek błędy powstałe w książce biorę wyłącznie na siebie i nie powinno się nimi obciążać przemyślanych, wymienionych wyżej osób.

Szczególne słowa podziękowania kieruję jak zawsze do mojego przyjaciela Andy'ego Breckmana, twórcy *Detektywa Monka*, a także do jego niezwykle i nad wyraz utalentowanego zespołu - Stefanie Preston, Toma Scharplinga, Davida Breckmana, Hya Conrada, Joego Toplyna, Daniela Dratcha, Jonathana Colliera i Blaira Singera - za inspirację, entuzjazm i wsparcie. Dziękuję także Ginie Maccoby i Kerry Donovan, bez których nie miałbym do napisania żadnego *Detektywa Monka*, a wy nie mielibyście co czytać.

Wpadnijcie do mnie. Chętnie usłyszę od was coś ciekawego. Zatrzymajcie się na stronie [www.lee Goldberg.com](http://www.lee Goldberg.com), choćby, aby powiedzieć „Cześć”. Parking gratis!



## Spis treści

1. Monk i przechadzka po parku .....	7
2. Monk idzie na zakupy .....	22
3. Monk i prosta odpowiedź .....	36
4. Monk przejmuje dowodzenie .....	50
5. Monk i astrolog .....	64
6. Monk i Madam Frost .....	76
7. Monk i brud na ulicy .....	87
8. Monk i zabawa w udawanie .....	102
9. Monk poprawia statystykę .....	113
10. Monk i tajna schadzka .....	127
11. Monk i arcydzieło .....	142
12. Monk i kolejne miejsce zbrodni .....	157
13. Monk jedzie do komendy głównej .....	165
14. Monk dowodzi antyterrorystami .....	174
15. Monk i konferencja prasowa .....	188
16. Monk i teoria spiskowa .....	201
17. Monk sprząta .....	217
18. Monk i pomocny horoskop .....	231
19. Monk idzie na obiad .....	247
20. Monk i koty pod biurkiem .....	255
21. Monk dopina ostatni guzik .....	267
22. Monk idzie do więzienia .....	276
23. Monk ma mdłości .....	285
24. Monk i lekcja życia .....	294
25. Monk i status quo .....	304
26. Monk idzie do szkoły nauki jazdy .....	312
Podziękowania .....	319